JERZY KWAŚNIEWSKI, SZEF ORDO JURIS RADZI:

Jak skutecznie się bronić przed inwazją LGBTQ

Semka i Ziemkiewicz o zwycięskim boju o fotel szefa Komisji Europejskiej

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 28/330 8–14 LIPCA 2019

FREDERICK FORSYTH W ROZMOWIE Z „DO RZECZY" AUTOR „DNIA SZAKALA" OSTRZEGA PRZED MOSKWĄ

Lichocka o Rymkiewiczach w czasach stalinizmu

NA CELOWNIKU OPOZYCJI

Szef TVP Jacek Kurski – znienawidzony przez anty-PiS

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829

9 772299 850000 28 >

Nakład: 77 tys. egzemplarzy

epresa.pl/6ae2d5e67

NAJ NIE BIERZE SIĘ ZNIKĄD

NAJ musi być doskonałe z każdej strony. Paliwa LOTOS powstają w najnowocześniejszej rafinerii w Europie. Tworzą je zaangażowani w swoją pracę eksperci oraz ludzie z pasją.

eprasa.pl 7cae2d5e67

NAJ Z KAŻDEJ STRONY

Droga do NAJ jest długa. Dlatego jako pierwsi połączyliśmy Gdańsk z Warszawą **NIEBIESKIM SZLAKIEM** elektromobilności, tworząc sieć stacji ładowania samochodów elektrycznych.

LOTOS

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Letnia ironia losu

Chociaż do wyborów parlamentarnych pozostały trzy miesiące, można odnieść wrażenie, że wszystko już zostało rozstrzygnięte. Nawet najwięksi przeciwnicy PiS przyznają, że szanse na zwycięstwo mają niewielkie, a jedyna niewiadoma to skala zwycięstwa partii Jarosława Kaczyńskiego. Rzeczywiście, nigdy jeszcze chyba rządzący nie byli w tak komfortowej sytuacji: po katastrofie, którą dla opozycji okazała się kampania do Parlamentu Europejskiego, PiS ma wszystkie karty w ręku.

Opozycja przypomina nieco boksera, który zaliczył potężny cios i z trudem próbuje utrzymać się w ringu, unikając następnego nokautującego uderzenia. Nie ma, co widać doskonale w wypowiedziach Grzegorza Schetyny i pozostałych liderów, żadnego pomysłu na odzyskanie inicjatywy. Żadnej świeżej myśli i nowej idei. Wiadomo już, że dotychczasowa kampania, w dużej mierze oparta na wierze w to, że wyborcy sami odrzucą PiS, jeśli tylko będzie się im mówić o upadku praworządności, zakończyła się klapą. Ile razy, zastanawiam się, można powtarzać slogany o końcu demokracji? Podobne efekty miała rozpoczęta przez Rafała Trzaskowskiego i Pawła Rabieja wojna kulturowa oraz próba implementowania w Polsce ideologii LGBT. Cóż, obecnie już chyba tylko sekta z Czerskiej nadal wierzy, że w Polsce można wygrać wybory dzięki odwoływaniu się do programu niemieckich Zielonych. Dodatkowym problemem opozycji jest to, że nie udaje się jej przedstawić siebie jako siły modernizującej: tutaj na drodze do sukcesu stoi premier Mateusz Morawiecki i jego wizerunek nowoczesnego, zmieniającego państwo administratora oraz człowieka z wizją.

Brak programu najlepiej widoczny jest podczas spotkań liderów PO z ludźmi. Znowu kryją się za tym naśladownictwo PiS i wiara, że głównymi problemami opozycji są niemożność dotarcia do elektoratu i jego mobilizacja. Tak jakby PO utraciła zdolność rozumienia, że zanim się kogoś do czegoś zmobilizuje, trzeba jeszcze wiedzieć do czego i po co. A na to pytanie, mimo mijającego czasu, nie sposób znaleźć odpowiedzi. Do obalenia „reżimu kaczystowskiego" najwyraźniej bowiem brakuje chętnych. Zresztą groteskowość tych wielkich haseł i dramatycznych gestów najlepiej ujawniają sami liderzy opozycji. Tak jak Ryszard Petru skompromitował walkę z zamordyzmem, wyjeżdżając w kluczowym momencie protestów w Sejmie na Maderę, tak teraz podobne zadanie wykonał Robert Biedroń, korzystając ze zdobytego mandatu do PE. Można się tylko śmiać, obserwując działaczy i aktywistów Wiosny, którym tyle czasu zajęło zrozumienie dość prostego faktu, że cały ich wysiłek miał tylko jeden cel – załatwienie panu Biedroniowi synekury na najbliższe pięć lat.

Co ciekawe, ta wielka smuta po stronie opozycji totalnej najwyraźniej zapanowała także w szeregach Kukiz'15 oraz Konfederacji. Z politycznego punktu widzenia oznacza to tylko jedno – PiS rzeczywiście ma szansę zgarnąć pełną pulę, a być może nawet zdobyć większość konstytucyjną. Ma to zresztą jeszcze jeden, paradoksalny skutek: wzrost osobistej władzy samego Jarosława Kaczyńskiego. Tak jakby było mu jej mało! Poparcie bliskie 50 proc. albo i większe oznacza, że prezes niedługo będzie mógł rządzić nawet bez wsparcia Solidarnej Polski czy Porozumienia. Oczywiście nie znaczy to, że nie będzie chciał korzystać z ich poparcia, ale na pewno oznacza to zmianę układu sił w obrębie obozu prawicy.

To się nazywa ironia losu: najważniejszym politycznym efektem wieloletniej kampanii dyfamacyjnej wobec Jarosława Kaczyńskiego może się okazać jeszcze większy wzrost jego potęgi politycznej. Jak to przeżyją radykałowie opozycyjni, trudno powiedzieć. Ale nie będzie im łatwo. W ich oczach to gorsze niż najstraszniejsze upały, a na razie robią, co tylko mogą, nieświadomie zapewne, by tak się właśnie stało. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl 7cae2d5e67

TEMAT TYGODNIA

18 MACIEJ PIECZYŃSKI
NA CELOWNIKU ANTY-PIS
Atakowany przez opozycję szef TVP nazywany jest dziś cichym zwycięzcą walki o europarlament

KRAJ

24 WALDEMAR PARUCH
GWIAZDA TUSKA JUŻ ZGASŁA
Rozmowa z politologiem, szefem Centrum Analiz Strategicznych

28 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
KONIEC UNII POZORÓW

30 MARCIN MAKOWSKI
FANTOMOWA OPOZYCJA

32 KAMILA BARANOWSKA
BULTERIER PLATFORMY

34 ROZMOWA Z PREZESEM ORDO IURIS
KRZYŻ PONAD TĘCZĄ

38 MACIEJ PIECZYŃSKI
OBROŃCA STAREGO ŚWIATA

40 ŁUKASZ WARZECHA
MIASTO TYLKO DLA AKTYWISTÓW

KULTURA

42 PROF. JERZY MIZIOŁEK
CZEKAMY NA NOWE OTWARCIE
Rozmowa z dyrektorem Muzeum Narodowego

46 ROZMOWA Z FREDERICKIEM FORSYTHEM
MOJA OSTATNIA POWIEŚĆ

48 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
PODBIJEMY HOLLYWOOD?

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

56 PIOTR SEMKA
KULT MACKIEWICZA CZY ZDROWY ROZSĄDEK
Polemika z Piotrem Zychowiczem

60 RAFAŁ ADAMUS
NIEMIECKIE 447

HISTORIA

64 JOANNA LICHOCKA
ŁAPSKA BOREJSZY
Pisarze wobec systemu komunistycznej opresji

68 PIOTR SEMKA
WEIMAR USZMINKOWANY

ŚWIAT

72 JACEK PRZYBYLSKI
PUTIN CHCE NOWEJ JAŁTY
Kreml coraz częściej ogrywa Zachód

76 MAREK BUDZISZ
DO KIJOWA JUŻ NIKT NIE DZWONI

EKONOMIA

78 TOMASZ CUKIERNIK
GMINNA FUSZERKA MIESZKANIOWA
Ani państwo, ani gminy nie powinny wyręczać prywatnych inwestorów w budowie mieszkań

80 STEFAN SĘKOWSKI
CO DLA DZIECI

STYL

84 TOMASZ KAŹMIEROWSKI
DROGĄ PYRRUSA
Sycylijskim szlakiem

O ZDROWIU

86 KATARZYNA PINKOSZ
CHOROBA WIELU PRĘDKOŚCI
W ostatnich latach dokonuje się rewolucja w leczeniu cukrzycy

90 KATARZYNA PINKOSZ
CZTERY TABLETKI DZIENNIE

FELIETONY:

SEMKA (9), ZIEMKIEWICZ, WYBRANOWSKI (10), KOWALCZUK (11), GMYZ, GOCIEK (16), ZALEWSKI, WOLSKI (59), ZYCHOWICZ, KOPER (71), WARZECHA (75), GABRYEL, RYBIŃSKI (82), KOMUDA (92), SIEDLECKA (96), JASTRZĘBOWSKI, MAKOWSKI (97), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl 7cae2d5e67

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu trzy komentarze do trzech publikowanych ostatnio w „Do Rzeczy" artykułów. Przypominamy nasz adres e-mailowy listy@dorzeczy.pl i zapraszamy do dzielenia się swoimi opiniami.

„Podatkowy kult młodości", Kataryna, „DRz" 26/2019

Piszę do Pani w sprawie felietonu „Podatkowy kult młodości". Chciałam się odnieść do współczucia dla młodych lekarzy. Oczywiście, każdy chciałby zarabiać godnie. Ale... akurat tak się składa, że sama jestem lekarzem i na stażu zarabiałam jedną szóstą średniej krajowej, a po zatrudnieniu w szpitalu jedną piątą. Dorabiałam dyżurami i w głowie mi się nie pojawiła myśl o jakimkolwiek strajku. Cieszyłam się, że mam pracę. Poza tym, ja studiowałam w czasach, kiedy trzeba było się rzeczywiście uczyć, a nie tak jak teraz – wiem to z opowieści koleżanki pracującej w jednym z sekretariatów na uczelni – jak za dużo asystent wymaga, to idzie się do rektora na skargę. Bo student decyduje o istnieniu uczelni.

Potem są takie „kwiatki", że rezydent wpisuje w zalecenia: lakcid (chyba znany Pani) 2 x 1 ampułka dożylnie (!). Mało tego. Przyszedł do mnie na staż rezydent z rodzinnej (jestem laryngologiem). Pierwszego dnia obejrzał jednego pacjenta, zadał jedno pytanie o coś związanego z uchem. Drugiego dnia zapytał, o której kończę, i poszedł sobie; przyszedł potem po podpis. Zgadzam się, że lekarz powinien dobrze zarabiać, ale życzyć sobie trzy średnie krajowe, jak słyszałam, na rezydenturze, gdy nie ma umiejętności i doświadczenia, to chyba przesada.

Pozdrawiam
Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

„Klimatyczny szwindel", Łukasz Warzecha, „DRz" 27/2019

Szanowni Państwo,
publikacja tekstu, który podważa klimatyczne dogmaty, wymagała od jego autora i od redakcji „Do Rzeczy" sporej odwagi. Tym bardziej za niego dziękuję. Nie wiem, czy byłbym aż tak radykalny w opiniach jak pan redaktor Łukasz Warzecha, nazywający rzecz ostro – „jednym z najbardziej bezczelnych szwindli intelektualnych wszech czasów", ale nie mam wątpliwości, że o sprawie powinniśmy rozmawiać. Najlepiej bez niepotrzebnych emocji, ale rzeczowo, podpierając swoje stanowiska dowodami. Trudno jednak dyskutować ze środowiskami, które na front „debaty" wysyłają małe dziewczynki i grają na emocjach ich protestami.
Niemniej raz jeszcze dziękuję za podjęcie tematu. Jeśli coraz częściej w opinii publicznej będą pojawiać się głosy nawet nie tyle negujące, ile nawołujące do weryfikacji ekologicznych dogmatów, trudniej będzie wrzucać ludzi chętnych do podejmowania o tym dyskusji do worka „oszołomów".

Z poważaniem
Piotr Kaczmarek

„Kogo jeszcze obchodzi Smoleńsk?", Rafał A. Ziemkiewicz, „DRz" 27/2019

Droga Redakcjo,
trudno się nie zgodzić z redaktorem Rafałem A. Ziemkiewiczem, którego tekst w ostatnim „Do Rzeczy" powinien być jak wyrzut sumienia dla wszystkich tych, którzy mieli możliwości przybliżyć nas do prawdy o katastrofie smoleńskiej, ale dopuścili się choćby najmniejszego zaniechania. Kwestia smoleńska nie była dla mnie decydująca, ale nie głosowałam na PO również z powodu tego, jak wielką słabością wykazało się państwo polskie w obliczu tej katastrofy. Liczyłam na to, że rząd PiS zrobi wszystko, by przyczyny katastrofy wyjaśnić. I czuję niedosyt – podobnie jak pan redaktor Ziemkiewicz, podobnie jak wielu Polaków, zapewne nie tylko wyborców PiS. Nie można mówić o wstawaniu z kolan, kiedy o przyczynach katastrofy wciąż wiemy tak mało, a najważniejszego dowodu rzeczowego i własności państwa polskiego nie możemy wydobyć od Rosji.

Imię i nazwisko
do wiadomości redakcji

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Marek Budzisz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Maria Kądzielska, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Blanka Aleksowska, Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk** (także „Super Express")

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Tomasz Radzik/SE/East News**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

FIRMA RODZINNA

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386
PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 77 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl 7cae2d5e67

PRENUMERATA 2019

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

DO RZECZY HISTORIA

TYGODNIK „DO RZECZY"
I MIESIĘCZNIK
„HISTORIA DO RZECZY"

WERSJE PAPIEROWE TYGODNIKA I MIESIĘCZNIKA ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

W PREZENCIE KSIĄŻKA:

KRZYSZTOF HALADYN
„OSTATNIE NAMASZCZENIE"

~~726~~ ZŁ > **279,00 ZŁ** < OSZCZĘDNOŚĆ 447 ZŁ

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 7cae2d5e67

Nowi przywódcy Europy

Przywódcy 28 państw UE zdecydowali o obsadzie najwyższych unijnych stanowisk. Triumfowali liderzy Starej Europy oraz premier Mateusz Morawiecki

PRZEWODNICZĄCA KOMISJI EUROPEJSKIEJ

60-letnia minister obrony Niemiec Ursula von der Leyen kandydatką została niespodziewanie po porażce Fransa Timmermansa oraz Manfreda Webera. Jeśli ostatecznie zostanie zatwierdzona, to kanclerz Angela Merkel może próbować ogłosić potrójny sukces: nie dość, że unijną egzekutywą pierwszy raz od 52 lat pokieruje Niemiec (Berlin, jako najsilniejszy i najbardziej uprzywilejowany gracz w UE, przez lata pozostawiał to stanowisko słabszym państwom), co więcej, jej bliska współpracowniczka, to jeszcze będzie mogła się pozbyć z rządu słabej szefowej resortu obrony, która mocno ciągnie w dół notowania całego gabinetu. Uważana jest bowiem za osobę niekompetentną, przez którą niemiecka armia znajduje się w bardzo kiepskim stanie.

Von der Leyen to zwolenniczka idei federalizacji Europy i przekształcenia Unii Europejskiej w Stany Zjednoczone Europy, o strukturze takiej jak Szwajcaria, Niemcy czy USA. Mimo to kandydaturę urodzonej w Brukseli córki unijnego urzędnika mocno wspierała m.in. Polska. Niemka reprezentuje bowiem konserwatywną CDU. Jest matką aż siedmiorga dzieci, a do tego stanowczo i krytycznie wypowiadała się o Rosji, opowiadając się jednocześnie za wzmocnieniem unijnej polityki obronnej.

Głosowanie w sprawie jej kandydatury zaplanowane jest na 15 lipca.

PRZEWODNICZĄCY RADY EUROPEJSKIEJ

Donalda Tuska ma zastąpić liberalny premier Belgii Charles Michel. 43-letni obecnie prawnik – i ojciec trojga dzieci – jest ceniony za swą zdolność do zawierania kompromisów. Syn Louisa Michela, byłego szefa belgijskiej dyplomacji i unijnego komisarza, pod koniec lat 90. ukończył studia prawnicze m.in. na Université Libre de Bruxelles. Swoje pierwsze rządowe stanowisko – ministra współpracy i rozwoju – objął w wieku zaledwie 25 lat. Szefem belgijskiego rządu został 13 lat później, zapisując się na kartach historii jako najmłodszy premier kraju od 1841 r.

Michel opowiadał się za Europą dwóch prędkości. A także za wzmocnieniem zewnętrznych granic UE. Jednocześnie był mocno krytykowany we własnym kraju za stanowcze podejście do kwestii migracyjnych, zwłaszcza gdy odmówił usunięcia z rządu sekretarza stanu odpowiedzialnego za kwestie azylowe po tym, jak w mediach wybuchła afera związana z odesłaniem migrantów z Belgii do wciąż ogarniętego wojną Sudanu.

Po ogłoszeniu jego nominacji Charles Michel – uchodzący za sojusznika prezydenta Francji Emmanuela Macrona – podkreślił w mediach społecznościowych, że jego celem są „zjednoczona Europa" oraz „szacunek dla różnorodności".

SZEF DYPLOMACJI

Kandydatem na to stanowisko został Josep Borrell, obecny socjalistyczny minister spraw zagranicznych Hiszpanii. 72-latek – inżynier aeronautyki i doktor ekonomii – w przeszłości był szefem Parlamentu Europejskiego (w latach 2004–2007), a także dwukrotnie ministrem w hiszpańskim rządzie. Jako „Katalończyk, Hiszpan i Europejczyk" konsekwentnie opowiadał się przeciwko regionalnym aspiracjom niepodległościowym. Po wybuchu kryzysu imigracyjnego początkowo chciał ułatwień w procesie przyjmowania nielegalnych przybyszów, ale szybko zorientował się, że popełnił błąd. Rząd w Madrycie zaczął więc częściej stosować procedury deportacyjne i odsyłać niechcianych gości do Maroka. W 2018 r. jego karierze politycznej zagroził wyrok, w którym socjalista został skazany na grzywnę za posługiwanie się poufnymi informacjami przy transakcjach giełdowych.

Krytyk polityki Donalda Trumpa i zwolennik unijnego triumwiratu, który miałby się składać z Niemiec, Francji i Hiszpanii, cieszy się opinią sprawnego negocjatora.

SZEF EUROPEJSKIEGO BANKU CENTRALNEGO

Maria Draghiego na stanowisku prezesa Europejskiego Banku Centralnego – instytucji, która ma największy wpływ na realne życie mieszkańców UE – ma wkrótce zastąpić Christine Lagarde. Wybór Francuzki to sukces prezydenta Emmanuela Macrona. Wcześniej na stanowisko szefa EBC szykowano szefa niemieckiego banku centralnego Jensa Weidmanna.

Lagarde zarzuca się, że z wykształcenia jest prawniczką, a nie ekonomistką. Ma jednak ogromne doświadczenie: w rządzie Dominique'a de Villepina pełniła funkcję ministra ds. handlu zagranicznego, a od 2011 r. jest dyrektorem zarządzającym Międzynarodowego Funduszu Walutowego.

PRZEWODNICZĄCY PARLAMENTU EUROPEJSKIEGO

Włoski socjalista David Sassoli zdobył w głosowaniu 345 głosów, czyli zaledwie o dwa głosy więcej niż wymagała większość bezwzględna. 63-letni były dziennikarz – przekonany o konieczności zreformowania „niedoskonałej" UE i powrotu do wizji unijnych ojców założycieli – pokonał troje innych kandydatów. ©℗

eprasa.pl 7cae2d5e67

NA PIERWSZY OGIEŃ

Wojna wszystkich ze wszystkimi

PIOTR SEMKA

W ocenach szczytu unijnego w Brukseli zderzyły się dwie narracje. Premier Mateusz Morawiecki ogłosił, że Grupa Wyszehradzka, w tym Polska, pokazała, iż jest w stanie zablokować nieakceptowalnego dla siebie kandydata, Fransa Timmermansa. Tym samym Europa mogła zobaczyć, że bez zgody V4 żaden poważny deal nie jest możliwy. Opozycja postanowiła z kolei wylansować hasło #europorażka – kpiąc, że PiS, tak wyczulony na teutońską dominację, wywalczył „Niemkę" na szefa Komisji Europejskiej. Dodatkowo PiS-owski kandydat Zdzisław Krasnodębski przegrał w głosowaniach na wiceszefa parlamentu w odróżnieniu od Ewy Kopacz.

Weźmy pod lupę wszystkie elementy tej układanki.

Morawiecki i reszta liderów wyszehradzkich istotnie odnieśli sukces. Wizja Timmermansa, który jako szef KE zrobiłby powtórkę z grillowania Polski, zaniepokoiła nie tylko Warszawę, lecz także pozostałe kraje V4 plus Włochy. Akcja przeciw Holendrowi była udaną próbą dla spójności V4. Na dodatek Morawiecki i inni liderzy, szybko akceptując nową kandydatkę Ursulę von der Leyen, stworzyli sobie dobry punkt startu do układania się z nową szefową KE.

W tym punkcie jednak siła „wyszehradczyków" się skończyła.

W nowym rozdaniu zwyciężyły interesy wielkiej dwójki – Francji i Niemiec. W ramach zemsty za „podskakiwanie" do grupy nowych liderów europejskich nie dopuszczono nikogo z Europy Środkowej. Czy Wschód ma jednak szanse na lobbing pozytywny, gdy państwa bałtyckie w kwestiach europejskich trzymają się na dystans wobec Wyszehradu, a Rumunia i Bułgaria dają się łatwo rozgrywać przez Paryż?

Storpedowanie kandydatury Timmermansa doprowadziło do szewskiej pasji socjalistów, którzy już się zemścili, nie dopuszczając Zdzisława Krasnodębskiego do grona wiceprezesów parlamentu. Cios dla PiS tym boleśniejszy, że w tych samych wyborach wyłoniono wiceszefa PE – Lívię Járokę, przedstawicielkę Fideszu wywodzącą się z węgierskich Romów.

To nie koniec galimatiasu. Głosowanie nad szefostwem Ursuli von der Leyen odbędzie się 15 lipca i nie wiadomo, jak zachowają się socjaliści. A jeśli Leyen przejdzie ich głosami, to za jaką cenę? Czy wymuszą na niemieckiej chadeczce, by pierwszym jej wiceszefem był Timmermans? I czy dostanie ponownie tekę nadzoru nad praworządnością?

Może być też inaczej. Leyen, gdy już dostanie urząd, może we własnym interesie pilnować, by Holender zbytnio nie urósł.

I wreszcie ostatnia refleksja. To źle, że w szefostwie instytucji unijnych nie ma nikogo z Europy Środkowej. Gdyby jednak mieliby to być polityczni mianowańcy Berlina czy Paryża, to czy sytuacja byłaby lepsza? A może lepiej poczekać, aż nowe państwa unijne same stworzą silny blok i wtedy wynegocjują jego wejście do władz instytucji unijnych. Co jest lepsze? Kariery, które w przeszłości oglądaliśmy z nadania Merkel – Jerzego Buzka czy Donalda Tuska – czy nominacje wynikłe z twardej gry interesów.

Europejska układanka robi się coraz bardziej chaotyczna i skomplikowana. Nie da się jej szybko wyjaśnić jednym bon motem ani pojedynczym tweetem. A tego właśnie domaga się dzisiejszy świat. ©℗

CZYTAJ TAKŻE „KONIEC UNII POZORÓW" NA STRONIE 28

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE

„WOŁYŃ ZDRADZONY" – PREMIERA W WARSZAWIE

W poniedziałek 8 lipca odbędzie się premiera nowej książki Piotra Zychowicza „Wołyń zdradzony. Czyli jak dowództwo AK porzuciło Polaków na pastwę UPA". Piotr Zychowicz jest publicystą „Do Rzeczy" i pisarzem historycznym odkrywającym i opisującym dzieje Polski oraz jej polityki w okresie międzywojennym, a także w czasie II wojny światowej.

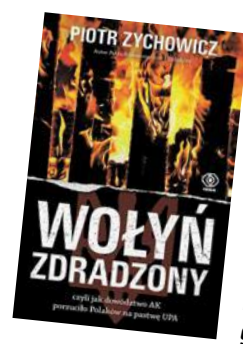

Księgarnia BookBook w Warszawie, ul. Koszykowa 34/50, godz. 18. Zapraszamy!

eprasa.pl 7cae2d5e67

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Inny punkt widzenia

Westerplatte broni się jeszcze" – zacytował jeden z liderów „opozycji totalnej" sławny wojenny komunikat, nadając mu nowy sens. Chodziło oczywiście o „obronę" wrześniowej reduty przed budowanym przez „państwo PiS" muzeum, prowadzoną przez gdańską prezydent i zarazem polityczną nadzieję PO, Aleksandrę Dulkiewicz.

Z naszego punktu widzenia – ludzi wychowywanych przez rodziców, szkoły i „patriarchalną", zacofaną kulturę na polskich patriotów – jej postępowanie jest niepojęte. W uporze, z jakim pani Dulkiewicz nie chce pozwolić na zagospodarowanie pobojowiska przez państwo, mimo że samorząd nie ma wobec niego żadnych sprzecznych z rządowymi ani żadnych w ogóle planów (kiedyś mówiło się na taką postawę „pies ogrodnika"), potrafimy zobaczyć tylko zacietrzewienie, by wszystko i zawsze robić na złość PiS.

Ale sprawa może być głębsza. Przecież możliwe są różne narracje. Jeśli na problem Westerplatte spojrzymy w paradygmacie, nazwijmy to, „wolnego miasta" – to całą historię można opowiedzieć zupełnie inaczej.

Otóż Westerplatte, skrawek nabrzeża wyrwanego z tkanki miasta na wiele lat przez narzucone przemocą ententy traktaty, to miejsce, które obywatele Wolnego Miasta próbowali 80 lat temu odzyskać. Nie wdając się w rozsądzanie dawnych sporów (po obu stronach były jakieś racje, choć były i złe słowa), trzeba stwierdzić, że oddziały gdańskich ochotników i policjantów, wspartych przez marynarzy z goszczącego akurat w mieście okrętu szkolnego, padły ofiarą polskiego podstępu. Polacy, wbrew zobowiązaniom, nielegalnie, pobudowali w tajemnicy na zajmowanym skrawku Gdańska fortyfikacje, sprowadzili tam również wiele zakazanej broni i znacznie liczniejszą od dozwolonej załogę. W efekcie wkraczający gdańszczanie dostali się nieoczekiwanie pod morderczy ogień – mówiąc wprost, była to po prostu rzeź. Okrutna rzeź niespodziewających się takiego oporu gdańskich cywilów i niemieckich kadetów szkoły morskiej.

Można tak? Można, to znaczy – nie można w „państwie PiS". Ale być może odbudowująca tradycję „wolnego miasta" opozycja po prostu nie traci nadziei, że byle nie dopuścić do zabrania jej Westerplatte przez PiS, jeszcze napisze historię tego miejsca w nowy, „europejski" sposób. ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Wiosna, ejże ty...

Wiarygodność Roberta Biedronia, lidera partii Wiosna, staje się wręcz przysłowiowa. Abstrahując już od jego partyjnych przeskoków z SLD (SDRP) do Palikota i od Palikota do własnej partii, pełnych miłości deklaracji, których po skonsumowaniu związku już dotrzymywać nie zamierzał... Im dalej w las, tym ciemniej. Było i jego zobowiązanie, że nie porzuci Słupska, że będzie walczyć o drugą kadencję w tym mieście, a zaraz po tym głośne „adieu" powiedziane słupszczanom i walka o brukselskie apanaże. Była też deklaracja o nieprzyjęciu mandatu europosła i gwałtowne wycofywanie się rakiem z tego anonsu, gdy tylko okazało się, że potężne wynagrodzenie jest w zasięgu ręki. I wreszcie była zapowiedź, że Wiosna będzie nową siłą, alternatywą dla PO i kilka tygodni później zaczęły się gierki wstępne ze Schetyną, by upadającą partię w struktury upadającej Koalicji Europejskiej włączyć.

Można by całą sprawę skwitować, przypominając gorzkie słowa Szymona Niemca, dawnego współpracownika Biedronia, który kilka lat temu zarzucał mu, że ten nic nie robi, tylko bryluje w mediach, żeby wyciągać kasę. No cóż, kasa będzie, a Wiosny nie będzie. I to nie tylko dlatego, że Biedroń nie ma żadnego pomysłu, co zrobić z politycznym bytem, ale dlatego, że idei nie mają także niedawni jego animatorzy. Krzysztof Gawkowski, wiceszef tej partii, mówi wprost, że jego partia nie ma potencjału, by wygrać wybory, i jest to i tak optymistyczna teza – nie ma ona bowiem potencjału, by wygrać cokolwiek. „Cały wielki, wspaniały projekt okazał się być katapultą dla dwójki karierowiczów" – burzy się feministka Magdalena Środa.

Wieko od trumny z napisem „partia Wiosna" od dłuższego czasu zamykało się samo, teraz jej twórcy usiedli na nim i przybijają gwoździmi, by czasem się nie otwarło. ©℗

eprasa.pl 7cae2d5e67

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O prowokacji i jej skutkach

Niemka Carola Rackete, dowodząc statkiem ratunkowym „Sea Watch" u wybrzeży Libii, wzięła na pokład migrantów z zamiarem rzucenia wyzwania Włochom. Nie wysadziła pasażerów w Libii, Tunezji ani na Malcie. Popłynęła w kierunku włoskiej Lampedusy, mimo że włoskie prawo zakazuje statkom organizacji pozarządowych wpływania na włoskie wody. Kobieta zaskarżyła włoski zakaz we włoskim sądzie i w Trybunale Praw Człowieka w Strasburgu, które skargę odrzuciły. Po dwóch tygodniach krążenia wokół wyspy zakaz zatem złamała.

Włosi przyjęli migrantów wymagających opieki medycznej i oświadczyli, że wpuszczą statek do portu, jeśli resztą przybyszów zaopiekują się inne kraje unijne. W końcu 28 czerwca osiągnięto porozumienie. Pozostało tylko załatwić formalności.

Włosi mogli odtrąbić zwycięstwo, a migranci na pokładzie mogli świętować, bo osiągnęli swój cel – Europę. Ale celu nie osiągnęła Carola. Przed drugą w nocy zatem, by wywołać międzynarodowy skandal i zostać męczennicą kultu św. Migranta, wdarła się siłą do portu, omal nie miażdżąc próbującej jej w tym przeszkodzić łodzi patrolowej policji skarbowej. Oczywiście kobieta została zatrzymana i dwa dni później stanęła przed sądem. Właśnie o to jej chodziło.

Tłumaczyła, że migranci zmęczeni oczekiwaniem grozili samookaleczeniem lub samobójstwem. Czyli że o drugiej w nocy, gdy generalnie ludzie śpią, na kilka godzin przed upragnionym zejściem na ląd, w obecności służb medycznych na pokładzie, migranci doznali nagłego ataku manii samobójczej. Zderzenie z łodzią patrolową? Łódź była sama sobie winna, bo przeszkadzała. Sędzia dał temu wszystkiemu wiarę i nakazał zwolnić kobietę z aresztu domowego, bo działała w warunkach wyższej konieczności, ratując życie migrantom. 54 proc. Włochów żądało, by przykładnie Niemkę ukarać.

Skorzystał na wszystkim pierwszy wróg migracji, wicepremier Matteo Salvini. Jego partia Liga osiągnęła rekordowe, 38-procentowe poparcie. Jeszcze jeden statek z migrantami i Salvini będzie mógł samodzielnie rządzić. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Tweety, na które nie zasługujemy

Ponieważ miniony tydzień obfitował w zwroty akcji (czy ktoś w polityce pamięta o wakacjach?!), nie będzie głównego tematu odcinka. Będą za to same, każda z innej półki, perełki. Zacznijmy od rzecznika prezydenta Trzaskowskiego. „42 stopnie Celsjusza dzisiaj w Warszawie przed 17:00. Rząd PiS ignoruje zmiany klimatyczne i potrzeby Polaków, którzy chcą zadbać o przyszłość. Dlatego Warszawa i samorządna Polska biorą sprawy w swoje ręce. Życie i zdrowie Polaków są naszym priorytetem" – zatweetował Kamil Dąbrowa ze swojego SUV-a z 2,5-litrowym silnikiem, z maksymalnie odkręconą klimatyzacją w środku.

À propos hipokryzji. „To ciekawe, jak niewielu polskich dziennikarzy i komentatorów zwróciło uwagę, że retoryka Putina na temat wartości liberalnych, imigracji oraz multikulturalizmu brzmi raczej podobnie do tej prezentowanej przez Kaczyńskiego" – stwierdził Henry Foy. Dziennikarz, który nie zapytał Putina podczas wspomnianego „ekskluzywnego wywiadu" dla „Financial Timesa" o Ukrainę, Krym i Donbas, już po fakcie bez lęku przypomniał o polskim autorytaryzmie. Bohater, na którego nie zasługujemy.

„Poszanowanie reguł państwa prawa było dla krajów naszego regionu przepustką do Unii Europejskiej. Dzisiaj sojusz Europy Środkowej i Włoch blokuje Timmermansa, który stanął w obronie praworządności, wbrew rządom, po stronie obywateli narażonych na arbitralność władzy. #wstyd" – zwierzył się Leszek Jażdżewski. Pamiętamy odwagę Timmermansa podczas brutalnego pałowania Katalończyków, pacyfikacji żółtych kamizelek we Francji, rozganiania ekologów w Niemczech. Pełna zgoda. Wstyd nie udzielić poparcia tak wielkiemu Europejczykowi, Człowiekowi Roku „Gazety Wyborczej". Szczególnie że jego walkę o praworządność poseł Piotr Misiło podsumował hasztagiem „#zMiłościDoNaszychDzieci". Hańba.

Na koniec pierwszy tweet od dawna wychodzącego z aresztu byłego „Zasłużonego dla Obronności Ojczyzny". „Bardzo dziękuję za wszystkie wyrazy wsparcia i modlitwy!!! Jestem pewny, że udowodnię swoją niewinność przed sądem. Tymczasem... carpe diem! :) Ps. Nazywam się Misiewicz, Bartłomiej Misiewicz. A nie Bartłomiej M... ;)" – tak trzeba żyć, prawda? ©℗

eprasa.pl 7cae2d5e67

FOT. PAWEŁ GROMADA

PEŁNA PROFESKA

Aktorka i celebrytka Kasia Warnke związana z aktorem Piotrem Stramowskim do tej pory kategorycznie zaprzeczała wszelkim medialnym spekulacjom, jakoby spodziewała się dziecka. Była w tym stanowcza i konsekwentna. Aż tu nagle na ostatnim pokazie mody wyszła w roli modelki z pięknie uwypuklonym ciążowym brzuszkiem. Zgromadzeni celebryci i pracownicy tabloidów przeżyli niemałe zdziwienie, a pani Warnke nie kryła satysfakcji, że tak pięknie marketingowo rozegrała swój nowy stan. Część fanów nie doceniła jej sprytu i zaczęła pytać, czy we wszystkim celebrytka jest tak prawdomówna jak w zaprzeczaniu ciąży.

– To nie jest kwestia prawdomówności, tylko kontroli nad własnym życiem – odpowiedziała Warnke. – Nie miałam ochoty dzielić się tą informacją publicznie do tej pory, a ktoś sobie uzurpował prawo do ujawniania moich osobistych spraw. I jestem niezwykle zadowolona z obecnej sytuacji – wyznała. Dodała też, że prowadzona przez nią gra w zaprzeczanie to jej wielki sukces. – Nie czuję się moralnie zobowiązana wobec tabloidów. Także postrzegam przeprowadzoną przez siebie grę jako sukces PR-owy – podkreśliła. Czyli chodziło o czysty PR, a nie jakąś tam ochronę prywatności. Show-biznes nam się mocno profesjonalizuje.

WAKACJE Z GLUTENEM

Uwaga! Szok i niedowierzanie. Julia Wieniawa zjadła naleśnika z kremem czekoladowym. W Paryżu! Pod zdjęciem poinformowała, że naleśnik zawierał gluten!

To news tygodnia, bo Julia wcześniej opowiadała w wywiadach, że wydaje jej się, że jest na gluten uczulona, więc go nie je. – Jeszcze co prawda tego nie sprawdziłam, ale jestem przekonana, że tak właśnie jest. Gdy zjem coś, co zawiera gluten, to robią mi się na skórze plamki, które mnie swędzą i bolą – opowiadała niedawno w „Fakcie". – Jak kiedyś nie jadłam glutenu przez miesiąc i nagle zjadłam sobie pizzę, to dwa dni później czułam taką depresję. Nie wiedziałam, o co mi chodzi, było mi smutno – dodawała. A teraz zjadła naleśnika. I to z czekoladą. Życie na krawędzi!

STOP MĘCZENIU

Joanna Przetakiewicz, była partnerka nieżyjącego już Jana Kulczyka, znów postanowiła zająć się coachingiem Polek, które przekonuje, by przestały narzekać i cieszyły się życiem. Tak jak ona. – Czy czujesz, jak bardzo takie marudzenie fizycznie i psychicznie męczy? Tak samo jak przebywanie z takim męczykotem. To moje własne, ulubione określenie na masakryczne marudy i skończonych nudziarzy. Świetnie ostatnio to nazwała Oprah: „dobrowolnym pozbywaniem się własnej siły" – pisze na Instagramie Joanna. – Stop męczeniu kota. Czy czujesz, że narzekając na coś, no co nie masz wpływu lub nie masz zamiaru tego naprawiać, osłabiasz się? – pyta. Nas osłabiają motywacyjne wpisy pani Joanny. I za nic w świecie nie damy sobie odebrać prawa do narzekania, że każdy kolejny osłabia nas coraz bardziej. Stop męczeniu ludzi!

DALEKA DROGA EDZI

Edyta Górniak wyznała, że nie miała wcale łatwego dzieciństwa. – Wychowałam się w normalnych warunkach, można powiedzieć, skromnych – wspomina w „Fakcie" piosenkarka. – Niewiele się tu zmieniło. Bawiłam się na schodkach, nawet nie miałam łopatki. Babcia dała mi starą łyżeczkę i tą łyżeczką bawiłam się w piachu. No i tutaj zaczęła się moja droga. Przecież ja z tych schodków miałam daleką drogę na Broadway. Niewyobrażalnie daleką. Przeszłam ją. Chcę powiedzieć wszystkim, którzy boją się

FOT. TRICOLORS/EAST NEWS

wierzyć: idźcie po swoje! Życie może was zabrać nieskończenie daleko – stwierdziła. Tak jak nieskończenie daleko odpłynęła nam Edzia przez te lata. Szkoda, że tylko w wywiadach.

DRAMAT WSZECH CZASÓW

3 lipca 2019 r. rozegrał się dramat całego polskiego show-biznesu. Wieczorową porą na trzy godziny (trzy!) padły Facebook, Instagram i inne media społecznościowe. Pech chciał, że stało się to akurat wtedy, gdy wyszykowane gwiazdy wyruszały do ataku na festiwal Open'er, gotowe do wrzucania do sieci relacji na żywo, selfików, fotek i filmów. Z tego wszystkiego część z nich poszła na koncert, zamiast pozować do zdjęć. Nam też trudno było w to uwierzyć. Na szczęście po trzech godzinach wszystko wróciło do normy i zaczęły pojawiać się pierwsze zdjęcia i relacje. Świat odetchnął z ulgą! ©℗

eprasa.pl 7cae2d5e67

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, pomijając kwestie personalne, czyli kto objął jakie stanowisko w Europie, musimy jasno stwierdzić, iż polityka zagraniczna rządu okazała się klęską i zbojktowanie wyboru Fransa Timmermansa świadczy o niej wyłącznie źle. Otósh kolejny raz okazała się to polityka, która dzieli, a nie łączy. Polski rząd skłócił w Europie wszystkich ze wszystkimi i dał pokaz ignorancji, buty i pogardy dla zwykłego Europejczyka. Czyli wszystkiego, do czego jesteśmy w kraju przyzwyczajeni, ale czego ludzie Zachodu nie znają.Teraz of kors obserwujemy festiwal samozadowolenia (i nie chodzi o młodzież na Openerze) i rząd będzie nam wmawiał, iż odniósł sukces. A jak było, wszyscy widzieli – knucie, szczucie i wstyd na całą Europę.

Rząd postanowił uruchomić kolejne narzędzie dyskryminacyjne i chce zwolnić z podatku dochodowego młodych pracowników do 26. roku życia. Po pierwsze, to źle, bo młodym się będzie wydawać, że opłaca się wziąć umowę o pracę zamiast trzeciego kierunku humanistycznych studiów licencjackich. Po drugie, im mniej podatków, tym mniej dróg, autostrad, mostów i stadionów.

Ale też, jak sobie tak pomyślimy, mniej hajsu na „500+". Czyli że co – zerowy PIT ma odwracać uwagę od prokreacji? Mamy wrażenie, że rząd sam się nieco zapętlił. W każdym razie naszą uwagę zwraca to, iż jest to przepis wprowadzający dyskryminację ze względu na wiek. My akurat, zakładając, że mamy normalne państwo, chętnie płacimy podatki. Mamy też niestety więcej niż 26 lat, ale identyfikujemy się, jakbyśmy mieli mniej. Gdyby więc zmienił się nasz background poglądowy i uznalibyśmy, iż chcemy być zwolnieni z podatku, to nie możemy, bo ktoś zagląda nam w metrykę i decyduje za nas, ile mamy lat. To jest po prostu nie do pomyślenia.

Czy to przypadek, że awaria Instagrama wystąpiła akurat tego dnia, kiedy rozpoczynał się kolorowy i radosny Opener – festiwal młodzieży, uśmiechu i tolerancji? Jak teraz uczestnicy festiwalu mają pokazać zdjęcia światu? Jak się mają pochwalić, iż tam są? Wysyłać MMS-y? Ta, może jeszcze wiadomości na Gadu-Gadu?

Witajcie, kochani, w kraju, w którym takie dziwne zbiegi okoliczności będą się zdarzały coraz częściej. Za każdym razem, kiedy będzie się odbywało podobne radosne i europejskie wydarzenie, przypadkiem będzie się wyłączał Internet, nie będzie można wrzucić zdjęcia na insta ani zostawić lajka na fejsie. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
FB.COM/MWIZWO

REKLAMA

POBYTY Z ZABIEGAMI
w Ciechocinku „Pod Tężniami"

Leczymy m.in.:
- bóle kręgosłupa i dyskopatie
- bóle mięśni i stawów oraz zmiany przeciążeniowe
- stany po urazach i operacjach ortopedycznych
- schorzenie zwane ostrogą piętową
- łokieć tenisisty i golfisty
- nietrzymanie moczu
- stany po udarach mózgu

posiłki bez limitu - bufet
25 zabiegów na 7 dni pobytu
dwa badania lekarskie •
wstęp na basen oraz do zespołu saun do 90 min. dziennie •
seans w Komnacie Solnej do 45 min. co drugi dzień •
wstęp na wszystkie imprezy kulturalno-rozrywkowe •
Tygodniowe lub dłuższe pobyty w terminie:
07.07 - 29.09.2019 r. - 29.09 - 27.10.2019 r.

KLINIKA UZDROWISKOWA® „Pod Tężniami" im. Jana Pawła II

Klinika Uzdrowiskowa
„Pod Tężniami" im. Jana Pawła II
ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek
www.podtezniami.pl

tel. 54 416 70 00

eprasa.pl 7cae2d5e67

Polski węzeł gordyjski

– Polska Wschodnia jest obok wschodnich Niemiec i południowych Włoch jednym z trzech węzłów gordyjskich europejskiego rozwoju – mawiał prof. Antoni Kuczyński, historyk i etnolog. Mitycznego węzła nie udało się rozwiązać. Trzeba było ciąć. W przypadku Polski Wschodniej może być inaczej.

O tym, jak rozwiązać, nie tnąc, co zrobić i co już zostało zrobione, dyskutowali uczestnicy debaty „Inwestycje w Polsce Wschodniej". W dyskusji wzięli udział: Tomasz Buczyński z Ministerstwa Infrastruktury, wojewoda warmińsko-mazurski Artur Chojecki, członek zarządu BGK Przemysław Cieszyński, prezes zarządu Suwalskiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej SA Leszek Dec i Przemysław Spyra, prezes zarządu Inwestycje.pl SA. Debata odbyła się 24 czerwca w Gdyni podczas II Forum Wizja Rozwoju.

DOGANIANIE PELETONU

Kiedyś mówiło się o „Polsce A" i „Polsce B". Dziś preferowane są bardziej dyplomatyczne określenia: Polska Zachodnia i Polska Wschodnia. Jednak bez względu na nazewnictwo problem pozostaje ten sam. Geneza dysproporcji w rozwoju gospodarczym i społecznym lepiej rozwiniętego zachodu i próbującego nadrobić zaległości wschodu Polski sięga czasów zaborów. Czy ten podział ma szanse zniknąć? Uczestnicy debaty przekonywali, że już znika. Jednym z dowodów na to jest dynamiczny rozwój przedsiębiorczości. –Przedsiębiorcy z Polski Wschodniej coraz bardziej się „rozpychają" na rynku – mówił Przemysław Spyra, prezes zarządu dolnośląskiej spółki Inwestycje.pl SA. W zwiększeniu możliwości „rozpychania się" niebagatelną rolę odegrały

eprasa.pl 7cae2d5e67

Debata „Inwestycje w Polsce Wschodniej" odbyła się podczas II Forum Wizja Rozwoju FOT. DANIEL FRYMARK

absorbowane przez region środki unijne. – W ramach programów regionalnych wsparliśmy prawie 2 tys. podmiotów łączną kwotą niemal 280 mln zł. Wsparcie dotarło głównie do małych i średnich przedsiębiorstw. To ważne, gdyż w dużym stopniu to one generują rozwój rodzimej gospodarki – mówi Przemysław Cieszyński z Banku Gospodarstwa Krajowego. Poza sektorem małych i średnich przedsiębiorstw BGK wspiera także działających w regionie gigantów, współpracując m.in. z Grupą Enea, do której należą kopalnia Bogdanka i Elektrownia Kozienice. Ta ostatnia dzięki wsparciu BGK kończy właśnie budowę dodatkowych bloków. BGK ma swój udział także w restrukturyzacji szpitali należących do Marszałka Województwa Podkarpackiego.

MAGNES NA INWESTYCJE

Wśród czynników, które uruchomiły potencjał regionu, poza środkami unijnymi wymieniano także widoczne zwłaszcza w ostatnich latach nakłady na rozwój i modernizacje infrastruktury. – To region, który przez lata poddany był komunikacyjnemu wykluczeniu. Inwestycje w infrastrukturę drogową, kolejową, a także energetyczną pozwoliły przerwać ten krąg niemocy. Dzięki nim dziś odrabiamy zaległości szybciej niż w ostatnich dziesięcioleciach – przekonywał wojewoda warmińsko-mazurski Artur Chojecki. Rozwój infrastruktury to lepsza komunikacja z resztą Polski, ale także magnes na inwestycje. Przykład? Budowa trasy S7. – Wokół każdego z oddawanych etapów inwestycje krajowe i zagraniczne wyrastały jak grzyby po deszczu – przekonuje Chojecki. Kluczową rolę inwestycji w infrastrukturę podkreślał także Leszek Dec, prezes zarządu Suwalskiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej SA. – Ostatnie trzy lata były przełomowe: budowa kolejnych etapów drogi ekspresowej S61 czy otwarcie S8. Warszawa dziś jest już o rzut kamieniem – tłumaczył.

Co dalej? Wśród projektów, z którymi wiązane są największe nadzieje, wymieniano dalszą modernizację linii kolejowych między miastami wojewódzkimi regionu i projekt Rail Baltica, czyli linię kolejową łączącą Warszawę, Kowno, Rygę, Tallin i Helsinki. Także tzw. Korytarz Bursztynowy, linie połączeń towarowych w kierunku Słowacji, Węgier i Słowenii. Podejście PKP do kwestii rozbudowy i modernizacji chwalił Leszek Dec. – Kiedyś PKP postrzegane były jako państwo w państwie. Dziś wychodzi naprzeciw oczekiwaniom – przekonywał, dodając, że to bardzo dobry prognostyk dla rozwoju przedsiębiorczości w regionie.

WIELKIE NADZIEJE

Polska Wschodnia się rozwija, ale czy jest w stanie dogonić Polskę Zachodnią? Tutaj zdania były podzielone. Tomasz Buczyński z Ministerstwa Infrastruktury przekonywał, że to możliwe, bo najważniejsza jest wizja rozwoju, a Polska Wschodnia taką wizję ma. Podobnie uważa wojewoda warmińsko-mazurski Artur Chojecki, który dodaje, że wschód ma potencjał ukryty w czymś, co często uważane jest za obciążenie, czyli w wyższym niż gdzie indziej bezrobociu. Aktywizacja rąk zdolnych do pracy jest trudna, ale w przyszłości może być dla wschodu Polski znaczącą stymulacją rozwoju. Według Przemysława Cieszyńskiego z BGK potencjał regionu tkwi w turystyce. – Mówimy o obszarach, które dzięki swojej specyfice mają do zaoferowania coś, czego nie mają inne, a co dziś staje się coraz bardziej potrzebne. Rekreacja, wypoczynek, możliwość ściągania turystów, także z zagranicy. To tzw. przemysł wolnego czasu. Wielki biznes. Są całe kraje, dla których turystyka to ważny, jeśli nie najważniejszy, składnik przychodów. Nie widzę przeciwskazań, by tu miało być inaczej – tłumaczy. Mniej optymistyczny w ocenie szans Polski Wschodniej był prezes zarządu Inwestycje.pl SA Przemysław Spyra. Argument? Kwestie związane z ochroną przyrody. W Polsce Wschodniej znajduje się wiele terenów wpisanych ze względu na ich walory przyrodnicze do programu Natura 2000. Ta klasyfikacja sprawia, że nie można ich zagospodarować, co z jednej strony napędza ruch turystyczny, ale z drugiej w przyszłości może stać się jednym z hamulców rozwoju.

BARIERA EKOLOGICZNA

– Musimy wprowadzić balans pomiędzy wizją rozwoju opartą na turystyce a koniecznością ściągnięcia tu przemysłu – przekonywał wojewoda warmińsko-mazurski Artur Chojecki. Otwarcie na przemysł ma odbyć się przy zachowaniu równowagi z turystycznym i ekologicznym wymiarem regionu, nazywanym „barierą ekologiczną". Pytanie tylko, czy taki balans jest możliwy. Ostrożność zaleca Przemysław Cieszyński z BGK. – Oczywiście, nie twierdzę, że należy wzbraniać się przed lokalizowaniem tu kluczowych inwestycji, ale ze względu na potencjał turystyczny regionu doradzałbym selekcję i daleko posuniętą ostrożność. Przecież nikt nie będzie chciał odpoczywać, widząc na horyzoncie wielką fabrykę – przekonuje.

– „Wizja" i „rozwój" to słowa, które będą wytyczały kierunek dla Polski – mówił podczas otwarcia forum w Gdyni patronujący wydarzeniu premier Mateusz Morawiecki. Przykład wizji ukoronowanej sukcesem? Sama Gdynia. Osada rybacka, która w dwudziestoleciu międzywojennym, dzięki inwestycjom, w ciągu kilkunastu lat przekształciła się w ponad 130-tysięczne miasto. Polska Wschodnia idzie dobrą drogą. Za kilka lat przekonamy się, czy stanie się, na miarę Gdyni, symbolem spektakularnego sukcesu.

Olga Kowalska

eprasa.pl 7cae2d5e67

dwaj panowie g

No i po konwencji programowej PiS. Usłyszeliśmy od wiewiórek z Nowogrodzkiej ciekawą informację o nieoczywistych celach tego spotkania. Nie chodziło jedynie o tezy programowe, lecz także o zarządzanie oczekiwaniami własnych członków oraz najtwardszego elektoratu, który chciałby ostrzej, mocniej i szybciej. Ponieważ z badań wychodzi, że Polacy chcą spokoju, trzeba także radykałów przyzwyczaić do myśli, że wolniej i łagodniej zajedzie się dalej.

Przyspieszenie będzie gdzie indziej. Kampania wyborcza ma być jak seks – krótka, intensywna i zwycięska. Tak przynajmniej słyszeliśmy na Nowogrodzkiej. To znaczy porównanie do seksu sami wymyśliliśmy, ale reszta się zgadza. Stąd koncepcja, by druga konwencja PiS, już stricte wyborcza, odbyła się dopiero na początku września. Przez tydzień będzie komentowana, potem miesiąc kampanii i fruuuu, głosy do urn!

Inna ciekawa plotka à propos korekt programowych PiS. Na Nowogrodzkiej dojrzewa koncepcja, by spod programu „500+" jednak wyłączyć najbogatszych. Oszczędzi się w ten sposób ze 2 mld zł, które można by przeznaczyć na przykład na większą pomoc dla tych, którzy decydują się dopiero na pierwsze dziecko.

Tymczasem w Łeuropie. Uwalenie kandydatury Fransa Timmermansa nie kończy sprawy. W Parlamencie Europejskim tworzy się egzotyczna koalicja, która chce uwalić w głosowaniu Ursulę von der Leyen. Wygląda na to, że przeciw Niemce będzie głosowało sporo Niemców od prawa do lewa. To znaczy od AfD do SPD. W tej sytuacji oczy Niemiec zwrócone są na delegację polską. A liczba szabel, którą dysponuje PiS, daje bardzo dobrą pozycję przetargową. PiS zaś nie zamierza swojego poparcia sprzedawać za miskę soczewicy.

Źli ludzie opowiadają, że Krzysiek Szczerski jednak nie będzie wiceszefem NATO. Mimo że bardzo by chciał. Podobno w wyniku rywalizacji kandydata polskiego oraz kontrkandydata estońskiego skończy się na wyborze kandydata rumuńskiego. Tak czy inaczej flanka wschodnia będzie dopieszczona. Tylko co z Krzyśkiem?

Odpowiadamy: Krzyśka rozpiera energia i bardzo chciałby wyrwać się z gabinetu na pierwszym piętrze pałacu prezydenta Andrzeja Sebastiana z widokiem na Hotel Europejski. Stąd koncepcja, by właśnie on został polskim komisarzem unijnym. Słyszeliśmy, że prezydent Andrzej Sebastian ma już nawet dwóch kandydatów, którzy mogliby zastąpić Krzyśka jako prezydenckiego ministra od różnych zagranicznych ważnych spraw.

Słyszeliśmy też, że zastępowania Krzyśka Szczerskiego na stanowisku szefa gabinetu politycznego prezydenta Andrzeja Sebastiana raczej się nie planuje. Można by na przykład połączyć to stanowisko ze stanowiskiem szefa Kancelarii Prezydenta i też będzie dobrze. Nie każdy bowiem ma takie ambicje jak Krzysiek.

Witamy w Sejmie nowy klub: PSL-Koalicja Polska. W skrócie PKP. Nie możemy się już doczekać, kiedy do PKP dołączy kolejny wagonik, czyli Kukiz'15. Wiemy, wiemy, Paweł Kukiz miał być lokomotywą wyborczą, ale taki już jest los lokomotyw, które przegapią swój czas. Zostają wagonikami.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

W kwestii Kukiza PSL przypominamy naszą zapowiedź sprzed dwóch tygodni: „Paweł ma gotowy argument, którym będzie zbijał oskarżenia, że wchodzi w sojusz z zieloną sitwą. Brzmi tak: »nazwałem PSL zorganizowaną grupą przestępczą, ale skoro mamy tak dobrze działającą prokuraturę i sądy, to gdyby było tak w rzeczywistości, dawno zostaliby ukarani«". A teraz cytat z wypowiedzi Kukiza sprzed paru dni: „Przez cztery lata prezes i PiS mieli absolutnie wszystkie instrumenty, żeby potencjalnych przestępców zatrzymać. Skoro nikogo nie zatrzymano, nikt nie siedzi, to znaczy, że bardzo mocno myliłem się w tej ocenie". Niestety, czarne scenariusze się spełniają.

Czysto kapitalistyczna wartość Ryśka jest znikoma. Współczujemy biznesowi

Ciekawa rzecz, podobno o współpracy kukistów z PSL najbardziej marzy Tyszka Stanisław, znany też jako wicemarszałek Sejmu. Wszystko dlatego, że w odróżnieniu od innych posłów kukistowskich drogę na listy PiS ma zamkniętą. Wszystko z powodu daleko posuniętego tyszkosceptycyzmu wykazywanego przez Kaczora Dyktatora. To jednak mądry człowiek, ten nasz Naczelnik.

Witamy w PeŁo! Krainie mlekiem, miodem i demokracją płynącej! Te słowa kierujemy do najnowszego nabytku partii, czyli Myszki Agresorki. Gdy się chwilę zastanowić, jej decyzja ma sens. Kamila Gasiuk-Pihowicz zwykle:
a) nie wie, co mówi, b) mimo to mówi bardzo dużo,
c) mówiąc dużo, zawsze nienawidzi PiS,
d) gdy była jeszcze Myszką z Nowoczesnej, wiele razy wspominała także o tym, jak bardzo nie cierpi Grześka Schetyny. Krótko mówiąc – idealny, wzorcowy członek PeŁo.

Żegnamy natomiast Ryśka Petru. Odchodzi z polityki do biznesu. Mamy mieszane uczucia. Słyszeliśmy, że to tylko chwilowe wycofanie się na z góry upatrzone pozycje. Więc niestety wróci.

W sprawie Ryśka Petru troska jednak przeważa nad satysfakcją. Wszystko dlatego, że jedyne biznesy, którymi ten człowiek się w życiu zajmował, to zasiadanie, asystowanie lub doradzanie. Czysto kapitalistyczna wartość Ryśka jest więc znikoma. Współczujemy biznesowi. Obawiamy się, że działalność

eprasa.pl 7cae2d5e67

Ryśka w biznesie może być dla biznesu rzeczą jeszcze gorszą od wszelkich pomysłów Ministerstwa Finansów.

Wieści z Trybunału Konstytucyjnego. Mają tam strasznie dużo roboty. No po prostu niewyobrażalnie dużo. Z tego powodu sprawą wniosku prezydenta Andrzeja Sebastiana w sprawie nowelizacji kodeksu karnego TK zajmie się dopiero po wyborach. A kto wie, może dopiero w przyszłym roku? Co zrobić, jak pech, to pech…

Gorąco protestujemy przeciwko mołdawskiemu cukiernictwu. Wszystko przez to, że jego reprezentantem został w Polsce były szef CBA Wojtunik Paweł, otwierając pierwszą cukiernię mołdawskiej sieci w Polsce. Jest tylko jedna korzyść z przebranżowienia Wojtunika. Nowa ksywa: Ciasteczkowy Potwór. Jednak ksywa Gazor była lepsza. Niezorientowanym wyjaśniamy, że aby zrozumieć jej sens, powinni zanucić przebój Lady Pank „Kryzysowa narzeczona": „Aż po blady świt / Słuchać nowin i uderzać w gaz / Niejeden raz".

Z życia wyższych sfer. 3 lipca w rezydencji amerykańskiego namiestnika w Vistula County odbyło się party z okazji Dnia Niepodległości. Też uważamy, że organizowanie takich party dla obcych w przededniu właściwego święta ma sens. Najedzą się, napiją i przynajmniej nie będą przeszkadzać nazajutrz we właściwym świętowaniu.

Party u Georgette Mosbacher zorganizowano w stylu country and western. Sama namiestnik była w ten sposób wystrojona, no i muzyka była stosowna, nie mówiąc o grillowanych żeberkach. Odnotowano ciekawy taniec dyplomatyczny. We wspólnych objęciach hołubce wyczyniali senator Anna Maria Anders i ambasador Ukrainy Andrij Deszczycia.

Nie wszyscy goście dorośli do kowbojskiego poziomu imprezy. Na przykład Artur Balazs miał dżinsy i odpowiednią koszulę, ale już Władek Kosiniak-Kamysz, naczelny ludowiec, niestety, zwyczajny garnitur. Kapelusz na głowie miał za to Tomasz Sakiewicz, największy sojusznik USA w Polsce. Przypominamy jednak Tomkowi, że naczelnym kowbojem RP jest Wojciech Cejrowski. Saki może więc być jedynie drugim kowbojem RP.

Opozycyjne wyższe sfery świętowały, jak wiadomo, miesiąc wcześniej, w Gdańsku, na słynnym spędzie 4 czerwca. Nieoczekiwanym efektem ubocznym tej imprezy jest przyjaźń pewnego samotnego szczeniaka z Sopotu oraz znanej sejmowej figury z PeŁo, czyli wicemarszałek Sejmu Małgorzaty Kidawy-Błońskiej. Szczeniak znalazł nowy dom u pani marszałek i wabi się Render. Hm, a dlaczego nie „Gender?". ©℗

REKLAMA

Inwestycje w zgodzie z naturą

Mazurską gminę Miłki zamieszkuje niespełna 4 tys. osób, a 2/3 jej powierzchni to użytki rolne. Nie ma tu dużych zakładów przemysłowych, dzięki czemu mieszkańcy, i turyści mogą cieszyć się czystą przyrodą. W dodatku gmina leży na szlaku Wielkich Jezior Mazurskich, przy popularnych jeziorach Niegocin, Boczne i Jagodne, co stawia ją w centrum zainteresowania osób poszukujących możliwości inwestycyjnych na Mazurach.

O planach rozwoju gospodarczego gminy rozmawiamy z panią wójt, Barbarą Mazurczyk.

Miłki to jedna z najmniej zaludnionych gmin w Polsce, a już na pewno na Mazurach. Mimo położenia przy jeziorach, jak dotąd nie ma u Was większych hoteli i marin. Planujecie to zmienić?

Niekoniecznie. Podstawowym atutem Miłek jest czyste powietrze i piękna przyroda, a naszym obowiązkiem jest te walory zachować. Stawiamy na zrównoważony rozwój, tworząc korzystne warunki głównie małym i średnim firmom. Ponieważ nie wszyscy są i będą w stanie utrzymać się wyłącznie z turystyki, potrzebujemy inicjatyw, które gospodarczo wydłużą 4-ro miesięczny sezon. Uważamy, że może to być przemysł przetwórczy związany z rolnictwem i produkcją zdrowej żywności, czy usługi związane z budową Mazurskiej Pętli Rowerowej. Zachęcamy też do rozwijania własnej działalności w oparciu o środki unijne, np. w ramach konkursów Lokalnej Grupy Rybackiej czy LGD9. W ludziach tkwi ogromny potencjał, należy ich tylko odpowiednio zachęcić do działania.

Jakie branże gospodarki sprawdzają się tu najlepiej?

Na pewno produkcja żywności wysokiej jakości. Mamy coraz więcej gospodarstw o statusie ekologicznym, rolnicy robią sery zagrodowe, pieką chleb itp. Zachęcamy ich do tworzenia grup producenckich. Potrzebna jest sieć dystrybucji, która dostarczałaby lokalne produkty do gastronomii – nie tylko na Mazurach. Myślimy tu o inkubatorze przedsiębiorczości, który będzie to wspierał. Cenne są inicjatywy związane z mazurskimi potrawami i produktami regionalnymi, jak np. niedawny Festyn Jagodowy w Jagodnem Wielkim. Może w przyszłości stworzymy markę produktu promującą Gminę Miłki poza jej granicami? Kiedy lokalna społeczność współpracuje, rodzą się naprawdę super pomysły.

Czym możecie się pochwalić przed potencjalnymi inwestorami?

Inwestujemy w infrastrukturę i ochronę środowiska. Poprawiamy naszą efektywność energetyczną (energooszczędne oświetlenie uliczne i w budynkach publicznych, ich termomodernizacja, wymiana źródeł ciepła). Chronimy przy tym nasze walory naturalne, bo są one naszym prawdziwym bogactwem. Zwłaszcza, że ostatnio obserwujemy też u nas ogólnopolski trend - modę na mieszkanie na wsi. Zachętą dla potencjalnych inwestorów będą zadbane miejscowości, dobre szkoły i infrastruktura, szybki internet, a przede wszystkim zachwycająca i nieskażona cywilizacją przyroda. Skutecznie pozyskujemy też środki unijne i będziemy to kontynuować.

Wspólnie z 10 innymi gminami regionu prowadzicie ogólnopolską kampanię informacyjną, celem zmiany wizerunku gospodarczego regionu. Wygląda na to, że współpraca z potencjalnymi konkurentami do lokowania inwestycji Wam się opłaca. Jak według Pani będą wyglądały Miłki za 10 lat?

Wspólna promocja to niższe koszty dotarcia do większej liczby inwestorów, więcej ludzi skojarzy też Miłki z Wielkimi Jeziorami Mazurskimi. A przykłady zmian gospodarczych w sąsiednich gminach będą także inspiracją dla nas. Miłki za 10 lat? Na pewno rozwinięte turystycznie, atrakcyjne dla mieszkańców, przedsiębiorców i turystów. Do naszej perełki - Rydzewa, wkrótce dołączą inni, z siecią agroturystycznych gospodarstw oraz domków na wynajem. U nas znajdą ofertę wypoczynku na łonie natury, wędkowania, jesienią grzybobrania, a zimą sportów zimowych. Będziemy produkować też więcej żywności wysokiej jakości, a nasza lokalna marka będzie znana w całej Polsce. Zapraszamy już teraz!

Mazury to Biznes
Mazury.
Biznes z natury
www.mazurytobiznes.pl

W skład Stowarzyszenia wchodzą Miasto Giżycko, Gmina Giżycko, Węgorzewo, Miłki, Orzysz, Pisz, Ruciane-Nida, Mikołajki, Miasto Mrągowo, Gmina Mrągowo oraz Ryn

Fundusze Europejskie Program Regionalny
Rzeczpospolita Polska
Zdrowe życie, czysty zysk
Unia Europejska Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego

eprasa.pl 7cae2d5e67

FOT. TOMASZ RADZIK/SE/EAST NEWS

Na celowniku anty-PiS

eprasa.pl 7cae2d5e67

Maciej Pieczyński

Wzbudza negatywne emocje nawet we własnym obozie politycznym. A jednak wrócił na polityczny szczyt. Szef TVP nazywany jest dziś cichym zwycięzcą walki o europarlament

Kurski. Strażnik wyborczej propagandy – tak prezesa Telewizji Polskiej nazwała Agnieszka Kublik. Przekaz TVP dziennikarka „Gazety Wyborczej" określiła mianem „praktyki względnej rzeczywistości". Chyba najostrzejsze słowa krytyki pod adresem Jacka Kurskiego padły w styczniu, po kontrowersjach związanych ze sposobem przedstawienia sprawy zabójstwa Pawła Adamowicza. Bo wcześniej w „Wiadomościach" bardzo często pojawiały się materiały przedstawiające Adamowicza w negatywnym świetle. Dziennikarze niejednokrotnie opisywali niejasne interesy czy kontrowersyjne decyzje prezydenta Gdańska. Dla „antypisu" był to pretekst, by winą za tragedię obarczyć TVP. Oskarżano telewizję o nagonkę, której owocem miało być zabójstwo. Sławomir Neumann z PO tak oceniał wówczas przekaz telewizji publicznej: „Przemysłowe sianie nienawiści, odzieranie ludzi z godności, szczucie". – Jeśli tego nie przyznamy, to nie zrozumiemy przyczyn tego, co się stało w Gdańsku – insynuował prominentny polityk PO.

Z kolei Władysław Kosiniak-Kamysz nazwał wówczas Telewizję Polską rynsztokiem nienawiści. Szef ludowców wysłał do prezesa PiS petycję z prośbą o odwołanie Jacka Kurskiego, który w zgodnej opinii przedstawicieli „antypisu" personalnie odpowiadał za to, co nazwali propagandową nagonką. Kosiniak-Kamysz pisał m.in. o „dziesiątkach tysięcy naszych Rodaków", którzy wyszli na ulice protestować przeciwko „fali nienawiści zalewającej Polskę". „Zasiadając wieczorem przed telewizorem, oczekiwali budowy poczucia wspólnoty i dodania otuchy. Zamiast tego Telewizja Polska w swoim sztandarowym programie informacyjnym zajęła się rozbijaniem narodowej solidarności. Po raz kolejny obecne kierownictwo telewizji publicznej uczyniło z »Wiadomości« maszynę do dzielenia Polaków, wzbudzania wzajemnej nienawiści, szczucia naszych Rodaków na polityczną opozycję. Nawiązując tym samym do najgorszych wzorców »Dziennika Telewizyjnego«, a po emisji wczorajszego programu – wręcz prześcigając ówczesną tubę komunistycznej propagandy" – pisał lider PSL. Jarosław Kaczyński nie zareagował na petycję.

WZMACNIANY ATAKAMI

Nie brak opinii, że im bardziej Kurski jest atakowany przez totalną opozycję, tym silniejsza jest jego pozycja polityczna. Prezes TVP zyskuje w ten sposób status męczennika za słuszną sprawę. Dla żelaznego elektoratu PiS bezpardonowe ataki na Kurskiego są wręcz dowodem na to, że szef telewizji publicznej ze swojego zadania wywiązuje się znakomicie. Politycy partii rządzącej nieoficjalnie zauważali, że nie sposób „milcząco zgodzić się na narrację przeciwników". „Nieuzasadniony hejt" na Kurskiego stał się dla centrali przy Nowogrodzkiej dowodem na to, że Kurski nie zawiódł.

– Dzięki TVP pod kierownictwem Jacka Kurskiego na rynku medialnym zapanowała równowaga. Za rządów PO-PSL wszystkie telewizje mówiły jednym głosem, przedstawiając w pozytywnym świetle konkretną opcję i urządzając regularną nagonkę na jej przeciwników. Natomiast jeśli dziś komuś nie podoba się TVP, to zawsze może przełączyć na Polsat albo TVN – mówi „Do Rzeczy" Adam Borowski, działacz opozycji demokratycznej w PRL, szef warszawskiego klubu „Gazety Polskiej". Jego zdaniem w telewizji publicznej reprezentowane są wszystkie strony sporu politycznego. – Totalna opozycja nie jest w żaden sposób dyskryminowana w programach publicystycznych. Natomiast to, że Platforma bojkotuje TVP, to już problem Platformy – uważa Borowski.

Pomimo dziennikarskiego doświadczenia zawodowego Jacek Kurski od samego początku był krytykowany jako szef telewizji – przeciwnicy wytykali mu głównie to, że niedługo przed objęciem funkcji był czynnym politykiem. „Frontowy polityk przyspawany do telewizyjnego stołka" – głosi tytuł poświęconego sylwetce Jacka Kurskiego artykułu na portalu Koduj24. „Przegląd" opisał historię obecnego prezesa TVP w tekście pod wiele mówiącym tytułem „Telewizja na smyczy". Sam bohater artykułu niekoniecznie jednak przedstawiony jest jako „wierny sługa" konkretnej partii. Jak to barwnie określiła autorka, Justyna Samolińska: „Bywa nazywany »bulterierem Kaczyńskiego« – określenie to wydaje się o tyle nie na miejscu, że bulterier, jak każdy pies, odznacza się wiernością wobec właściciela, którego pod żadnym pozorem nie porzuci. Jacek Kurski jest raczej jak kot – zawsze spada na cztery łapy, wychodzi cało z każdej politycznej opresji, chadza własnymi ścieżkami, najchętniej tam, gdzie dostanie najwięcej śmietanki".

Profesor Wojciech Sadurski zagroził niedawno kierownictwu TVP więzieniem za „przekroczenie uprawnień przez funkcjonariusza publicznego", czyli za – jak ujął to prawnik związany z opozycją – „propagandę partyjną, niezgodną z ustawą o radiofonii i TV". Sadurski już feruje wyrok – Jacek Kurski miałby w tym wypadku trafić za kratki na okres do trzech lat.

W czasie kampanii wyborczej politycy Platformy Obywatelskiej konsekwentnie bojkotowali TVP Info. Z jednej strony to miał być protest przeciwko wymierzonej w „totalną opozycję" narracji programów informacyjnych i publicystycznych telewizji publicznej. Z drugiej strony przedstawiciele szeroko rozumianego obozu „antypisu" niejednokrotnie sugerowali, że obecne władze niszczą TVP i „agresywną propagandą" przyczyniają się do spadków oglądalności. Nawet ze strony komentatorów, których trudno podejrzewać o antypatię do Zjednoczonej Prawicy, dało się słyszeć głosy ostrej krytyki pod adresem Jacka Kurskiego i forsowanej pod jego kierunkiem narracji. Sposób, w jaki TVP informowała o tragedii w Gdańsku, wywołał oburzenie także wielu prawicowych komentatorów. Część działaczy opozycji próbowało z zabójstwa Adamowicza zrobić własny Smoleńsk. Pojawiły się apele o zwolnienie „winnego". Z nieoficjalnych informacji, publikowanych przez część mediów, wynika, że kierownictwo PiS poważnie rozważało wówczas odwołanie Jacka Kurskiego. A jednak prezes TVP nie tylko pozostał na stanowisku, lecz także nie dało się zauważyć zmiany narracji. Pomimo że zbliżały się najtrudniejsze dla PiS i najłatwiejsze dla przeciwników tej partii wybory. Walka o miejsca w europarlamencie z reguły bowiem najskuteczniej działa na wyobraźnię radykalnych eurosceptyków bądź radykalnych euroentuzjastów. PiS nie sposób zaliczyć do żadnego z tych dwóch obozów. Zdecydowane zwycięstwo partii rządzącej nie było powszechnie formułowaną prognozą. A jednak…

NIKT NIE OGLĄDA?

Wśród części polityków opozycji oraz sprzyjających im mediów powszechne

eprasa.pl 7cae2d5e67

było przekonanie, że „nikt nie ogląda TVP", dlatego bojkot tej stacji przez Platformę Obywatelską nie wydawał się ruchem ryzykownym. Tymczasem, słuchając powyborczych odpowiedzi działaczy opozycji na pytanie, dlaczego przegrali, można odnieść wrażenie, że to właśnie media publiczne ich pokonały.

W powyborczym programie Onetu i „Newsweeka" Tomasz Lis poprosił swoich gości o dokończenie zdania: „O wyniku wyborów europejskich w Polsce w największym stopniu zdecydowało…". Doktor Anna Materska-Sosnowska, politolog z Uniwersytetu Warszawskiego, odpowiedziała bez wahania: „Telewizja publiczna i media publiczne". Katarzyna Lubnauer, tłumacząc się w programie „Onet rano" z przyczyn klęki Koalicji Europejskiej, stwierdziła, że tym, co sprzyja PiS, „oprócz transferów socjalnych", „niestety są media publiczne". Przewodnicząca Nowoczesnej przywołała symptomatyczne zresztą wyniki sondażu, przeprowadzonego przez CBOS. Badanie dotyczyło oceny mediów. – Większość Polaków czerpie informacje z telewizji publicznej, mimo że zdają sobie sprawę z tego, że ta telewizja w jakiś sposób manipuluje – stwierdziła Lubnauer. Rzeczywiście, głównym źródłem informacji o wydarzeniach z kraju i ze świata dla największej grupy respondentów jest TVP 1. Jednocześnie to właśnie telewizja publiczna została oceniana najgorzej pod względem wiarygodności. Przy czym Lubnauer nie wspomniała o jeszcze jednym, miażdżącym dla całego spektrum środków masowej informacji, wyniku sondażu – aż 56 proc. ankietowanych stwierdziło, że większość mediów w Polsce nie zachowuje bezstronności. Tak czy inaczej, przewodnicząca Nowoczesnej częściowo pochwaliła skuteczność przekazu TVP, przyznając: „Cichym zwycięzcą tych wyborów jest Jacek Kurski".

Z kolei Donald Tusk usprawiedliwiał wynik opozycji brakiem tak skutecznego narzędzia, którym jest „agresywna propaganda rządowa" w telewizji publicznej. – Dysponując mediami, kiedyś publicznymi, dziś państwowymi, można przykrywać i zmieniać tematy. Tu są bardzo dobrzy, to jest brutalne, niezgodne z regułami praworządności, no, ale skuteczne – powiedział Radosław Sikorski w programie Moniki Olejnik. Jego zdaniem PiS wygrał dzięki temu, że za pomocą przekazu TVP „przeflancował" tematykę kampanii ze spraw europejskich na sprawy krajowe, bardziej wygodne dla partii rządzącej. Nawet powszechnie diagnozowany, nie tylko na prawicy, skręt w lewo Koalicji Europejskiej to zdaniem byłego szefa dyplomacji mit wytworzony przez „pisowską propagandę".

W podobnym duchu wypowiedział się Władysław Kosiniak-Kamysz. „Agresywnej rządowej propagandy", „oczerniania opozycji" było w jego opinii tak dużo, że to wywarło wpływ na wyniki wyborów.

– Transfery specjalne, telewizja publiczna, która systemowo przez trzy i pół roku codziennie atakowała opozycję. Dwa miliardy złotych przeznaczone na funkcjonowanie PiS w telewizji publicznej – tak przyczyny zwycięstwa Zjednoczonej Prawicy wyjaśniał dziennikarzowi Konradowi Piaseckiemu Grzegorz Schetyna.

Były premier Leszek Miller bojkot mediów publicznych przez część opozycji nazwał niemądrą decyzją.

– Czy bojkot TVP przed wyborami przez PO nie był strzałem w kolano? Mówicie, że nikt nie ogląda TVP, a po wyborach, że to zaważyło o wynikach wyborów. Gdzie tu logika?! – pytała Sławomira Neumanna, w imieniu jednego ze słuchaczy, Beata Lubecka na antenie Radia Zet. – To, co robi z przekazem TVP… Z tymi kłamstwami, które eksponuje właściwie w codziennych wydaniach „Wiadomości", jest czymś, co budzi obrzydzenie – stwierdził Neumann. Dopytywany przez dziennikarkę przyznał, że w Platformie rozważa się zniesienie bojkotu. Wszystkie powyższe wypowiedzi opublikował na swoim twitterowym koncie sam Jacek Kurski: „Posłuchajcie lamentów nad złamaniem monopolu informacyjnego w Polsce. Dziękuję [wszystkim autorom wypowiedzi – przyp. red.] za potwierdzenie, jak ważna dla pluralizmu i wolności wyborczej w Polsce jest TVP i jakim jest gigantem oglądalności. Czy jest już comiesięczny wirtualny raport, że nikt nie ogląda TVP?".

Prezes TVP miał wpływać na kampanię wyborczą nie tylko za pomocą mediów, lecz także jako „nieformalny członek sztabu"

Agnieszka Kublik nie ma wątpliwości: „Te wybory wygrało dwóch prezesów: Jarosław Kaczyński i Jacek Kurski". Dziennikarka „Gazety Wyborczej" uważa, że czas antenowy poświęcony politykom PiS oraz „nachalną propagandę" w TVP da się przeliczyć na wyborcze głosy. „Wystarczy spojrzeć na wyborczą geografię – PiS jest bardzo silny na Podkarpaciu, w Lubelskiem, Małopolsce czy na Mazowszu. A »Wiadomości« TVP 1 właśnie tu mają najwyższą oglądalność. »Fakty« TVN zaś – najniższą. Zbieżność nie jest przypadkowa" – pisze Kublik. Atak na TVP dziennikarka połączyła z dyżurną po jej stronie barykady pogardą dla wyborców: „»Wiadomości« i »Teleexpress« – są podstawowym i najbardziej wiarygodnym źródłem informacji dla starszych osób (powyżej 65 lat), mieszkających na wsi, z podstawowym wykształceniem, uczestniczących w praktykach religijnych przynajmniej raz w tygodniu i identyfikujących się z prawicą. Tak, to statystyczny portret wyborcy PiS. W tej sytuacji trzeba zapytać, czy dezinformowany obywatel jest w stanie dokonać wolnego wyboru?" – pisze Kublik.

W innym ze swoich tekstów dziennikarka szczegółowo opisuje, jak prezes TVP „w centrali PiS wpływał na eurowybory". Z artykułu wynika, że Jacek Kurski był podczas kampanii jednym z głównych rozgrywających. To on miał wymyślić, by Jarosław Kaczyński wystąpił w popularnym programie lifestyle'owym „Pytanie na śniadanie" i tym samym ocieplił swój wizerunek. Przed wyborami do PE Kurski był częstym gościem na Nowogrodzkiej. Ze sztabem partii współpracować miał również po wyborach, gdy Jarosław Kaczyński meblował nowy gabinet Mateusza Morawieckiego. Anonimowi rozmówcy Agnieszki Kublik z kręgów partyjnych bardzo wysoko oceniali znaczenie Kurskiego w hierarchii PiS. Z wypowiedzi tych wynika, że prezes TVP wpływał na kampanię wyborczą nie tylko za pomocą mediów, lecz także jako „nieformalny członek sztabu", służąc licznymi, mniej lub bardziej udanymi, pomysłami.

CIEMNY LUD

W kreowaniu przekazu kampanijnego Kurski ma bogate doświadczenie. Najbardziej znana historia to oczywiście „dziadek z Wehrmachtu". Jak w soczewce skupia ona charakterystykę całego życiorysu politycznego Jacka Kurskiego: ostry język, wyraziste tezy, swobodne podejście do faktów, wreszcie – bezpardonowy, nie do końca usprawiedliwiony atak ze strony przeciwników, popadnięcie w niełaskę we własnym obozie, a następnie, już w odległym epilogu – triumfalny powrót na szczyt. Uderzenie w Tuska za pośrednictwem jego dziadka, zostało powszechnie

eprasa.pl 7cae2d5e67

Kurski jest dla prezesa PiS idealnym szefem TVP – nie jest związany z żadną frakcją Zjednoczonej Prawicy FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

ocenione jako cios poniżej pasa. „Dziadkiem z Wehrmachtu" i rozpętaną w rezultacie burzą Kurski wyczerpał cierpliwość Lecha Kaczyńskiego i musiał pożegnać się ze sztabem wyborczym. Ciężko pracował na swój powrót na szczyt. A przecież sama historia zmyślona nie była. Dziadek Tuska rzeczywiście służył w Wehrmachcie. Najprawdopodobniej jednak został zmobilizowany siłą, a ponadto w pewnym momencie zdezerterował i dołączył do walczących z Niemcami Polskich Sił Zbrojnych.

Jednak etykiety cynika bez zasad, dążącego po trupach do celu Kurski już nie zdołał się pozbyć. Szczególnie że niedługo po wybuchu afery, będąc gościem TOK FM, rzekomo przyznał się do świadomej manipulacji. Po wyjściu ze studia miał jakoby powiedzieć: „Z tym Wehrmachtem to lipa, ale ciemny lud to kupi". Historię tę potwierdzają świadkowie: Tomasz Lis, Wiesław Władyka, Katarzyna Kolenda-Zaleska i Tomasz Wołek. Nagrania nie ma, jednoznacznych dowodów brak, ale rzekomy cytat zaczął żyć własnym życiem i utrwalił się w języku polskiej polityki.

Kariera Kurskiego już wiele razy wisiała na włosku. Nigdy nie zbudował sobie wystarczająco silnej i trwałej pozycji lidera, bardzo często jednak, pomimo braku własnej, silnej frakcji oddanych współpracowników, potrafił nawet jednoosobowo skutecznie kreować kierunki krajowej polityki.

W 1993 r. był szefem kampanii wyborczej Porozumienia Centrum. Partia weszła do Sejmu, sam Kurski już nie. Z PC niebawem przeszedł do Ruchu Odbudowy Polski. Był rzecznikiem prasowym ROP. Również u boku Jana Olszewskiego nie udało mu się zdobyć mandatu posła. Po wyborczej porażce wraz z grupą działaczy opuścił ROP i przeszedł do ZChN. Tym razem wreszcie wygrał – wybory do sejmiku pomorskiego, którego został wicemarszałkiem. W 2001 r. ponownie próbował dostać się do Sejmu, z listy Akcji Wyborczej Solidarność Prawicy. AWSP do parlamentu nie weszła. Kurski został usunięty z ZChN, bo tuż przed oddaniem listy do komisji wyborczej samowolnie dopisał osobę o takim samym nazwisku jak jeden z jego konkurentów. Po wyborach Kurski po raz pierwszy dołączył do PiS. W nowej partii wytrzymał rok. Gdy okazało się, że nie otrzyma miejsca na liście w wyborach samorządowych, odszedł do Ligi Polskich Rodzin. W szeregach tej partii zanotował pierwszy wielki sukces w roli kampanijnego demiurga. W 2004 r. LPR zdobyła drugie miejsce w wyborach europarlamentarnych. Kurskiemu nie dane było jednak zbyt długo napawać się owocami wyborczego zwycięstwa, którego był współautorem. Odszedł z LPR w rezultacie konfliktu z jednym z lokalnych działaczy. Wrócił do PiS.

JAK DYNAMIT

Pod wodzą Kaczyńskich nareszcie udało mu się wywalczyć miejsce w Sejmie. Poprowadził zwycięską kampanię prezydencką Lecha Kaczyńskiego. Jednak z powodu wspomnianego już „dziadka z Wehrmachtu" został usunięty nie tylko ze sztabu wyborczego, lecz także z szeregów partii. Legitymację odzyskał, gdy wyszło na jaw, że jednak w sprawie Tuska miał częściowo rację. W 2009 r. Kurski dostał się do europarlamentu. W 2011 r. wraz z Tadeuszem Cymańskim i Zbigniewem Ziobrą Jacek Kurski został wykluczony z PiS za krytykę pod adresem działań partii. Wspólnie założyli Solidarną Polskę.

– Jacek zawsze miał, podobnie jak ja, poglądy bardzo prospołeczne, bynajmniej nie liberalne. Dlatego mocno zaangażował się w tworzenie nowej partii o takim właśnie, solidarnym programie. Był jak dynamit, bardzo energiczny. W dużej mierze to dzięki niemu udało nam się zdobyć w wyborach 4 proc., wynik bardzo przyzwoity jak na początkujące ugrupowanie. Bardzo dobrze wspominam tę naszą współpracę – wspomina w rozmowie z „Do Rzeczy" Tadeusz Cymański. Kurski jednak również w SP nie zagrzał zbyt długo miejsca. Także z tej partii został usunięty. Za to, że pojawił się na konwencji PiS.

Po zwycięskich dla Zjednoczonej Prawicy wyborach wrócił na polityczny olimp. Najpierw został wiceministrem kultury i dziedzictwa narodowego. Następnie – prezesem TVP. I po raz kolejny wszedł w konflikt z częścią własnego obozu. Nawet został już odwołany ze stanowiska przez Radę Mediów Narodowych. Ta wycofała się z decyzji po interwencji Kaczyńskiego. Jerzy Borowczak, poseł PO z Gdańska, wieloletni znajomy rodziny Kurskich, sugeruje, że nieocenioną rolę odegrała tutaj nieżyjąca już dziś matka Jacka. – Pani Ania Kurska blisko przyjaźniła się zarówno z Leszkiem, jak

eprasa.pl 7cae2d5e67

i z Jarkiem [Kaczyńskimi – przyp. red.]. Bez jej wstawiennictwa Jacek nie wróciłby na stanowisko. Szczególnie po tym, co będąc w Solidarnej Polsce, opowiadał na temat PiS – mówi „Do Rzeczy" Borowczak. Rzeczywiście, Kurski nie szczędził wówczas gorzkich słów. „Czułem się w PiS jak w kolonii karnej połączonej z przedszkolem"; „Kaczyński powinien być jak dyrygent orkiestry, ale batutę pomylił z batem" – mówił w 2011 r. Chociaż wcześniej nie ukrywał, że „w sferze frazeologii i obrazowania świata polityki jest chłonnym uczniem Jarosława Kaczyńskiego".

Jednocześnie politycy znający obu prezesów przyznają, że Kaczyński ma do Kurskiego wielką słabość. Profesor Antoni Dudek stwierdził kiedyś, że prezes PiS „wysoko ocenia talenty propagandowe" prezesa TVP. Tadeusz Cymański uważa jednak, że największymi zaletami Kurskiego w oczach Kaczyńskiego są wielki talent i inteligencja. – Wbrew pozorom Jacek wymyka się z prostych schematów. Trudno go jednoznacznie ocenić. Na pewno jednak jest człowiekiem wybitnie inteligentnym, nietuzinkowym, a takich prezes Kaczyński bardzo ceni – mówi Cymański. Również nieprzepadający za Kurskim Jerzy Borowczak chwali jego intelektualne zalety. – Jacek mógł na wyrywki recytować numery telefonów. Miał do tego doskonałą pamięć – wspomina.

Kurski ma też bogate doświadczenie dziennikarskie. U progu przemian ustrojowych pisywał w prasie antykomunistycznej, m.in. w „Tygodniku Solidarność". Współpracował z niemiecką agencją informacyjną DPA, był korespondentem BBC w Gdańsku. W epoce „pampersów" (tak nazywano młodych prawicowych dziennikarzy), w latach 1991–1994, pracował w Telewizji Polskiej. To wtedy powstał legendarny już film dokumentalny „Nocna zmiana", w którym Kurski pokazał kulisy odwołania rządu Olszewskiego. Wraz z Piotrem Semką wydał zbiór wywiadów z uczestnikami tamtych wydarzeń pt. „Lewy czerwcowy". Tadeusz Cymański podkreśla sprawność medialną Kurskiego – w SP komunikaty prasowe pisał ponoć „od ręki".

DOMINUJĄCE POKOLENIE

Na czym polega fenomen „bulteriera"? Dlaczego pomimo licznych kontrowersji i burzliwej przeszłości politycznej wciąż utrzymuje się na szczycie? Zdaniem prof. Rafała Chwedoruka nie bez znaczenia jest to, że obecny prezes TVP pochodzi z pokolenia, które dziś dominuje w polskiej polityce. – Pokolenie to było zbyt młode, by uczestniczyć w Sierpniu '80. Wchodziło w dojrzałość już po stanie wojennym, gdy widoczna była erozja systemu, stąd też było ono przesiąknięte żywiołowymi nastrojami antykomunistycznymi i weszło w lata 90. na fali niezadowolenia z rezultatów Okrągłego Stołu i ze stanu przemian ustrojowych – komentuje politolog. Jego zdaniem Jacek Kurski urodził się nie tylko we właściwym czasie, lecz także we właściwym miejscu, znaczenie Gdańska i pochodzących stamtąd działaczy dla najnowszej historii Polski jest bowiem nie do przecenienia. – To pokolenie już na starcie jest wygrane. Być może specyfika doświadczeń historycznych, ale i potencjał intelektualny sprawiają, że takich ludzi jak Kurski trudno jest dziś zastąpić kimś młodszym – dodaje.

Według prof. Chwedoruka brak oparcia w silnej frakcji, brak własnego środowiska to w oczach Kaczyńskiego wielkie zalety Jacka Kurskiego: – Zjednoczona Prawica nie jest monolitem. Postawienie na czele telewizji kogoś, kto byłby reprezentantem którejś z grup interesów, mogłoby naruszyć kruchą równowagę sił. Kurski nadaje się idealnie: jedyną jego frakcją jest Jarosław Kaczyński – mówi.

Chwedoruk, podobnie jak prezes TVP, jest kibicem Lechii Gdańsk. Dlatego też, opisując sylwetkę Kurskiego, chętnie sięga po piłkarską metaforę: – Lechia przez wiele lat zmagała się z problemami. Wreszcie wróciła na szczyt. Ma sportowe wyniki i wspaniały stadion. Z drugiej strony najwierniejsi kibice narzekają, że to już nie jest ten sam klub. Kiedyś podstawą drużyny byli wychowankowie, dziś o jej sile decydują obcokrajowcy. Lechia cierpi na deficyt autentyczności. Trochę podobnie jest z Kurskim – niby zdobywa laury, ale idei w tym coraz mniej – podsumowuje politolog.

Niezależnie od kwestii autentyczności, na pewno nie można odmówić Kurskiemu sportowej złości i woli gryzienia politycznej trawy. Przyznają to nawet jego przeciwnicy. – Kiedy Jacek obrał sobie jakiś cel, to choćby się waliło i paliło, musiał go osiągnąć. Bardzo lubił powiedzenie: „psy szczekają, karawana idzie dalej". Zawsze musiał wygrywać – wspomina Jerzy Borowczak.

Według Cymańskiego Kurski byłby świetnym dowódcą liniowym na froncie. – On się nie pieprzy, potrafi uderzyć pięścią w stół. Ale ma też instynkt, wyczucie, potrafi przewidywać i dużo rozumie – mówi. – A jednocześnie jest naprawdę świetnym kompanem. Człowiekiem bardzo towarzyskim, otwartym, rozśpiewanym. To nie jest aparatczyk, tylko artysta! – dodaje. Kiedyś były działacz SP publicznie skrytykował przekaz TVP. Dziś jednak jest przekonany, że Kurski dobrze wykonuje swoją pracę: – Kto, jak nie telewizja publiczna, ma informować na temat oczywistych sukcesów rządu w polityce społecznej?! – pyta retorycznie.

MIARA NIENAWIŚCI WROGÓW

Tadeusz Cymański pośrednio wskazuje przyczynę tego, że Jacek Kurski, pomimo wszelkich kontrowersji, wciąż jest politykiem niezniszczalnym. Jego zdaniem sytuację prezesa TVP wiernie oddaje przysłowie: „Miarą wielkości człowieka jest nienawiść jego wrogów". Patrząc z tej perspektywy, Jacek Kurski, jako jeden z najbardziej znienawidzonych przedstawicieli szeroko rozumianego obozu „dobrej zmiany", nie powinien się bać o swoją pozycję. Im częściej i ostrzej jest atakowany przez opozycję, tym większym się cieszy poparciem – zarówno twardego elektoratu, jak i samego Kaczyńskiego. A ponoć prezes TVP świetnie wie, jak skutecznie mówić do ucha prezesa PiS.

– Mówi się, że telewizja publiczna powinna być w pełni obiektywna i przekazywać jedynie suche informacje, bez żadnego komentarza. Ten argument byłby zasadny tylko wówczas, gdyby wszystkie media trzymały się takich standardów – mówi Adam Borowski. – Nie ma sensu tworzyć enklawy bezstronności w TVP, jeśli po drugiej stronie polityczno-medialnej barykady mamy do czynienia z przeciwnikiem, który nie przebiera w środkach, manipuluje, bezwzględnie kłamie, nieustannie produkuje fake newsy, których jedynym celem jest zaszkodzić obecnej władzy. Ktoś musi bronić obecnej władzy przed bezpardonowym atakiem totalnej opozycji i jej mediów. To jest walka na śmierć i życie. Oczywiście oczekuję, że telewizja publiczna będzie nagłaśniać również ewentualne patologie obecnej władzy. Na razie jednak nie ma za co krytykować obozu rządzącego – dodaje.

– Jacek Kurski to człowiek twardego charakteru. Wyrzucił z telewizji publicznej skompromitowanych dziennikarzy, zaczął w sposób bezwzględny rozbijać stare układy. Musi jeszcze dokończyć dzieła, ale jest na dobrej drodze do celu – mówi Adam Borowski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7cae2d5e67

ORLEN

PARTNER
STRATEGICZNY
VII EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI 2019

STRAŻNIK PAMIĘCI

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

eprasa.pl 7cae2d5e67

Gwiazda Tuska już zgasła

FOT. ZUMA PRESS/FORUM

eprasa.pl 7cae2d5e67

Z prof. Waldemarem Paruchem, politologiem, szefem Centrum Analiz Strategicznych
rozmawia Wojciech Wybranowski

WOJCIECH WYBRANOWSKI: Co dla Polski oznacza stanowisko TSUE krytycznie oceniające zmiany przeprowadzone przez PiS w polskich sądach? Część komentatorów uważa, że ma ono charakter polityczny, bo dotyczy zmian, które zostały cofnięte, inni mówią, że Trybunał Sprawiedliwości stanął na straży niezależności polskiego wymiaru sprawiedliwości.

WALDEMAR PARUCH: Rozpatrywałbym to na zupełnie innych płaszczyznach. Płaszczyzna generalna to uzurpowanie sobie przez Trybunał uprawnień, których nie posiada, czyli przekraczanie przepisów traktatu z Lizbony, jednak jest to już pewna tendencja, która się zarysowała za czasów tej Komisji Europejskiej, za tego układu politycznego władz wspólnotowych. Czy ten trend ulegnie zmianie? Wybory do Parlamentu Europejskiego zasadniczo układu sił w nim nie zmieniły, niemniej jest zmiana sił w Radzie Europejskiej, w której znalazło się więcej polityków eurorealistycznych.

Kwestia druga wiąże się oczywiście z sytuacją wewnętrzną w Polsce. Trzeba wszak pamiętać, że jest ścisły związek między opozycją w Polsce a tym, co robią instytucje wspólnotowe. Trybunał orzekał w kwestii przepisów historycznych, a proszę pamiętać, że identycznie orzekał też w kwestii Węgier kilkadziesiąt miesięcy temu. Mamy więc do czynienia z pewnym sposobem myślenia sędziów tam zasiadających. Trudno było spodziewać się innego wyroku, natomiast nie przeceniałbym jego znaczenia ani dla sytuacji Polski w UE, ani dla relacji Polski z instytucjami wspólnotowymi.

Owe instytucje wspólnotowe będą jednak niejeden raz rozgrywać sprawy Polski na arenie międzynarodowej – jak nauczyły nas minione lata – jeśli Prawo i Sprawiedliwość utrzyma ster rządów w kraju.

Tylko w przypadku, jeśli nie będzie to wygrana zdecydowana, przytłaczająca. Oczywiście, gdyby opierać się wyłącznie na trendach politycznych, to PiS powinien jesienne wybory wygrać, jednak w sporze politycznym w Polsce nie chodzi tylko o wygraną, ale – jak wspomniałem – także o skalę tej wygranej.

Układ polityczny i totalna opozycyjność, którą dziś demonstruje kilka stronnictw, pokazują też, że jakiekolwiek mniemanie o możliwości budowy koalicji przez Prawo i Sprawiedliwość wydaje się mało realne. Duży wpływ na przebieg wyborów i na ostateczne rozstrzygnięcie będą miały zdarzenia w najbliższych miesiącach. Po stronie opozycyjnej widzimy dziś chaos spowodowany klęską w wyborach do Parlamentu Europejskiego, wyborach, które wydawały się politykom Koalicji Europejskiej najłatwiejszymi do wygrania. Nie dość, że zostały przez nich zdecydowanie przegrane, to jeszcze przegrali je mimo użycia chyba wszystkich zasobów politycznych. Mam na myśli „uruchomienie" bez ograniczeń Donalda Tuska. Tak naprawdę to Donald Tusk był realnym przywódcą Koalicji Europejskiej, a wybory, primo, pokazały dobitnie, że cały pomysł zjednoczenia opozycji był politycznym błędem, i, secundo, mocno utrudniły Donaldowi Tuskowi powrót do polskiej polityki w kontekście wyborów prezydenckich w 2020 r. Na dodatek spowodowały istotne zawirowania w Polskim Stronnictwie Ludowym; wygląda na to, że liderzy PSL, wybrawszy drogę wejścia do Koalicji Europejskiej, wcześniej nie przeprowadzili ze sobą dyskusji, jakie to może im przynieść skutki, gdyby wynik okazał się negatywny. Brak politycznej wyobraźni.

W przypadku PSL rzeczywiście efekty wyborów do PE trudno nazwać pozytywnymi.

Dzisiaj ludowcy znaleźli się w sytuacji, w której każda decyzja, jaką by podjęli, będzie decyzją obciążoną ryzykiem poważnego błędu. Kolejnego błędu. Pozostanie w Koalicji Europejskiej skazuje PSL na potwierdzanie polityki radykałów lewicowych, czego znaczna część elektoratu ludowców zupełnie nie akceptuje, z kolei wyjście z KE i mówienie, że się będzie budowało blok chadecki, powoduje, że będzie trudno tej partii odbudować jakąkolwiek wiarygodność. Pod dużym znakiem zapytania stoją losy ruchu Kukiz'15.

Niektórzy działacze ruchu Pawła Kukiza przebąkują o wspólnym starcie z PiS, inni mówią o szukaniu porozumienia właśnie z PSL.

W tej kwestii pojawia się pytanie: Czy budować koalicję opartą na podobnym schemacie jak KE, czyli dwa stronnictwa porozumiewają się między sobą, bo z arytmetyki im wychodzi, że łatwiej będzie w ten sposób przekroczyć próg 5 proc., z którego osiągnięciem i Kukiz, i PSL mogą mieć dzisiaj problem? Tyle że jeśli nawet liderzy ugrupowań się porozumieją, to wcale nie oznacza, że wyborcy tych stronnictw zaakceptują taki układ. Trzeba pamiętać, że Paweł Kukiz zasłynął z najbardziej antyludowcowych wystąpień publicznych, oskarżał PSL niemal o bycie strukturą mafijną. Trudno będzie wytłumaczyć wyborcom ruchu Kukiz'15, skąd nagle ten manewr i ewentualny sojusz z PSL. Nie ma też między elektoratami większych zbieżności programowych. Wszak PSL od czasu wejścia w koalicję z PO w minionych latach wyraźnie przesuwało się w lewo, wejście ludowców do KE było też pochodną układu personalnego w Radzie Naczelnej PSL.

Tak jak wspomniałem, zmiany w opozycji będą miały wpływ na wynik jesiennych wyborów do krajowego parlamentu w zależności od tego, na ile zasadnicza część wyborców zaakceptuje te zmiany. Dlaczego? Proszę pamiętać, że o wyniku wyborczym w Polsce wcale nie rozstrzygają tzw. żelazne elektoraty, które w przypadku PiS można już szacować na ok. 40 proc., a PO w granicach 25 proc. O wyniku decyduje ta pozostała część wyborców, która nie jest przecież mocno ideologicznie motywowana. Mówię o ludziach aktywnych politycznie, ale też bardzo pragmatycznych, ukierunkowanych na swoje życie prywatne, życie codzienne. To oni wskażą nie tyle zwycięzcę, ile skalę wygranej Prawa i Sprawiedliwości.

Zastanawiam się, na ile jednak ten elektorat, jak pan to określił – pragmatyczny, będzie w stanie zaakceptować PiS, który wciąż jeszcze wielu może kojarzyć się jako partia rewolucji, radykalnych zmian, przewrotu społecznego...

Badania przeprowadzone już po wyborach europejskich zadały kłam tej tezie. Zmienił się bowiem profil wyborcy PiS. Przede wszystkim rozszerzył się o kilkaset tysięcy nowych wyborców. Ci ludzie też zmieniają profil głosujących na PiS. To efekt rządów najpierw Beaty Szydło, czyli realizacji polityki dobrej zmiany, później rządów Mateusza Morawieckiego, czyli stabilizowania dokonanych zmian i ich racjonalnego pogłębiania. „Żelazny elektorat" PiS

eprasa.pl 7cae2d5e67

w znacznym stopniu zaakceptował konieczność rozłożenia zmian w Polsce na lata, ponieważ alternatywnym rozwiązaniem byłaby utrata władzy i przejęcie jej przez tych, którzy przywróciliby sytuację z 2015 r. Z badań wynika, że mniej więcej jedna trzecia społeczeństwa nie akceptuje zmian o charakterze radykalnie rewolucyjnym, czyli skondensowania w krótkim czasie olbrzymiej liczby mocnych zmian. W pierwszych dwóch latach rząd Beaty Szydło bardzo wiele zmienił na polu układu socjopolitycznego – innej dystrybucji pieniędzy, rozwoju gospodarczego etc. Było bardzo wiele imponderabiliów, które PiS musiał wykonać w pierwszych miesiącach rządzenia. Owszem, było to też skażone możliwością popełnienia błędów, ale z prostego powodu – kiedy PiS przejmował władzę, nie miał pełnej wiedzy o kondycji państwa. Nie przesadzałbym więc z formułowaniem tezy, że Polacy postrzegają PiS jako partię wojny, partię radykalną. Reakcje liderów, a zwłaszcza Jarosława Kaczyńskiego, na poszczególne kryzysowe sytuacje – począwszy od puczu sejmowego w grudniu 2016 r., a skończywszy na atakach na Kościół czy innych prowokacjach, które się pojawiały – były bardzo chłodne, wyważone, a najważniejsze – skuteczne, bo PiS schodził z linii strzału, co było bardzo wyraźnie widać w wyborach samorządowych.

Co pana zdaniem będzie punktem zwrotnym jesiennych wyborów?

(śmiech) Odpowiem panu dwa tygodnie po wyborach.

Donald Tusk wróci do polskiej polityki?

Moim zdaniem będzie się jesienią angażował w wybory parlamentarne w Polsce. Z prostego powodu – opozycja nie ma już nic do stracenia. Prawdopodobna wygrana PiS uniemożliwi strategiczny powrót do modelu państwa sprzed 2015 r., a pamiętajmy, że zmiany, które dokonują się w Polsce w ciągu ostatnich czterech lat, mają swoich przeciwników, i to na poziomie nie tylko emocji, lecz także interesów, np. uszczelnienie podatku VAT spowodowało, że przestały wypływać pieniądze, które przecież nie znikały. One były przez kogoś zawłaszczane. Decyzje gospodarcze, zwłaszcza podatkowe, spowodowały, że w kontrze stanęły różne grupy zawodowe i lobbystyczne.

Tusk będzie się mieszał w wybory w Polsce, natomiast jego siła oddziaływania będzie malała. To było już widać podczas jego wizyt w Polsce tak przecież szumnie zapowiadanych przez media. W różnych newralgicznych momentach w ciągu ostatniego czterolecia Donald Tusk próbował się aktywizować i udawało mu się to z miernym skutkiem. Przypomnę chociażby jego wrocławskie wystąpienie podczas puczu sejmowego czy wystąpienia z 3 maja i 4 czerwca tego roku, wizytę w Warszawie w czasie manifestacji opozycji przed wyborami do PE... Każda kolejna kończyła się coraz bardziej miałkimi efektami i politycznymi, i społecznymi. Tusk przestał czarować polskie społeczeństwo, jego gwiazda już zgasła. Sposób uprawiania polityki przez Donalda Tuska przestał rezonować w Polsce, może poza zdecydowanymi wyborcami PO, bo dla nich jest on politykiem, z którym wiążą olbrzymie nadzieje, ale wynika to też z kryzysu przywództwa Grzegorza Schetyny.

Czy z punktu widzenia Donalda Tuska ewentualna porażka opozycji w wyborach krajowych nie stwarza nowej płaszczyzny? Mógłby wystartować w wyborach prezydenckich, wskazując, że dla transparentności życia publicznego partia rządząca nie powinna posiadać zarówno prezydenta, jak i premiera. Podobne hasła PO podnosiła w 2005 r.

I przegrała wówczas wybory. Scenariusz byłby prawdopodobny pod jednym warunkiem – że poparcie dla prezydenta Andrzeja Dudy by spadało. Olbrzymi sukces prezydenta odniesiony w Stanach Zjednoczonych spowodował, że akceptacja polityki Andrzeja Dudy i jego stylu jej uprawiania osiągnęła najwyższy poziom w tej kadencji prezydenckiej. Niewątpliwie Donald Tusk nie wystartuje w wyborach prezydenckich w Polsce, jeśli nie będzie miał pewności, że je wygra. Dzisiaj takiej pewności absolutnie być nie może, dzisiaj Andrzej Duda jest po prostu bezkonkurencyjny.

Jeśli nie Tusk, to kto? Wygląda na to, że Platforma ma poważny kryzys przywódczy.

Jest to pewien problem dla polityków Platformy Obywatelskiej, ponieważ prawdopodobnie to środowisko będzie chciało wskazać opozycyjnego kandydata na prezydenta. Jest to jednak efekt całej polityki, którą prowadził wewnątrz Platformy Donald Tusk w latach 2001–2014, kiedy był jej liderem, a także w latach 2007–2014, gdy stał na czele polskiego rządu. Najpierw zniszczył wewnątrz PO jeden triumwirat, później drugi, który miał być sposobem na kolegialne zarządzanie Platformą, doprowadził do zdecydowanego jedynowładztwa i spowodował, że dzisiaj ta partia ma problem z wyłonieniem lidera mogącego pociągnąć miliony wyborców. Ewa Kopacz takim liderem nie była, nie jest też nim Grzegorz Schetyna i rzeczywiście największa partia opozycyjna boryka się z poważnym kryzysem przywódczym.

W pewnym sensie pokazały to wybory do PE – proszę zwrócić uwagę, że na listach Koalicji Europejskiej lokomotywami wyborczymi okazali się politycy Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Owszem, mieli „jedynki", to był pewien handicap, ale skala poparcia dla nich była stosunkowo wysoka, co oznacza, że pewna grupa wyborców PO zagłosowała na polityków SLD startujących z list KE.

A skoro mowa o kryzysie przywództwa, czy pana zdaniem Grzegorz Schetyna przetrwa do jesieni jako lider Koalicji Europejskiej?

Nie wiem, czy Koalicji, ale Platformy z pewnością tak. Jest bowiem pytanie, czy sama Koalicja Europejska jako podmiot polityczny przetrwa. Wiele wskazuje na to, że w tym kształcie sprzed wyborów do PE – nie, prawdopodobnie jednak ludowcy z niej wyjdą. Czy wejdzie do niej Wiosna Biedronia? Zdziwiłbym się, gdyby weszła, ale w polityce często podejmuje się nieracjonalne decyzje. Filozofia budowania obozu „anty-PiS" jest niekiedy tak silna, że zaburza racjonalną analizę rzeczywistości. Pamiętajmy jednak o jeszcze jednej ważnej rzeczy – wybory parlamentarne są tymi, które są refundowane partiom politycznym po przekroczeniu określonych prawem progów. W momencie, gdy startuje jedna koalicja skupiająca różne stronnictwa, ktoś będzie trzymał kluczyk od sejfu powyborczego. A dwie partie mają problem finansowy – Nowoczesna ma problem fundamentalny, ale kłopot ma też PSL z racji długów z poprzedniej kampanii wyborczej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. Waldemar Paruch
– politolog, szef Centrum Analiz Strategicznych.

eprasa.pl 7cae2d5e67

DO RZECZY
HISTORIA DO RZECZY

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI 2019

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

PARTNERZY

KGHM POLSKA MIEDŹ

Poczta Polska

GRUPA CEDROB

Grupa Inwest HM Inwest S.A.

eprasa.pl 7cae2d5e67

Koniec Unii pozorów

Rafał A. Ziemkiewicz

PiS wraz z pozyskanymi przeciw Timmermansowi sojusznikami zdołał zmienić oficjalny paradygmat unijnej polityki. Do negocjacji siadali jeszcze europejscy socjaliści, chadecy, liberałowie i konserwatyści – wstali zaś od nich Niemcy, Francuzi, Włosi i przedstawiciele innych państw

Cokolwiek zrobi PiS w polityce zagranicznej, jest klęską, kompromitacją i kolejnym dowodem postępującej izolacji Polski w Europie oraz upadku naszego znaczenia na arenie międzynarodowej. Wierni tej nadrzędnej zasadzie komentatorzy z szeroko pojętej politycznej i medialnej „otuliny" PO we wtorkowe popołudnie zmieniali narrację dosłownie z godziny na godzinę. Gotowe już od kilku dni elaboraty o tym, że wybór na szefa KE Fransa Timmermansa wbrew polskiemu wetu dowiódł kompletnego bankructwa polityki PiS, poszły do kosza. Zamiast nich pojawiły się utrzymane w tym samym tonie pogardliwej wyższości mędrca wyjaśniającego prostaczkom sprawy dla niego oczywiste, a im niedostępne, elaboraty, że wybór na szefa KE Ursuli von der Leyen i skuteczne powstrzymanie przez Polskę niemal już ogłoszonego szefem KE Timmermansa dowodzi… kompletnego bankructwa polityki PiS, oczywiście.

Ponieważ jednocześnie media wspierające rząd triumfowały, że oto udała się nam rzecz uważana jeszcze kilka dni wcześniej za niewykonalną, i ogłaszały wielki sukces, Polacy zalani zostali krańcowo sprzecznymi przekazami. Wybór der Leyen nazwano klęską Niemiec i osobiście Angeli Merkel – bo zablokowano niemieckiego kandydata i zakwestionowano przywództwo kanclerz – oraz ich wielkim sukcesem – bo po raz pierwszy na czele Komisji stanęła Niemka. Jedni podkreślali, że Grupa Wyszehradzka stała się ważnym podmiotem w UE, bo nie dała się rozbić i pozyskała skutecznych sojuszników dla swego punktu widzenia – inni, przeciwnie, że ostateczne nominacje umocniły niemiecko-francuski duopol i że nie udało się mianować na żadne z pięciu kluczowych stanowisk w UE nikogo z Europy Środkowej. Sama von der Leyen została opisana jednocześnie jako konserwatystka z siedmiorgiem dzieci, patrząca życzliwym okiem na PiS, oraz progresistka spod znaków LGBT, wspierająca w Polsce manifestacje „totalnej opozycji" – co najzabawniejsze, oba opisy da się udokumentować faktami.

Oczywiście przeciętny Polak od dawna radzi sobie ze sprzecznymi informacjami bardzo łatwo – po prostu przyjmuje do wiadomości tylko ten przekaz, który pochodzi z „jego" plemienia, i tylko w ten wierzy. Jednak wciąż jeszcze są tacy, którzy chcieliby wiedzieć, co naprawdę się dzieje – a nie tylko „komu to służy".

Na ich użytek zwróćmy uwagę, że teza o „rozegraniu Polski przez Niemcy" i wzmocnieniu ich potęgi nie bardzo daje się obronić na gruncie logiki. Trzeba by założyć, że celem Niemców od początku było usadzenie na głównych stołkach swoich rodaków i cała zawzięta batalia toczona przez dwa dni w celu rozbicia „mniejszości blokującej", wszystkie pogróżki i obietnice, nocne negocjacje i dwustronne konsultacje były tylko piętrową maskaradą, odegraną z wielkim wysiłkiem po to, by uzyskać coś, co równie dobrze mogła Merkel uzyskać bez niej.

PRZEGRANA „CZŁOWIEKA ROKU"

W istocie, na wynik kilkudniowych sporów i podchodów patrzeć trzeba jak na wypadkową rozmaitych starań, które ostatecznie dały skutek przez nikogo nieprzewidziany i nikogo niesatysfakcjonujący – jakkolwiek jedni ogłaszają zwycięstwo, a inni, jak to jest zwyczajem przegranych, odgrażają się: „Jeszcze wam

eprasa.pl 7cae2d5e67

FOT. THIERRY MONASSE/REPORTER

pokażemy!". Do tych ostatnich należy chyba największy przegrany szczytu, Donald Tusk, któremu pozostały tylko pogróżki, że Timmermans i tak wejdzie do Komisji i jako jej wice „da jeszcze populistom popalić" (to akurat cytat z kibicującej swemu „człowiekowi roku" do końca „Gazety Wyborczej"; skądinąd trudno nie uznać, że jej coroczne wyróżnienie naprawdę przynosi pecha).

Nawet użycie powyżej słowa „ostatecznie" jest ryzykowne. Wcale nie wiadomo, czy zapowiedziana układanka utrzyma się w głosowaniu Parlamentu Europejskiego, a to wskutek oburzenia panującego wśród europejskich socjalistów. Upierając się przy Timmermansie, zachowali się oni podobnie jak trzy lata temu amerykański liberalny establishment, przekonany, że jest tak potężny, iż jeśli ma kaprys wypromować najbardziej nielubianego i niechcianego kandydata, takiego jak Hillary Clinton, to go wmusi, bo „populiści" przecież wygrać nie mogą. Socjaliści zapewne gładko przeforsowaliby w międzyfrakcyjnej umowie któregokolwiek innego ze swych przywódców – obstawanie akurat przy tym skończyło się tak, że stracili zarówno Komisję, jak i Radę Europejską.

Socjaliści już demonstracyjnie „przewrócili stolik", przegłosowując na „swojego" przewodniczącego PE nie nominowanego przez Radę Europejską Bułgara, ale polityka z Włoch. I niektórzy z ich liderów odgrażają się otwarcie, że 17 lipca zagłosują przeciwko kandydaturze pani von der Leyen na szefa Komisji – wymuszając rozpoczęcie negocjacji od początku. Socjaliści mają najwyraźniej świadomość, że przyjęcie rezultatów szczytu grozi ostatecznym końcem ich wpływów.

Wcale nie chodzi to, że zamiast któregoś z najistotniejszego z unijnych stanowisk dostają nagle – w najlepszym razie – półtora dekoracyjnego. Tym, co czyni odbyty właśnie szczyt przełomowym i co rzeczywiście może rząd PiS uznać za swój sukces (jeśli sukcesem jest sama skuteczność, niekoniecznie zaś korzyść), jest zmiana paradygmatu unijnej polityki. Do negocjacji usiedli europejscy socjaliści, chadecy, liberałowie i konserwatyści. A wstali od nich Niemcy, Francuzi, Włosi…

Postawa otwartego stawiania podmiotowości państw, która dwa lata temu została zgodnie odrzucona, czego dowodem było zmitologizowane przez opozycję „27:1", niepostrzeżenie okazała się dla wszystkich oczywista i akceptowalna.

ARGUMENTY MORAWIECKIEGO

Ktoś powie, że to tylko stwarzanie pozorów. Przecież i tak wszyscy wiedzieli, że europejscy chadecy, socjaliści etc. to tylko sitwy działaczy wspierających się wzajemnie w czerpaniu z integracji profitów, a prawdziwą władzę w Europie – w sensie podejmowania decyzji – sprawują liderzy Niemiec, Francji i kilku innych dopraszanych przez nich do różnych koalicji państw. Owszem, ale pozory, tak jak i rezygnacja z nich, mają w polityce znaczenie.

Mierzenie skali sukcesu Niemiec tym, że „pierwszy raz" na wysokie stanowiska w Unii wchodzą politycy niemieccy, jest tak samo głupie, jak głupie byłoby trąbienie o sukcesie Polski, gdyby – hipotetycznie – swoje marzenie o kierowaniu Komisją spełnił Tusk. Skoro dotąd Niemcy woleli zasłaniać się figurantami „reprezentującymi" mniejsze państwa, to widać było to dla nich wygodniejsze. To, że teraz rezygnują z nich wskutek akcji dopieszczanych tymi pozorami małych państw, którą niemiecka gazeta nazwała „buntem królików" przeciwko Merkel, oznacza, że poczuli się do tego zmuszeni. Co nie wyklucza, że tym manewrem osiągną być może korzyści takie jak dotąd czy nawet większe.

Nie jesteśmy w stanie tego przewidzieć. Nie wiemy też, jak naprawdę wyglądała świeżo zakończona batalia, a tym bardziej nie wiemy, czy jej rezultat się utrzyma i co naprawdę przyniesie.

Istota sprawy jak zwykle umyka jednak większości obserwatorów. Nie jest nią to, że – jak mitologizują sprawę liberałowie – „populiści ukarali obrońcę praworządności". Każdy, kto sprawy śledził, wie, że Timmermans „praworządności" używał jako pałki, którą wznosił tylko przeciwko słabszym, na gnębieniu których obiecywał sobie politycznie skorzystać; przypomnijmy, jak reagował, gdy namawiano go do pochylenia się nad łamaniem praw obywatelskich we Francji czy w Hiszpanii. Przeliczył się – ale byłoby też błędem widzieć w całej sprawie „ukaranie" Timmermansa za te obłudne praktyki. Gdyby tylko o to szło, Polska mogłaby liczyć co najwyżej na poniewieraną przez niego Rumunię, w każdym razie na pewno nie zebrałaby skutecznej mniejszości blokującej.

Udało się nam to, bo premier Morawiecki miał naprawdę mocne i przyjmowane w Europie argumenty – na czele z tym, że przyzwolenie na takie sobiepaństwo brukselskiego aparatczyka i na rozgrywanie przez eurokratów jednych państw przeciwko drugim musi doprowadzić do skłócenia Unii i jej rozbicia – czego nikt z rzekomych „populistów" bynajmniej nie chce.

Sukces zatem czy nie sukces? – chcą przede wszystkim wiedzieć Polacy przed zbliżającymi się wyborami. Można odpowiedzieć na to porównaniem z historii zmagań polsko-krzyżackich. Powstrzymanie Timmermansa, przywiezionego w teczce ze szczytu w Osace, to nie był Grunwald – ale Płowce. A więc nie rozstrzygająca wiktoria, tylko zwycięstwo, z którego może nawet i nic zupełnie nie wyniknie i które niczego nie poprawi, ale jednak zwycięstwo, przełomowe o tyle, że pozwalające uwierzyć, iż jesteśmy jako państwo zdolni do czegoś więcej niż tylko bezradnego dryfu „w głównym nurcie europejskiej polityki".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7cae2d5e67

FOT. MATEUSZ WŁODARCZYK/FORUM

Fantomowa opozycja

Marcin Makowski

Gdzieś na styku neurologii i medycyny istnieje zjawisko bólów fantomowych – nieprzyjemnego uczucia towarzyszącego pacjentowi po utracie kończyny. Wydaje mu się, że nadal ją ma. Gdyby przenieść je na grunt polityki, idealnie pasowałoby do opisu polskiej opozycji

Równo miesiąc po przegranych wyborach europejskich politycy Platformy – wzmocnieni wewnątrzpartyjną „burzą mózgów" – prezentują sztab na jesienną kampanię. Wnioski mają zostać wyciągnięte, lekcje odrobione, a nowy spin doktor (charyzmatyczny Krzysztof Brejza) zapowiada w „Wyborczej", że koalicja tym razem „stanie na głowie i wypruje sobie żyły", aby wygrać. Zanim wrócimy na to historyczne wydarzenie, spójrzmy na polską politykę z lotu ptaka. Dopiero wtedy w pełnej skali ujrzymy błędne koło, w którym na własne życzenie część jej elit utkwiła.

„CO NAS PODZIELIŁO"

Jak słyszymy, cztery miesiące dzielą nas od najważniejszych wyborów w historii III RP i będzie to bój na miarę galaktycznego starcia Imperium z Rebeliantami jak w „Gwiezdnych wojnach". A zwycięzca dokona twardego resetu państwa albo skończy na śmietniku historii.

Wie o tym rząd, wie opozycja – wiedzą wszyscy od momentu, w którym „dwie Polski" po 2010 r. zaczęły ciążyć ku sobie w fatalizmie politycznego rozliczenia, podsumowanego przez Rymkiewicza słowami: „To, co nas podzieliło – to się już nie sklei". A jednak, gdy pod koniec czerwca 2019 r. w sondażu IBRiS wyborcy mieli za zadanie określić, kto jest liderem obozu antyrządowego, jednomyślnie wskazali: „Nie wiem/trudno powiedzieć" (42,7 proc.). Dopiero drugie miejsce zajął przewodniczący Koalicji Obywatelskiej Grzegorz Schetyna (28,3 proc.), trzecie – typowany jeszcze niedawno na prezydenta Donald Tusk (8,6 proc.), czwarte – zapewne w ramach wyrafinowanego żartu – Janusz Korwin-Mikke (3,1 proc.). Mówiąc wprost: pomimo świadomości stawki czas na zwieranie szeregów w opozycji został przejedzony i przespany, a jej twarzą stał się człowiek obdarzany najniższym zaufaniem pośród wszystkich polityków w kraju. I nie jest to kwestia publicystycznych intuicji opartych na nastroju chwili, ale twardych danych.

Średnie sondażowe z pięciu badań z czerwca 2019 r. wyglądają bowiem następująco: PiS 45 proc., PO – 24, Wiosna – 8, Kukiz'15 – 5, SLD – 5. Dalej pod progiem: PSL, KORWiN, Nowoczesna, Ruch Narodowy i Razem. Gdyby zestawić wyniki z tego samego okresu od 2016 r., okazuje się, że jedynie PiS notuje nieprzerwany trend wzrostowy (38, 41, 44, 45 pp.). Wszystkim liczącym się graczom na scenie poparcie spada. Najbardziej spektakularnie Nowoczesnej (z 18 do 2 pp.), która wraz z odejściem Ryszarda Petru z polityki – wchłonięta strukturalnie przez Platformę – zniknęła jako samodzielny byt partyjny, tworzony na konferencji na Torwarze w kontrze do grzechów partii Schetyny. Pomimo zdeklasowania początkowego konkurenta również Platforma nie ma powodów do radości. Po początkowym skoku (z 18 pp. w 2016 r. do 27 pp. w 2017) stopniowo traciła zaufanie wyborców (kolejno 26, 25 i 24 pp. uśrednionego poparcia), dzisiaj znajdując się o dwie długości za Zjednoczoną Prawicą. Czy teraz opozycja może na wzór barona Münchhausena z powieści Rudolfa Raspego – siedząc po uszy w bagnie, wyciągnąć się z niego za kołnierz koszuli?

ZAKASANE RĘKAWY

Wróćmy zatem do konferencji PO. Politycy, podzieleni na frakcje „młodych", „doświadczonych", „koalicjantów" oraz „skrzydła samorządowego", stali w kilku rzędach z zakasanymi rękawami, wysyłając niewerbalny komunikat skrócenia dystansu oraz gotowości do pracy. – Kluczem w ostatnich kampaniach był bezpośredni kontakt z wyborcami. Czas kampanii opar-

eprasa.pl 7cae2d5e67

tych na konferencjach prasowych i wielkich billboardach mija. Dzisiaj jest czas, by ruszyć w teren, odwiedzać mieszkańców, prowadzić kampanię na dole – przekonywał Bartosz Arłukowicz, dodając, że od teraz w Platformie zaczyna się nowa era.

I być może wszystko byłoby okej, gdyby nie fakt, że jego słowa o końcu konferencji prasowych padły na wielkiej konferencji prasowej. Po zapowiedzi kampanii bez billboardów pojawił się postulat oplakatowania każdej wsi, a obietnica ruszenia w teren polegała na tym, że politycy PO owszem, w teren wyruszyli, ale słuch po nich zaginął. „I po koalicji, czyli opozycja w rozsypce" – napisał Rafał Kalukin w „Polityce", analizując przyczyny tego stanu rzeczy. Nie wydarzył się on jednak w tydzień. Problem opozycji nie polega przecież na tym, że nie umie wyciągać wniosków. W końcu to Władysław Kosiniak-Kamysz jest autorem najsensowniejszego wyjaśnienia przyczyny porażki Koalicji Europejskiej, polegającej na posiadaniu „wspólnoty celu" (odsunięcie PiS od władzy), przy braku „wspólnoty idei" (wzajemnie wykluczające się postulaty światopoglądowe partnerów koalicji). Gdzie zatem leży źródło problemu? W powierzchowności zapowiadanych zmian, uwikłaniu w toksyczny sojusz z ciągnącymi opozycję na dno elitami oraz rozmiłowaniu w kuchni walk frakcyjno-koalicyjnych, która gubi realną politykę. Przykłady?

TEMATY ZASTĘPCZE

Czy zgadną państwo, jaki był największy problem opisywanej prezentacji nowego sztabu opozycji z perspektywy lewicowo-liberalnych mediów? Banalność prezentowanych postulatów? Smętne miny niepotrafiących wykrzesać z siebie odrobiny energii prowadzących? Brak mobilizującej wizji działania? Nie. „Panie pośle Krzysztofie Brejzo, czy mógłby pan dorosłą kobietę w sytuacji publicznej przedstawić następnym razem Barbara Nowacka, a nie Basia Nowacka? Z góry dziękuję" – napisała Renata Grochal z „Newsweeka", rozpętując debatę na temat godności kobiet w opozycji. „Ojojoj. Grzesiek Schetyna może powiedzieć czy też nie?" – ripostował naczelny jej tygodnika, Tomasz Lis. Dalej wymiana zdań wyglądała następująco: „Nie słyszałam, żeby mówił Grzesiu Schetyna". „Może czy nie, tak brzmi pytanie". „Odpowiednikiem Basi jest Grzesiu, nie Grzesiek. W sytuacji publicznej Grzegorz Schetyna". „A to skąd? Jakaś doktryna?" – zapytał Lis, i dialog się urwał. Podobnie jak trendy sondażowe również tego typu „dyskursy" stanowią element większej układanki. Na niekorzyść opozycji działa bowiem trend, który przez lata sama hołubiła, wysuwając na czoła marszów celebrytów, profesorów z ambicjami moralizatorskimi i rozedrganych emocjonalnie aktorów. Dzisiaj, cokolwiek zadeklarowaliby Arłukowicz czy Schetyna, to oni mówią głosem pogłębiającego się z tygodnia na tydzień ideologicznego antypisu. Aby nie pozostać gołosłownym, kolejna garść (pochodzących zaledwie z miesiąca!) kazusów.

Pierwszy: obchody wyborów z 4 czerwca 1989 r. w Gdańsku, które w pełni świadomie zamieniają się w zlot opozycji, szukającej ratunku w zaangażowaniu w bieżącą politykę samorządowców. Pomimo początkowych zapowiedzi Donald Tusk nie ogłasza na wiecu swojego powrotu do Polski. Drugi: deprecjonowanie wizyty Andrzeja Dudy w USA jako nieważnej, przepłaconej i odbytej na kolanach, pomimo podpisania istotnych umów na gruncie zbrojeniowym, energetycznym, wizowym i politycznym. – Szukając danych na temat F-35, zobaczyłem, co napisał Sputnik, który udowadnia, że radziecki chyba Su-55 (Su-57 – przyp. M.M.) jest lepszy i o połowę tańszy – mówi w TVN 24 były ambasador RP w USA Ryszard Schnepf. Trzeci: zaangażowanie rzecznika praw obywatelskich w obronę godności domniemanego mordercy 10-letniej Kristiny, skupiające się głównie na rodzaju kajdanek, które podczas aresztowania założyła mu na ręce i nogi policja. Czwarty: stanięcie murem za „apolitycznym Wakacyjnym Protestem Klimatycznym" 13-latki pod Sejmem. Protestem, który trwa kilka godzin w jeden dzień w tygodniu, nie przedstawiając żadnych realnych celów. Piąty: postawienie nacisku na prawo organizacji LGBT do drukowania swoich ulotek u drukarza, który nie chce świadczyć tego typu usług, przy jednoczesnej obronie sieci salonów meblowych IKEA, która zwolniła pracownika cytującego Pismo Święte w ramach odmowy w uczestniczeniu w akcji afirmacji związków homoseksualnych. Szósty: gremialne wsparcie Fransa Timmermansa w roli szefa Komisji Europejskiej oraz święte oburzenie na dwoje europosłów PiS, którzy nie wstali podczas „hymnu Unii". Siódmy: spór o waginę na marszach równości. „Nie przepraszam za waginę", pisze w „Wyborczej" prof. Ewa Graczyk, dodając: „A właściwie dlaczego mamy bezkrytycznie chronić emocje, nawet »religijne«, które w Polsce domagają się, żeby było serio, ponuro, katolicko".

W tym samym czasie jedyna realna aktywność polityczna opozycji polega na poświęcaniu ogromnych nakładów czasu i energii na walki frakcyjne.

KONWENTY ŚW. KATARZYNY

Przypominają one zamieszanie wokół Konwentu św. Katarzyny à rebours. Nikt nie wie, w jakim bloku i z kim pójdzie do wyborów. Nic nie podsumowuje tego chaosu lepiej niż zestawienie kilku wypowiedzi Roberta Biedronia. 23 października 2015 r.: „Stwórzmy Razem Zjednoczoną, Nowoczesną i Obywatelską »Koalicję dla Demokracji«". 3 października 2018 r.: „Członkostwo w PO mnie nie interesuje. Platforma od »Ujazdowskiego po Nowacką« to przepis na wydmuszkę wielkanocną!". 24 kwietnia 2019 r.: „Wykluczam na sto procent wspólny start z Koalicją Europejską w wyborach parlamentarnych; z szefem PO Grzegorzem Schetyną nie rozdzielimy państwa od Kościoła". 30 czerwca 2019 r.: „Mam nadzieję, że w najbliższych dniach spotkamy się z przedstawicielami Koalicji Europejskiej, żeby rozmawiać, jak połączyć opozycję, jak sprawić, żebyśmy nie stali tylko przed wyborem, jak bardzo opozycja przegra, ale jak bardzo opozycja wygra". Człowiek typowany na kolejną nadzieję na rozbicie partyjnego duopolu w ciągu dwóch miesięcy potrafił przejść z pozycji „100 proc. nie z PO" do „zacznijmy rozmawiać".

Tak wygląda w chwili obecnej kondycja obozu, który chce zmienić i naprawić Polskę, obiecując wyższe standardy, europejski szlif i praworządność. Sugerując walkę o demokrację, potyka się o demokratyczne reguły tworzenia sojuszy we własnym gronie. Władysław Kosiniak-Kamysz: „Nie ma miejsca na jednej liście wyborczej dla Wiosny i PSL". Robert Biedroń: „Władziu, nie bój się nas, nie lękaj się mnie!". Borys Budka: „Mamy szanse zawrzeć poligamiczny związek i będziemy do niego namawiać PSL i Wiosnę. Liczę, że pójdziemy szeroką koalicją przeciw PiS". Z czym zatem iść, kogo przekonać, jak władzę wywalczyć? Niech odpowie Krzysztof Brejza. – Zapewnimy lepszą służbę zdrowia, sprawniejsze szkoły, mniej węgla z Rosji i mniej węgla w przyszłości w ogóle, mniej śmieci importowanych do Polski, większe bezpieczeństwo, bo brakuje 10 tys. policjantów na ulicach – stwierdził w „Wyborczej" szef kampanii Koalicji Obywatelskiej. Po takich słowach trudno nie odnieść wrażenia, że opozycja oddaje te wybory walkowerem. I to naprawdę nie jest dobra rzecz dla demokracji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7cae2d5e67

Kamila Baranowska

W Platformie mówią, że jest skuteczny i wyrazisty. W PiS – że pozbawiony zahamowań i bezwzględny. Czy Krzysztof Brejza udźwignie jedną z najtrudniejszych dla partii kampanii wyborczych?

FOT. STEFAN MASZEWSKI/REPORTER

Bulterier Platformy

To jest nowy początek – zapowiedział lider Platformy Obywatelskiej Grzegorz Schetyna, prezentując skład sztabu wyborczego opozycyjnej koalicji i wskazując, że jego szefem będzie Krzysztof Brejza. Zastępcą Brejzy będzie z kolei Bartosz Arłukowicz. – To efekt naszej pracy i rozmów, które prowadziliśmy od półtora roku, szukając najlepszego pomysłu, aby zbudować dobry fundament obywatelskiej koalicji – podkreślił Schetyna.

Krzysztof Brejza wcale nie był oczywistym kandydatem na szefa sztabu. O jego wyborze zdecydował polityczny pragmatyzm Schetyny, sprowadzający się do kilku czynników. Po pierwsze chodziło o chęć pokazania, że Platforma stawia na młodych i ma ich w swoich szeregach. To także ukłon w stronę twardego elektoratu, wśród którego najbardziej widoczni i agresywni w walce z PiS politycy cieszą się największą popularnością. Wreszcie – to nagroda za jego pracę w wyborach do Parlamentu Europejskiego. Brejza, choć mandatu nie zdobył, startując z ostatniego miejsca w niełatwym okręgu kujawsko-pomorskim, uzyskał bardzo dobry wynik – 85 tys. głosów.

W kalkulacji Schetyny wyznaczenie go na szefa sztabu wyborczego to także mniejsze ryzyko niż postawienie na Arłukowicza, o którym po udanej kampanii do Parlamentu Europejskiego zaczęto mówić w kategoriach przyszłego lidera Platformy. Wiadomo, że szefowanie sztabowi dodatkowo by go wzmacniało. Brejza jest na innym etapie politycznej kariery – dopiero buduje swoją pozycję w partii i popularność.

Jego największą słabością jest brak doświadczenia w pracy przy tak dużych kampaniach. W sytuacji, gdy szefem sztabu PiS zostaje kampanijny wyjadacz Joachim Brudziński, wspierany przez współautorkę zwycięskich kampanii z 2015 r. Beatę Szydło, ten fakt ma prawo spędzać sympatykom opozycji sen z powiek.

– Ma pan doświadczenie sztabowca, by poprowadzić najważniejszą po 1989 r. kampanię wyborczą? – od takiego sceptycznego pytania niedawny wywiad z Brejzą zaczęła Agnieszka Kublik w „Gazecie Wyborczej". Odpowiada, że od 2005 r., kiedy to został radnym, nieustannie walczy o wyborców. Podkreśla, że był szefem sztabu regionalnego PO w Kujawsko-Pomorskiem w 2010 r. i szefem powiatowych sztabów wyborczych w ostatnich wyborach do PE. Nie brzmi to jednak zbyt efektownie.

eprasa.pl 7cae2d5e67

– Nie było lepszego kandydata – przekonuje polityk związany ze sztabem PO. – A brak doświadczenia nie jest problemem. On ma dawać twarz, w sztabie na zapleczu będzie pracować wiele osób z dużo większym doświadczeniem i odpowiednim know-how – tłumaczy. – Będzie taką naszą Beatą Szydło, która w 2015 r. firmowała kampanie Andrzeja Dudy i PiS, choć wiadomo, że to nie ona stała za kluczowymi decyzjami – porównuje.

Gdy pytamy, czy aby na pewno Grzegorz Schetyna ma tak duże zaufanie do Krzysztofa Brejzy, jakie do Beaty Szydło miał Jarosław Kaczyński, słyszymy, że niekoniecznie. Dlatego on i jego ludzie będą patrzeć mu na ręce.

CIOSY W INTERPELACJACH

– To właściwy człowiek na właściwym miejscu – uważa Tomasz Siemoniak, wiceprzewodniczący Platformy, były wicepremier i szef MON. – To polityk, dla którego obecna kadencja w opozycji stała się przepustką do politycznej ekstraklasy, stał się symbolem dociekliwości, badania i ujawniania afer PiS, takich jak wypłacanie horrendalnych nagród ministrom w rządzie PiS. Pokazał też sprawność w komisji śledczej ds. Amber Gold, gdzie był w stanie samotnie zbijać ustawione wcześniej pod tezę argumenty – wylicza.

Rzeczywiście, jeśli ktoś zadał bolesne ciosy PiS w tej kadencji, to był to Brejza i jego interpelacje poselskie, m.in. ta dotycząca nagród przyznawanych ministrom w rządzie Beaty Szydło. Ta sprawa ciągnie się za PiS do dzisiaj i do dzisiaj jest wykorzystywana przez opozycję jako dowód na arogancję i zachłanność władzy. Medialna burza, która rozpętała się po ujawnieniu wysokości nagród, sprawiła, że prezes PiS nakazał ministrom zwrot nagród i przekazanie ich na Caritas. Sejm przegłosował wówczas także obniżkę pensji dla parlamentarzystów i samorządowców.

Brejza pracował też w komisji ds. Amber Gold. Koledzy z partii go zachwalali, ale posłowie PiS mają inne zdanie. – Bardzo trudno się z nim pracowało, ponieważ był odporny na obiektywną rzeczywistość. Miał zawsze zadanie do wykonania i jak mantrę powtarzał tezę, którą miał do przekazania, bez względu na fakty – mówi „Do Rzeczy" Małgorzata Wassermann z PiS, przewodnicząca komisji ds. Amber Gold. – To skrajnie nielojalny współpracownik, wykorzystujący każdą okazję do partyjnej gry. Każde ustępstwo czy gest dobrej woli z mojej strony wykorzystywał później przeciwko mnie – dodaje.

Inny członek komisji opowiada, że Brejza rzeczywiście mocno zalazł za skórę przewodniczącej. – Zachowywał się momentami skandalicznie. Była sytuacja, że jego doradca przetrzymywał dokumenty, utrudniając prace komisji, przewodnicząca się z nim awanturowała, ostrzegała Brejzę, że tak być nie może, a ten szedł i udzielał wywiadu, że przewodnicząca Wassermann nie panuje nad pracami komisji i doradcami – relacjonuje.

TEN OD AFER

To, co politycy PiS nazywają bezwzględnością, a czasem nawet perfidią, politycy PO określają jako skuteczność. A to, co dla posłów PiS jest agresywnym zachowaniem, dla członków Platformy jest wyrazistością.

– Bardziej pasuje do niego słowo „wyrazistość" niż „agresja" – mówi o Brejzie Tomasz Siemoniak. – Jest politykiem, który doskonale rozumie Internet i media społecznościowe, który wie, że celem jest przyciągnięcie uwagi, a to robi się za pomocą krótkich, chwytliwych i łatwych do zapamiętania haseł czy opinii. To nie jest kwestia charakteru, ale raczej dostosowania środków wyrazu do dzisiejszych wymagań – tłumaczy.

W Platformie bywa nazywany partyjnym bulterierem albo posłem od afer. Nie lubi takich łatek.

– Nowa sytuacja polityczna wymagała, abym przekalibrował się wewnętrznie. Jest zadanie do wykonania, to wchodzę do akcji i działam. Ale nie lubię określeń: „poseł od afer", „poseł śledczy". Jestem posłem uniwersalnym – deklarował jakiś czas temu w „Wysokich Obcasach".

Tłumaczył też, że jego większa wyrazistość wynika z sytuacji politycznej, czyli rządów PiS.

Między wierszami jednak zdradza, jak odkrył, że gdy po raz pierwszy wygłosił ostre przemówienie w Sejmie tuż po wyborach w 2015 r., wreszcie udało mu się zaistnieć w mediach. Dotyczyło ustawy o służbach specjalnych. – Po raz pierwszy przebiłem się do głównych serwisów informacyjnych i portali. Okazało się, że jest poseł Brejza, który potrafi wystąpić i „zaorać" PiS. Coś się wtedy we mnie zmieniło. Byłem gotowy na zaostrzenie języka. Zrozumiałem, że jesteśmy w momencie rewolucji ustrojowej, a dotychczasowa taktyka nie będzie wystarczająca do walki z tą władzą – wyznał.

Niekiedy jednak to zaostrzenie języka prowadzi go na manowce. Po tym, jak wielokrotnie w mediach i na posiedzeniach komisji śledczej mówił o powiązaniach sprawy Amber Gold ze SKOK-ami, ta ostatnia instytucja złożyła na niego zawiadomienie do prokuratury, oskarżając go o „poniżanie i pomawianie Kasy Krajowej i SKOK-ów". Wcześniej proces wytoczył mu także SKOK Stefczyka.

Posłowi Brejzie proces o naruszenie dóbr osobistych wytoczył także Jarosław Kaczyński. Chodzi o sprawę spółki Srebrna i słowa Brejzy o przestępstwie, którego w tej sprawie miał się dopuścić prezes PiS.

W tym ostatnim procesie Brejzy będzie bronić żona Dorota, która jest adwokatem i która wspiera go mocno w jego politycznych działaniach, co widać także na Twitterze, gdzie chętnie bierze udział w politycznych dyskusjach. Oprócz niej Brejza ma grono stałych bliskich współpracowników, którzy pomagają mu gromadzić informacje i przygotowywać różne polityczne akcje. Mają być też jego podporą podczas pracy w sztabie.

SZANSA I RYZYKO

Dla Krzysztofa Brejzy najbliższa kampania to wielka szansa, ale i ryzyko. Jeśli popełni zbyt dużo błędów, to Grzegorz Schetyna nie zawaha się obarczyć go odpowiedzialnością za ewentualną porażkę. Ale jeżeli kampania będzie oceniana dobrze, to nawet jeśli opozycja finalnie przegra, Brejza wyjdzie z tego z tarczą. Jest młody (rocznik 1983), na swoje pięć minut może jeszcze poczekać, a kolejne lata w opozycji wykorzystać na budowanie i umacnianie nie tylko swojej rozpoznawalności, lecz także pozycji w partii. W obecnym gabinecie cieni przypadła mu funkcja ministra sprawiedliwości, ale w Platformie słychać, że w przyszłości chętniej widziałby się w fotelu szefa MSWiA.

W „Gazecie Wyborczej" opowiadał niedawno o tym, jak na co dzień pracuje. Mówił m.in., że ma u siebie w biurze tablice ścieralne, na których zapisane są zadania i cele. – Na zielono odznaczam, co się udało, na czerwono – czego już się nie uda, na czarno – z czym muszę jeszcze walczyć – wyliczał. Kampania wyborcza na razie jest pewnie na czarno; ciekawe, jakim kolorem poseł Brejza odznaczy ją jesienią.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7cae2d5e67

Z Jerzym Kwaśniewskim, adwokatem, prezesem zarządu Ordo Iuris
rozmawia Piotr Włoczyk

Krzyż ponad tęczą

PIOTR WŁOCZYK: Czy sprawa pana Tomasza, który został zwolniony z pracy w IKEI za cytowanie Pisma Świętego, to rzeczywiście precedens w polskich warunkach?

JERZY KWAŚNIEWSKI: Tak i nie. Od dawna dochodziły do nas sygnały o międzynarodowych korporacjach wdrażających ideologię LGBT niemal jako element obowiązków pracowniczych. Przychodzili do nas w tej sprawie zaniepokojeni pracownicy korporacji. Z reguły jednak te historie kończyły się polubownie. Teraz mamy pierwszą sprawę, gdy dochodzi do procesu, ponieważ pracodawca w porę się nie opamiętał i doprowadził do konfliktu. Tymczasem zarówno Kodeks pracy, jak i polska konstytucja oraz normy międzynarodowe zakazują dyskryminacji nie tylko z uwagi na orientację seksualną, lecz także z powodu wyznawanej wiary.

eprasa.pl 7cae2d5e67

Pracownicy IKEA na paradzie równości w niemieckiej Kolonii w lipcu 2018 r.
FOT. WOLFGANG RATTAY/REUTERS/FORUM

Czy to nie jest konflikt między dwiema wartościami: prawem do okazywania wiary a manifestowaniem takiej, a nie innej orientacji seksualnej?

Pamiętajmy, że z punktu widzenia prawa pracownik nie może dyskryminować drugiego pracownika. Dyskryminacja jest zjawiskiem występującym pionowo na linii pracodawca–pracownik. Pracownik może co najwyżej naruszyć dobra osobiste innego pracownika. Wtedy można go pozwać, zażądać odszkodowania. Co więcej, do zachowań pana Tomka wobec innych pracowników i klientów nigdy nie było zastrzeżeń.

IKEA uznała, że komentarz pana Tomasza naruszył „zasady współżycia społecznego". Czy pracodawca nie ma prawa interweniować, gdy widzi komentarze, które część pracowników odbiera jako obraźliwe? IKEA twierdzi, że do kierownictwa trafiły ze strony innych pracowników skargi na wpis pana Tomasza.

„Zasady współżycia społecznego" to bardzo szeroka klauzula generalna, czyli zbiór ogólnych zasad, które uznajemy za fundamentalne dla harmonijnego ułożenia stosunków społecznych. Z całą pewnością nie narusza takich zasad korzystanie ze swoich praw i wolności. A jednym z takich praw jest prawo do wolności wyznania, czyli manifestowania swojej wiary, również publicznie, do przyznawania się do niej i kierowania się jej nakazami. Mieści się w tym oczywiście również prawo do cytowania Biblii, a także do dokonywania ocen moralnych.

Krytycy pytali jednak, czy zakład pracy to rzeczywiście najlepsze miejsce do manifestowania swojej wiary?

Musimy tu pamiętać o całym kontekście. Mamy do czynienia z pracodawcą, który przez cały miesiąc prowadził wśród pracowników zmasowaną kampanię marketingową pod znakiem tęczy. Na pewnym etapie udostępnił im artykuł „Włączenie LGBT+ jest obowiązkiem każdego z nas". Podkreślmy to – „obowiązkiem"! Przecież to wygląda jak polecenie służbowe – należy popierać postulaty tego ruchu, takie jak zrównanie związków jednopłciowych z małżeństwem, zaakceptowanie roszczenia o adopcję dzieci, pochwalanie zachowań homoseksualnych. W odpowiedzi jeden z pracowników, który uważa tego typu żądanie za sianie zgorszenia, dokładnie to pisze i cytuje fragmenty z Księgi Kapłańskiej oraz Ewangelii, bezpośrednio zaczerpnięte z Biblii Tysiąclecia.

Widzimy więc, że to była odpowiedź na prowokację ze strony pracodawcy. Jeszcze raz podkreślę, że pan Tomasz nigdy nie wypowiadał się negatywnie na temat zachowań seksualnych innych pracowników tej firmy. On po prostu sprzedawał meble.

Po opublikowaniu przez pana Tomka jego komentarza pracodawca najpierw zażądał usunięcia wpisu, a gdy ten nie wycofał się z biblijnych cytatów, jego umowa o pracę została wypowiedziana. Czy można tolerować takie traktowanie pracownika?

Firma napisała też w uzasadnieniu, że utraciła zaufanie do pana Tomasza. Obrońcy IKEI argumentowali zaś, że pracodawca nie może zatrudniać człowieka, którego nie jest „pewny".

Tak, IKEA „utraciła zaufanie" do pana Tomasza akurat wtedy, kiedy ten dał wyraz swojej wierze... Nawiasem mówiąc, nieprzyjemności spotykały w tym kontekście także inne osoby – pracownicy, którzy „polubili" ten komentarz, a kilka osób to zrobiło, zostali wezwani na „dywanik" i grożono im naganami z wpisem do akt, jeżeli nie wycofają poparcia dla stanowiska pana Tomasza.

Pamiętajmy też jednak, że poza cytowaniem Biblii pan Tomasz własnymi słowami napisał też, że homoseksualizm to dewiacja. To wciąż podpada pod manifestowanie swojej wiary?

Z punktu widzenia wiary akty homoseksualne są wewnętrznie nieuporządkowane i bez względu na szacunek wobec osób, które takie zachowania praktykują, ich czyny są grzechem wołającym o pomstę do nieba. To po prostu treść katechizmu.

Nazwanie homoseksualizmu dewiacją jest oceną moralną płynącą z wiary i zwykłym przypomnieniem nauki Kościoła katolickiego. Pytanie brzmi więc: Czy publiczne wyznawanie wiary narusza zasady współżycia społecznego? Mamy na to jasną odpowiedź prawa konstytucyjnego i prawa pracy: publiczne wyrażanie wiary to prawo każdego człowieka. Nie można więc pracownikowi zakazywać wyrażania wiary, w szczególności jeżeli nie niesie to naruszenia interesów firmy – komentarz pana Tomasza pojawił się przecież na wewnętrznym forum dyskusyjnym, więc nie wpływał na jej wizerunek.

Ponadto pracodawca nie wskazał, kogo dokładnie miałoby to obrazić. Szczególnie że nie było to zaadresowane do konkretnej osoby. Była to reakcja na narzucenie stwierdzenia: „Włączenie LGBT+ jest obowiązkiem każdego z nas". Tu nawet nie chodzi o narzucanie oceny etycznej homoseksualizmu, ale o to, czy ktoś ma prawo twierdzić, że zachowania homoseksualne są nieetyczne z punktu widzenia jego wiary. Nasza konstytucja chroni takie prawo.

Czy to wszystko działa w dwie strony? Czy katolicki pracodawca musi tolerować sytuację, gdy jego pracownik ateista w mocnych słowach krytykuje na firmowym forum nauczanie Kościoła katolickiego, np. na temat homoseksualizmu?

Tak, to działa w dwie strony. Za krytykowanie Kościoła katolickiego również nie można byłoby zwolnić pracownika. Tylko jakoś nie słyszymy o takich przypadkach… Zwykle bowiem to katolicy mają problemy, kiedy przyznają się do wiary.

eprasa.pl 7cae2d5e67

Jest pan spokojny o wyrok sądu?

Jestem spokojny. Pracodawca rzadko ujawnia dyskryminacyjną przesłankę wprost w treści wypowiedzenia. Zwykle mówi zamiast tego np. o spadku efektywności, a dopiero później w toku procesu wykazujemy, że pod pozorną przyczyną wypowiedzenia kryje się przyczyna rzeczywista – dyskryminacyjna. Tymczasem uzasadnienie przedstawione przez IKEA jest wprost sprzeczne z prawem, ponieważ otwarcie dyskryminuje z powodu wyznawanej wiary. Oświadczenie pracodawcy można streścić jako: „Wypowiadam ci umowę o pracę, a przyczyną są twoje przekonania religijne". Podejrzewam, że każdy polski prawnik zajmujący się prawem pracy ostrzegłby kierownictwo firmy przed podaniem tego typu przyczyny rozwiązania umowy o pracę.

Tylko że IKEA nie napisała tego wprost.

Nie da się tego rozumieć inaczej. Przypominam, że pracodawca zareagował na bezpośrednie cytaty z Pisma Świętego, które są fundamentem nauczania Kościoła katolickiego. Innymi słowy, pracownicy, którzy chcą przywoływać Biblię czy nauczanie Kościoła, nie mają czego szukać w szeregach IKEA. To jest niedopuszczalne.

Nasze państwo sprawuje bardzo ścisły nadzór nad pracą. Czy nam się to podoba, czy nie, konstytucja daje państwu prawo wejść bardzo głęboko w stosunek pracy i zapewnić poszanowanie podstawowych praw. Pracodawca ma olbrzymią przewagę nad pracownikiem i państwo kontroluje, czy nie nadużywa on swojej władzy. W tym przypadku doszło naszym zdaniem do przekroczenia wszelkich granic. Ta sprawa jest absolutnie jednoznaczna.

Kiedy można się spodziewać wyroku?

Szacuję, że zajmie to maksymalnie półtora roku. Z uwagi na oczywistość sprawy można też liczyć na zawarcie ugody. Tu nie ma wielu świadków do przesłuchiwania, a nauczanie Kościoła katolickiego jest w sprawie homoseksualizmu bardzo jasne. Rozsądnie działający pracodawca wycofałby się. Byłoby to rozwiązanie najkorzystniejsze wizerunkowo.

Na razie zwolnienie pana Tomasza nie wyszło chyba na zdrowie firmie. Już widać, że ta sprawa mocno zbulwersowała opinię publiczną i wiele osób zapowiada bojkot IKEA.

Bardzo cieszy wsparcie dla pana Tomasza. Cała ta sprawa powinna uświadomić pracodawcom, że mają oni obowiązek szanować podstawowe wolności swoich pracowników. Pracodawca nie ma prawa do kształtowania poglądów pracowników. Ma je tolerować. Jeżeli tworzy jakąś wewnętrzną platformę komunikacyjną, gdzie pracownicy mogą wyrażać swoje opinie, to nie może zakładać im kagańca. Wzywanie pana Tomasza do skasowania komentarza było de facto nakłanianiem go do milczenia w tej sprawie, co jest przecież sprzeczne z jego wiarą. Pracodawca nie może uciszać pracownika. Oczywiście te problemy nie dotyczą jedynie IKEA. Wiele innych firm wdraża pod przymusem „politykę antydyskryminacyjną", która często oznacza po prostu afirmację ruchu LGBT.

Uzasadnienie przedstawione przez IKEA jest wprost sprzeczne z prawem, ponieważ otwarcie dyskryminuje z powodu wyznawanej wiary

Ostatnio głośno zrobiło się o fabryce Volvo we Wrocławiu, gdzie firma zachęcała do tworzenia społeczności LGBT+. Po protestach związków zawodowych kierownictwo wycofało się z tego pomysłu.

Pracownicy są zachęcani do włączania się do ruchu LGBT, ale nie oferuje się im alternatywy. To nie jest tak, że pracodawca wspiera wszelką ekspresję swoich przekonań. Korporacje wspierają jedną obowiązującą linię ideologiczną i wymagają podporządkowania się jej albo milczenia.

Duże koncerny sponsorują parady równości i nakłaniają pracowników do brania udziału w tych imprezach. Pojawia się uzasadnione podejrzenie, że ci, którzy pójdą na takie marsze, mogą być potem lepiej traktowani. A równolegle ten sam pracodawca nie zachęca do zaangażowania się np. w Marsz dla Życia i Rodziny lub procesje Bożego Ciała. Jest to faworyzowanie opcji ideologicznej i spychanie na margines umiarkowanej reszty pracowników.

Jak pracownik korporacji może się bronić przed próbami zapisywania go do grona zwolenników środowiska LGBT?

Jeżeli jasno wyraził swój sprzeciw, a wciąż jest nagabywany przez pracodawcę, żeby zaangażował się w promocję LGBT, to jest to forma mobbingu. Jeżeli natomiast jest napiętnowany w środowisku pracowniczym, bo np. nie włączył się w paradę gejowską, to można już mówić o naruszeniu dóbr osobistych. Wyciąganie wobec niego w związku z tym jakichkolwiek konsekwencji z obszaru prawa pracy jest nielegalne i pracownik powinien żądać uchylenia tego typu środków dyscyplinarnych. Artykuł 11^3 Kodeksu pracy zakazuje dyskryminacji, również na podstawie wyznawanej religii. Za wszelkie akty dyskryminacji i mobbingu w pracy przysługuje również odszkodowanie.

Dobrze, że polskie związki zawodowe włączają się w tego typu spory. Z ich perspektywy ochrona prawa pracowników do swobody wyrażania swoich przekonań to absolutnie kluczowy aspekt realizacji praw pracowniczych.

Ta sprawa ma być ostrzeżeniem dla wielkich korporacji? Myśli pan, że tak wielkie, bogate koncerny porzucą nagle prowadzenie „tęczowej" polityki wobec swoich pracowników?

Najważniejsze jest szerokie wsparcie Polaków dla pana Tomasza i jemu podobnych. Jeżeli tak się stanie, to może się to odbić poważnie na wizerunku i przychodach „tęczowych" korporacji. Dyskryminacja osób wierzących nie może się opłacać. Musimy na to reagować zgodnie z wolnym rynkiem, czyli prowadzić bojkot konsumencki. Widzimy liczne wezwania do bojkotu produktów IKEI, co może przestraszyć tę firmę i na dłuższy czas powstrzymać wchodzenie do Polski polityk „równościowych" i LGBT, które tak naprawdę prowadzą do marginalizowania większości pracowników. Cieszy też solidarność ludzi wierzących. Właśnie dostaliśmy zapewnienie z Polskiego Towarzystwa Gospodarczego o gotowości do znalezienia dobrego miejsca pracy dla pana Tomasza. Są pracodawcy, którzy doceniają nieugiętą postawę pracownika.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Jerzy Kwaśniewski – adwokat, współtwórca i prezes zarządu Instytutu na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris.

eprasa.pl 7cae2d5e67

PRENUMERATA 2019

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

DO RZECZY **TYGODNIK „DO RZECZY"**

WERSJA PAPIEROWA TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

NOWOŚĆ W PRENUMERACIE

W PREZENCIE KSIĄŻKA:
MONIKA G. BARTOSZEWICZ
„FESTUNG EUROPA"

~~330 ZŁ~~ > **134,00 ZŁ** < OSZCZĘDNOŚĆ 196 ZŁ

ZOBACZ NASZE OFERTY: PRENUMERATA.DORZECZY.PL

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 7cae2d5e67

Obrońca Starego Świata

Maciej Pieczyński

Ksiądz Roman Kneblewski został odwołany z urzędu proboszcza. Wpływ na to mogły mieć głośno wyrażane poglądy duszpasterza, sprzeczne z polityczną poprawnością

Szczęść Boże! Drogi Księże Prałacie! Nie rozumiem, co dzieje się w dzisiejszym świecie i jaki on będzie już wkrótce, skoro zabiera się wzorce młodym. Kto przenosi na emeryturę pełnego sił księdza, walczącego o moralność, patriotyzm i tradycję Kościoła?! Wciąż mam nadzieję, że ta poranna wiadomość w mediach to jakiś fake news" – SMS o takiej treści otrzymał od jednego z wiernych ksiądz prałat Roman Kneblewski, jeszcze do niedawna proboszcz parafii Najświętszego Serca Pana Jezusa w Bydgoszczy. Od odczytania tej wiadomości wyrazisty kapłan, znany z bezkompromisowej obrony tradycyjnych wartości, rozpoczął oświadczenie na swoim wideoblogu. – Niestety, to nie jest fake, choć nawet powinno się tak myśleć. Nic nie wskazywało wcześniej na to, że mogę być odwołany z urzędu proboszcza – skomentował ks. Kneblewski.

Duszpasterz powołał się na, często wyrażane publicznie, przekonanie, zgodnie z którym ksiądz powinien być bezgranicznie posłuszny hierarchii i godzić się na to, że jest przenoszony z miejsca na miejsce. – Owszem, kapłan jest mobilny, dyspozycyjny, ale tak sobie przenieść po prostu można wikariusza, bo to jest funkcja, można również nawet dziekana, bo to też jest funkcja. Można odwołać i po prostu jakieś inne zadania mu wyznaczyć – mówił ks. Kneblewski. – Natomiast jeśli chodzi o proboszcza, to nie jest funkcja, tylko urząd. Są trzy podstawowe urzędy w Kościele: to jest papież, biskup diecezjalny, czyli biskup ordynariusz, i proboszcz. To są urzędy […]. Proboszcza, który sprawuje urząd, nie wolno tak sobie odwołać. Proboszcz jest, podobnie jak biskup ordynariusz, nieusuwalny, zgodnie z prawem kanonicznym. Dawniej był nieusuwalny aż do śmierci, ostatnio – do kościelnej emerytury. A ta, przynajmniej w naszej diecezji, oznacza osiągnięcie wieku 75 lat.

Bydgoski biskup odwołał ks. Romana Kneblewskiego z funkcji proboszcza i wysłał go na emeryturę

FOT. ARKADIUSZ WOJTASIEWICZ/AGENCJA GAZETA

eprasa.pl 7cae2d5e67

A jednak decyzją biskupa bydgoskiego Jana Tyrawy ks. Kneblewski został odwołany z funkcji proboszcza parafii i przeniesiony na emeryturę. W swoim dekrecie biskup powołuje się na przepisy prawa kanonicznego. Zgodnie z nimi „urząd kościelny traci się po upływie wyznaczonego czasu, po osiągnięciu określonego prawem wieku, na skutek rezygnacji, przeniesienia, usunięcia, a także pozbawienia". Pierwsze dwa z wymienionych powodów nie powinny dotyczyć ks. Kneblewskiego, któremu do osiągnięcia przewidzianego przez diecezję wieku emerytalnego pozostało jeszcze osiem lat.

POSŁUGIWANIE SZKODLIWE?

W zapisach, którymi biskup tłumaczy swoją decyzję, czytamy również: „Gdy posługiwanie jakiegoś proboszcza, na skutek jakiejś przyczyny, nawet bez jego poważnej winy, staje się szkodliwe lub przynajmniej nieskuteczne, może on zostać usunięty z parafii przez biskupa diecezjalnego".

Kodeks prawa kanonicznego precyzuje dokładnie przyczyny „szkodliwości" działalności proboszcza. Są to: „sposób postępowania, który przynosi kościelnej wspólnocie poważną szkodę lub zamieszanie"; „nieudolność albo trwała choroba umysłowa lub fizyczna, która czyni proboszcza nieużytecznym w wypełnianiu jego zadań"; „utrata dobrego imienia u uczciwych i poważnych parafian lub niechęć w stosunku do proboszcza, które według przewidywania szybko nie ustaną"; „poważne zaniechanie lub naruszanie obowiązków parafialnych, które trwa mimo upomnienia"; „złe zarządzanie dobrami doczesnymi z wielką szkodą Kościoła". Jak przyznaje ksiądz prałat, po świętach otrzymał pismo z kurii. Biskup zwrócił w nim uwagę na „istotne zaniedbania" w posłudze księdza proboszcza. Hierarcha wyraził zaniepokojenie tym, że sprawowanie Eucharystii zdominowane jest przez ryt trydencki. Chodzi o to, że proboszcz ma obowiązek sprawowania liturgii i nabożeństw dla wszystkich wiernych. Jak wiadomo, na soborze trydenckim zakazano odprawiania mszy św. w językach narodowych – językiem liturgii była łacina. Dzisiaj, gdy po Soborze Watykańskim II powrócono do liturgii w językach narodowych, sprawowanie mszy po łacinie może być niezrozumiałe dla wiernych. Jednak ks. Kneblewski tłumaczy, że na 23 msze św., odprawiane w tygodniu w jego parafii, tylko dwie były odprawiane w klasycznym rycie trydenckim.

Biskup zarzucił też ks. Kneblewskiemu, że nie odwiedza wiernych w czasie kolędy, że jest nieobecny w biurze parafialnym. Proboszcz odpiera te zarzuty formalne, tłumacząc je kwestiami technicznymi, brakami kadrowymi i przypominając, że w innych parafiach jest podobnie. – Te wszystkie niby-zarzuty, które są do mnie kierowane, doskonale funkcjonują w parafii już od prawie dziewięciu lat. Od prawie dziewięciu lat jest taka sytuacja, wypisz wymaluj takie rozwiązania, jakie teraz podnosi się przeciwko mnie jako zarzuty. Były w międzyczasie dwie wizytacje kanoniczne. Żadna z nich nie stwierdziła żadnych uchybień. Żadnych uwag krytycznych nie było ani po pierwszej, ani po drugiej wizytacji kanonicznej, a wszystko działo się tak samo jak do tej pory – wyjaśnia ks. Kneblewski na swoim wideoblogu.

PO STRONIE TRADYCJI

Zwolennicy bydgoskiego duszpasterza jego odwołanie wiążą z odważnymi wypowiedziami publicznymi. Kapłan nie krył swojego zaangażowania po stronie tradycji. „W toczącej się od wieków wojnie dwóch światów, która zaczęła się w odrodzeniu i z pewnymi nasileniami trwa do dzisiaj (dzisiaj nabrała jeszcze większego tempa), Polska stoi po stronie Starego Świata" – tę, kontrowersyjną z punktu widzenia lewicowej poprawności politycznej, tezę ks. Roman Kneblewski postawił w ramach wykładu zatytułowanego „Skąd tyle nienawiści do Polski i Polaków?", wygłoszonego w biurze posła PiS Tomasza Latosa. W rozumieniu duszpasterza ten Stary Świat to ten ustanowiony przez Boga, hierarchiczny, uporządkowany, który rozwija się organicznie dzięki tradycji i przekazywaniu z pokolenia na pokolenie pewnych postaw, wartości. W tym świecie, zdaniem księdza prałata, „nie ma żadnego po równo, bo w niebie nie ma po równo, po równo jest w piekle". Przeciwnikiem tak rozumianej tradycji jest szatan. To on próbuje zniszczyć Stary Świat, wprowadzając rozmaite nowe porządki. – Jak gdzieś słyszymy: nowy porządek, neue Ordnung czy coś takiego, to już powinna się kontrolka wyświetlić, że jest coś niepokojącego – komentował kapłan.

Powszechnie stosowanym narzędziem „nowego porządku", służącym do obalenia Starego Świata, jest rewolucja. Tak już jest od wieków. Pierwsza była „rewolucja heretycka", zapoczątkowana przez Marcina Lutra. Kolejną, „filozoficzną" rewolucję zafundował światu ojciec racjonalizmu, Kartezjusz. Potem przyszła rewolucja francuska z ludobójstwem w Wandei. Następnie – przewrót październikowy. W latach 60. XX w. wybuchła rewolucja kulturalna, a dziś na naszych oczach rozgrywa się rewolucja obyczajowa, której naczelnym i budzącym największe emocje hasłem jest „gender". „Pomieszanie z poplątaniem, wszystko staje się względne, demoralizacja dzieci od wieku przedszkolnego po to, by z ludzi uczynić niewolniczą masę" – tak w wielkim skrócie wygląda ta ostatnia rewolucja, widziana wnikliwym okiem księdza prałata. Z tej perspektywy widziana polskość zawsze stanowiła tamę, broniącą tradycji przed falami rewolucyjnego zniszczenia. – Szczególnie wiernie na straży tego Starego Świata stał zawsze ośmieszany polski zaścianek. Dlatego ośmieszany, że był ostoją tradycyjnych wartości – ocenił ks. Kneblewski. – Wszelkie rewolucje, wszelkie socjalizmy, masonerie, które dążą do zniszczenia Starego Świata, będą nienawidzić tego, co prawdziwie polskie, i dążyć do tego, aby zniszczyć Polskę lub wynarodowić, już taką wodę nam z mózgu zrobić, żebyśmy zapomnieli, co znaczy być Polakiem. Lub abyśmy się na nowo wymyślili […]. To jest jeden z powodów, dla którego nas się nienawidzi – przekonywał ks. Prałat.

Dał się poznać jednak również z wielu bardziej skrajnych wypowiedzi. „Na pewno nie – za przeproszeniem – demokracja, lecz monarchia! I też faszyzmu bym nie potępiał, dopóki się go nie wyeksplikuje. Jeżeli mianem faszyzmu mielibyśmy określać np. frankizm, który ocalił katolicką Hiszpanię z rąk komunistycznych zbrodniarzy, jestem jak najbardziej za" – ta wypowiedź kapłana, opublikowana na Facebooku, stała się dla bydgoskiego wydania „Gazety Wyborczej" punktem wyjścia do artykułu zatytułowanego „Ksiądz za faszyzmem. Kościół ma problem z radykałem". Ksiądz prałat nazywany jest też kapelanem narodowców.

Ksiądz Kneblewski wcześniej dostał od kurii zakaz publicznych wypowiedzi. Decyzja biskupa o jego odwołaniu wywołała falę oburzenia wśród części wiernych. Pod koniec czerwca pod siedzibą kurii przeszedł marsz w obronie duszpasterza. Sam ksiądz prałat odwołał się od decyzji hierarchy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżon

eprasa.pl 7cae2d5e67

Miasto tylko dla aktywistów

FOT. KRYSTIAN MAJ/REPORTER

Łukasz Warzecha

Środkami z budżetów partycypacyjnych w miastach rządzą aktywiści, a nie mieszkańcy

Jak wyglądałoby miasto urządzone przez typowych aktywistów miejskich? Nietrudno sobie wyobrazić. W centrum wyłącznie pojazdy elektryczne (ale bez elektrycznych hulajnóg). Wąziutkie ulice z mnóstwem przeszkód uniemożliwiających autom rozpędzenie się oraz ograniczenie prędkości do 30 km na godzinę. Szerokie chodniki i szerokie rowerostrady. Wszyscy na rowerkach, włącznie z dostawcami towarów do sklepów. Zamiast miejsc parkingowych – klomby. Blachosmrodziarze (pogardliwe określenie kierowców) zepchnięci do śmierdzących centrów handlowych wyłącznie na obrzeżach, obciążeni stoma nowymi opłatami i w przerażeniu rachujący, jak ciężkie pieniądze kosztuje ich uparte utrzymywanie prywatnego auta. Wszędzie woonerfy, drzewka, ławeczki i obowiązkowe kawiarnie z latte na sojowym mleku.

Przesadzam? Jeśli nawet, to niewiele. Ruchy miejskie, które przez jakiś czas były prezentowane jako świeży oddech w lokalnej polskiej polityce, stały się w dużej części pasożytem, tłumiącym normalne funkcjonowanie miast poprzez swoje oderwane od rzeczywistości lewicowe pomysły.

Tak, ruchy miejskie nie są światopoglądowo neutralne, mają w większości lewicowe inklinacje. Szef najbardziej znanego warszawskiego ruchu miejskiego o bezpretensjonalnej i skromnej nazwie Miasto Jest Nasze, Jan Mencwel, na swoim profilu na Twitterze podaje dalej wiadomości wykpiwające zwolnionego za poglądy pracownika IKEA, broni klimatycznego cyrku w wykonaniu Ingi Zasowskiej, a samo MJN wysłało swoją reprezentację na paradę równości.

W SŁUŻBIE INŻYNIERII SPOŁECZNEJ

Lewicowy jest zresztą sam sposób myślenia miejskich aktywistów o urządzaniu miasta. Istotą lewicowości jest bowiem naginanie rzeczywistości do własnych wyobrażeń i stosowanie inżynierii społecznej. Ruchy miejskie arbitralnie określają, co uważają za stan pożądany i jak ma wyglądać „przyjazne miasto", po czym żądają, aby wymyślone przez siebie pomysły odgórnie wcielać w życie, odwołując się przy tym do „ekspertów", którzy w gruncie rzeczy są po prostu ideologami. Pełnią funkcję arcykapłanów antysamochodowej, rowerowej, miejskiej religii.

Kimś takim jest choćby Gil Peñalosa (jego brat Enrique był burmistrzem kolumbijskiej Bogoty), który objeżdża świat ze swoimi kaznodziejskimi pogadankami o „smart cities". Te pogadanki charakteryzuje całkowite oderwanie od lokalnych warunków i rzeczywistości. Peñalosa nie ma pojęcia o specyfice polskich warunków, rozwoju polskich miast, polskich nawykach, obyczajach, potrzebach, ale z ogromną pewnością siebie wygłasza mądrości, takie jak „musicie uwolnić chodniki od samochodów. One są do chodzenia, a nie do parkowania". Mówił to w Warszawie w roku 2016. Prawda jest taka, że z ideologicznych kazań o tym, co ma się nam podobać w miastach, a co nie, Kolumbijczyk zrobił sobie całkiem niezły sposób na życie. Cóż, każdy orze, jak może.

Ruchy miejskie działają według świetnie znanej metody: mała i reprezentująca ułamek mieszkańców, ale bardzo aktywna i prężna grupka monopolizuje narzędzia, które miasta udostępniają w teorii po to, żeby mieszkańcy mogli mieć wpływ na swoje otoczenie. Tyle że normalni ludzie, pracujący zawodowo i zajęci, nie mają zwykle czasu śledzić stron urzędu miasta, chodzić na spotkania czy konsultacje, głosować w budżetach obywatelskich. Za to aktywiści, dla których jest to na ogół jedyna robota – owszem, trzymają rękę na pulsie.

Radca prawny Paweł Budrewicz,

eprasa.pl 7cae2d5e67

jeden z założycieli Stowarzyszenia „Lubię Miasto", które chce stanowić alternatywę dla ruchów miejskich, opowiada, jakie zdziwienie i konsternację wywoływało, gdy pojawiał się w urzędzie dzielnicy w terminie zapowiedzianym jako czas konsultacji z obywatelami. – Entuzjazm był na poziomie zero – mówi Budrewicz.
– Słyszałem: może pan przyjdzie jutro.

Budrewicz ściągnął na siebie gniew jednego z najbardziej znanych miejskich aktywistów, Roberta Buciaka z niesławnego Zielonego Mazowsza, ogarniętego antysamochodową obsesją, bohatera niezliczonych memów, którymi coraz bardziej wkurzeni mieszkańcy wykpiwają miejskich aktywistów. Buciak jest szefem Branżowej Komisji Dialogu Społecznego ds. Transportu, choć o transporcie poza rowerem nie ma pojęcia – nie ma prawa jazdy, a więc i samochodu. To nie przeszkadza mu raczyć ludzi swoimi mądrościami, takimi jak „kierowca po skręcie często zmienia biegi i nie ma nogi, żeby nacisnąć hamulec".

Buciak zyskał sobie tak powszechne uwielbienie, że gdy na początku roku „Gazeta Stołeczna" ogłosiła swój doroczny konkurs na Nogę od Stołka, czyli miejską antynagrodę, Buciak rychło prowadził w głosowaniu, o wiele długości wyprzedzając następnego kandydata. Dla „Stołecznej", która niemal bezkrytycznie przyklaskuje najgłupszym nawet pomysłom miejskich aktywistów, był to problem, więc… kandydaturę Buciaka wycofano już w trakcie głosowania.

Buciak za złośliwe opisanie swojej osoby przez mec. Budrewicza zaczął się na nim mścić: najpierw nisko ocenił w Internecie jego kancelarię – choć nie miał z nią nigdy do czynienia (po interwencji Budrewicza ocenę wycofał) – a potem przysłał donos do Okręgowej Izby Radców Prawnych.

SPACER ZA 100 TYSIĘCY?

Kto śmiał się z „ławek niepodległości", stawianych przez MON pod kierownictwem Antoniego Macierewicza, ten powinien przyjrzeć się pomysłowi Buciaka, zgłoszonemu w ramach aktualnego budżetu obywatelskiego. Buciak proponuje postawić w Warszawie tysiąc ławek i swoją wizję opisuje tak: „Średni koszt postawienia jednej ławki warszawskiej to 2800 zł. 1000 ławek to 2,8 mln zł. Do tego dochodzi koszt spacerów i raportów, który szacuję na 100 tys. zł". O co chodzi ze spacerami za 100 tys. – nie wie nikt.

Pobieżna kwerenda internetowa pokazuje, że koszt jednej ławki, nawet z montażem, Buciak przeszacował przynajmniej trzykrotnie. O ile przeszacował koszt spaceru – cokolwiek miałoby to znaczyć – nie wiadomo. W tej sytuacji pozostaje sobie zadać pytanie, kto na tych idiotyzmach miałby zarobić.

Inne genialne pomysły Buciaka na budżet obywatelski to zastąpienie zielenią miejsc parkingowych w sąsiedztwie Teatru Wielkiego (550 tys. zł) – w okolicy, gdzie już teraz zaparkowanie graniczy z cudem – czy „wycieczka rowerowa szklakiem poległych projektów budżetu partycypacyjnego" za jedne 3 tys. zł.

Problem w tym, że – jak wskazywał Budrewicz – w głosowaniach nad budżetem obywatelskim można być tylko „za". Nie da się głosować przeciw. A to oznacza, że wystarczy zebrać odpowiednio dużą grupę kumpli i sprawa załatwiona. Nogę od Stołka Buciak miał dostać głównie za mylące tytuły swoich projektów do budżetu partycypacyjnego.

Dla aktywistów miejskich typowa jest nienawiść do kierowców oraz całkowite lekceważenie potrzeb zwykłych mieszkańców. Przykładem jest wychwalane przez ruchy miejskie coroczne wakacyjne zamknięcie części ulicy Ząbkowskiej na warszawskiej Pradze. Na sąsiadujących ulicach tworzą się gigantyczne korki, mieszkańcy klną, na czym świat stoi (wystarczy przejrzeć fora internetowe), ale aktywiści są szczęśliwi, choć ulica świeci pustkami – o czym napisała nawet „Stołeczna". To zresztą standard przy letnim zamykaniu ulic, aby „uprzyjemnić ludziom życie".

Co ciekawe, ruchy miejskie, które chcą wszystkich przesadzać na rowery, są bardzo zazdrosne o infrastrukturę rowerową. Od momentu, gdy elektryczne hulajnogi zaczęły stanowić problem, opowiadały się przeciwko temu, by ich użytkownicy mogli korzystać z dróg dla rowerów. Ostatecznie Miasto Jest Nasze wysmażyło propozycje wzięte z sufitu. Jest wśród nich wprowadzenie fabrycznego limitu prędkości dla takich pojazdów na poziomie 20 km na godzinę, czyli mniej niż po warszawskich ulicach, a często i chodnikach popylają bezkarni rowerzyści. Usunięcie ograniczenia miałoby stanowić przestępstwo z artykułu 306 Kodeksu karnego: „Kto usuwa, podrabia lub przerabia znaki identyfikacyjne, datę produkcji lub datę przydatności towaru lub urządzenia, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3". Tak, MJN chce wsadzać na trzy lata do więzienia za skasowanie ograniczenia prędkości w hulajnodze elektrycznej. Chce też, żeby na chodnikach te wehikuły poruszały się nie szybciej niż 10 km na godzinę. Niestety, geniusze z Miasto Jest Nasze nie wyjaśnili, jak wyobrażają sobie egzekwowanie tego ograniczenia. Pozostałe pomysły są na podobnym poziomie.

Mekką dla miejskich aktywistów jest traktowana jak ziemia obiecana Kopenhaga. Czasami mówią też ogólnie o Zachodzie. Ale już chyba nie o Madrycie, w którym nowy konserwatywny burmistrz zmienił decyzję swojej lewicowej poprzedniczki (kolejne potwierdzenie, że urządzanie miasta ma jak najbardziej barwy polityczne, a nie jest skutkiem jakiejś neutralnej ideologicznie dyskusji ekspertów) i skasował strefę ograniczonego transportu w centrum.

DEMAGOGIA AKTYWISTÓW

Zdaniem miejskich aktywistów za mało antysamochodowa jest wciąż Warszawa, a Rafał Trzaskowski rzekomo tchórzy przed kierowcami. Jednak najpoważniej podpadł aktywistom prezydent Torunia Michał Zaleski. Podczas niedawnej dyskusji o raporcie o stanie rządzonego przez siebie miasta, odpowiadając na zarzuty o wycinanie zieleni, powiedział: „Odpowiadamy na rzeczywiste potrzeby artykułowane nie przez grupę czy grupkę osób. Ale rzeczywiste potrzeby artykułowane przez mieszkańców. I jeżeli torunianie […] decydują w ten sposób, że mają na koniec zeszłego roku 144 tysiące pojazdów, to chcą tymi pojazdami jeździć. […] Tych samochodów nie kupuje urzędnik, te samochody kupują mieszkańcy".

Tę wypowiedź z oburzeniem cytowało na swoim facebookowym profilu Miasto Jest Nasze, które – podobnie jak inni miejscy aktywiści – często stosuje skrajnie demagogiczne sformułowanie „miasto jest dla ludzi, nie dla samochodów". Tak jakby samochody były autonomicznymi organizmami i nie służyły mieszkańcom.

Miejscy aktywiści – w żadnym wypadku niereprezentatywni dla typowego, obarczonego rodziną i codziennymi obowiązkami mieszkańca miasta – korzystają z tego, że zajętym zwykłym ludziom znacznie trudniej się zorganizować i przeciwstawić ich chorym pomysłom. Jeśli jednak zwykła większość się nie zorganizuje – korzystając choćby z takich inicjatyw jak Lubię Miasto mec. Budrewicza – to nieuchronnie padnie ofiarą Buciaków, Mencwelów i innych nawiedzonych społecznych inżynierów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7cae2d5e67

Z prof. Jerzym Miziołkiem, dyrektorem Muzeum Narodowego
rozmawia Tomasz Rowiński

Czekamy na nowe otwarcie

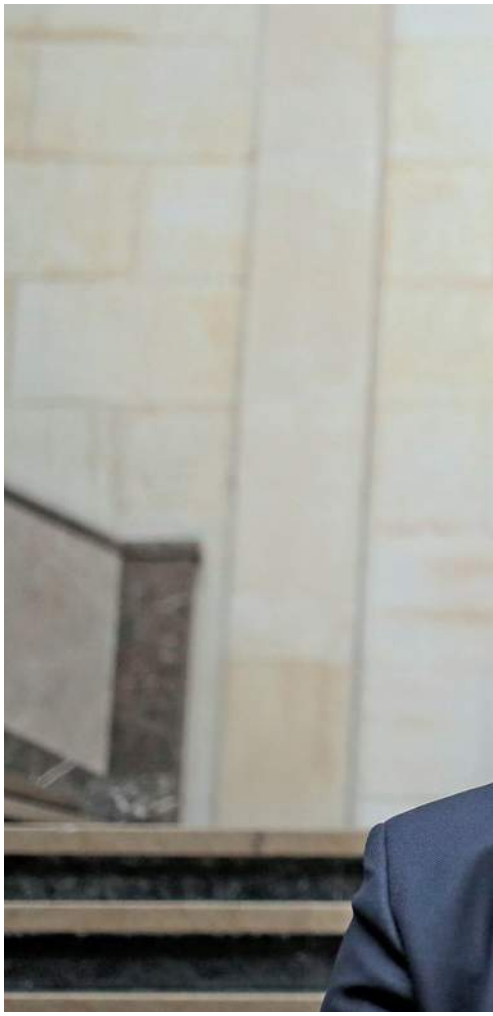

TOMASZ ROWIŃSKI: Jest pan atakowany z wielu stron, nie tylko przez liberalne media, przez środowiska kuratorskie, lecz także przez związki zawodowe. Wydaje się łączyć je jedno oczekiwanie – żeby pan odszedł z Muzeum Narodowego.

PROF. JERZY MIZIOŁEK: Związki zawodowe wykorzystują rok wyborczy i ja w części solidaryzuję się z ich postulatami. Pracownicy muzeum zarabiają za mało. Udało mi się wprawdzie podnieść zarobki tym najbardziej zaangażowanym z nich, czyli 42 osobom, ale mam świadomość, że to nie wystarczy. Na więcej potrzeba decyzji na poziomie Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego i mam nadzieję, że doczekamy się pozytywnych rozstrzygnięć. Jeśli nie, to moja misja się nie powiedzie.

Co do kuratorów, to problemy zaczęły się nasilać po usunięciu jednej osoby z ich grona, bo od lat utrudniała dostęp do powierzonych jej zbiorów, a ponadto był czas na nową, nieuwikłaną w żadne układy osobę. Muzealne środowisko kuratorów funkcjonujące od lat w niemal takim samym składzie z niechęcią podchodzi do jakichkolwiek zmian. Sytuacja ta doprowadziła ostatnio niemal do dwuwładzy, co nie służy interesowi muzeum i musi ulec zmianie, ale zgodnie z prawem pracy. Oczywiście trzeba też szukać porozumienia, bo znaczna część kuratorów to wybitni muzealnicy, którzy zostali poddani presji przez dwie czy trzy osoby.

Co jest głównym powodem konfliktu z kuratorami?

Część kuratorów ma w muzeum swoje interesy, niekiedy dobrze ukryte, ale mimo to udało się je wykryć i zablokować. Inni oczekują przesadnie wygórowanych honorariów za współkuratorstwo wystaw. Jest taki przypadek, wyliczony na przeszło 140 tys. zł. Jeśli to honorarium porównamy z nagrodą, uznaną za wysoką, w wysokości 100 tys. zł, przyznaną ostatnio prof. Andrzejowi Nowakowi za jego dzieła historyczne, dostrzeżemy ogromną wprost przesadę w sferze kuratorskich oczekiwań.

W muzeum miało być nowe otwarcie, więc usuwam złe nawyki, a to na razie nie przysparza mi zwolenników, bo pozbawieni dochodów podjęli akcję oczerniania mnie na wielką skalę i deprecjonowania wszelkich moich posunięć. Rośnie wszakże powoli liczba tych, którzy doceniają moje działania w sferze porządkowania zaszłości i dynamizowania wydarzeń muzealnych.

Odbiera pan ataki na siebie jako personalne czy bardziej chodzi o merytoryczne tarcia?

Czy można mi zarzucić, że narzuciłem w muzeum większe tempo pracy? Co by pan na moim miejscu zrobił, wiedząc, że w muzealnym magazynie jest m.in. 70 dzieł Picassa, cenne obrazy z kręgu Leonarda da Vinci, a tu nadchodzi 500-lecie jego śmierci, niedługo potem 90. rocznica śmierci Jacka Malczewskiego, podczas gdy mamy w zbiorach przeszło 100 jego obrazów i kilkaset rysunków? Malczewski jest artystą tak ważnym i tak uwielbianym, że takich obchodów nie można odpuścić, tym bardziej że wiążą się z Juliuszem Słowackim, którego rysunki, nigdy niepokazywane, mamy w naszych zbiorach.

Nawet jeśli dzieje się to kosztem zwiększenia wysiłku kuratorów, którzy oczekują zwykle wygodnych warunków pracy i dużej ilości czasu. Po prostu okoliczności czasem wymagają większego zaangażowania.

Prawda jest taka, że staram się weryfikować istniejące od dawna projekty wystawowe i tworzyć nowe, by uczynić z MNW ważne miejsce życia kulturalnego i naukowego. Niedawno przesunąłem wystawę „Kolor" na kolejny rok, ponieważ pomimo bardzo znaczących kosztów nie przewidziano jako jej podsumowania żadnej publikacji o charakterze naukowym, a to powinien być standard. Jeśli coś kosztuje prawie 1,5 mln zł, to nie

eprasa.pl 7cae2d5e67

FOT. LESZEK SZYMAŃSKI/PAP

może zamykać się tylko w ramach rozbudowanej broszury lub przewodnika.

Jakie to ma znaczenie w kontekście Malczewskiego?

Takie, że wystawę o Malczewskim przygotowujemy za niecałe 100 tys. zł, w tym będzie przeszło stustronicowa publikacja z pełnym zestawem eksponatów, które pokażemy. Mówiąc krótko – staram się szukać oszczędności, a jednocześnie pokazywać naprawdę cenne zasoby naszego muzeum i dzieła z zagranicy. W tym roku pokazaliśmy połowę naszych dzieł Picassa, które w ciągu trzech tygodni przyszło zobaczyć ponad 30 tys. osób. We wrześniu wystawimy XVI-wieczną replikę najsłynniejszego ze zrabowanych w czasie wojny dzieł będących w polskich kolekcjach, czyli „Portret młodzieńca" autorstwa Rafaela. Będzie to prezentacja obrazu w kontekście innych dzieł, pokazujących, jak słynny i cenny jest to obiekt. Do tego w kwietniu 2020 r. przypada 500. rocznica śmierci Rafaela, a zatem w wigilię tej rocznicy pokażemy ważną wystawę o artyście, którego oddziaływanie na sztukę polską było ogromne. Ponadto, by nie było zarzutu, że chcemy oprzeć wystawę tylko na replice, sprowadzamy z Perugii oryginalne dzieło Pietra Perugina, który był najważniejszym mistrzem Rafaela. Zatem pokażemy zespół dzieł, które uczczą Rafaela, a jednocześnie będą przypomnieniem naszej wielkiej straty wojennej. Będzie to wołanie o odzyskanie wielkiego skarbu polskiej kultury. A potem będą ekspozycje o sztuce Korei, twórczości Rembrandta (w 350-lecie śmierci) i braci Łopieńskich.

I to jest kontrowersyjne?

Nie wiem, czy kontrowersyjne może być zdynamizowanie działań w tym trudnym roku wpisywania mojej wizji MNW w realia. Po prostu staram się dostrzegać ważne i aktualne tematy polskie oraz zagraniczne i je podejmować. Jeśli zaproponowałem w 2020 r. nieplanowaną wcześniej ekspozycję „Zwycięstwa radosna pieśń", poświęconą m.in. odzyskaniu przez Polskę dóbr kultury w wyniku Bitwy Warszawskiej i traktatu ryskiego, to robię to dlatego, że jest to ważny temat. W wyniku traktatu powróciła ogromna liczba dzieł sztuki, a fakt ten prawie nie funkcjonuje w społecznej świadomości. Gdyby nie to, Zamek Królewski w Warszawie oraz Wawel byłyby niewyobrażanie uboższe. To samo dotyczy zbiorów naszego muzeum. W przyszłym roku mamy kolejną edycję konkursu Chopinowskiego. Czy ktoś przede mną pomyślał o wykorzystaniu tej okoliczności? Ludzie z całego świata będą przylatywali do Warszawy dla Chopina i my chcemy o nim i jego współczesnych opowiedzieć w nowej, oryginalnej tonacji.

Ta spontaniczność nie zaburza pracy planowej, która jest w muzeum konieczna?

Nie zaniedbujemy planowanych wcześniej wartościowych projektów, wystawa malarstwa Anny Bilińskiej odbędzie się, podobnie jak wspomniana już wystawa koreańska i ekspozycja poświęcona Łopieńskim. A przecież w swoich pomysłach nie idę na łatwiznę, tylko angażuję możliwie najlepszych ludzi. W przypadku Malczewskiego jest to Anna Grochala, jedna z najlepszych badaczek rysunku, którą w ogóle mamy. Kuratorem wystawy jest dr Piotr Kopszak, znawca kultury artystycznej XIX w., który świetnie rozumie symbolizm i oddziaływanie sztuki renesansowej.

Wśród głosów krytycznych można usłyszeć, że pan nie chce sztuki nowoczesnej, że jest pan miłośnikiem antyku i renesansu.

Czy można mi postawić taki zarzut w sytuacji, gdy dopiero co mieliśmy wystawę bankową z dziełami sztuki nowoczesnej zgromadzonymi przez PKO BP? Jednocześnie zaplanowałem dynamiczne pokazywanie malarstwa XX w. Kilka tygodni temu pojawiła się nowa ekspozycja z tego zakresu wraz z profesjonalnie wydaną publikacją. Zaproponowaliśmy także eksperymentalną formę ekspozycji, jaką jest publiczna konserwacja rzeźb Augusta Zamoyskiego. Skoro ta kolekcja została zakupiona przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, wymagała szybkiego uhonorowania wielkiego artysty. Proszę zobaczyć, jak dopracowany jest to pomysł i poświęcona mu publikacja. Podsumowując ten wątek, powiedziałbym, że do tej pory

eprasa.pl 7cae2d5e67

niektórzy pracownicy MNW pracowali zbyt wolno, a teraz praca jest zintensyfikowana, co niektórych ogromnie irytuje, bo zaburza rytm „kanapowego" funkcjonowania. Najważniejsze jest to, że zdecydowana większość pracowników MNW to wspaniali ludzie. Muszę znaleźć klucz, aby dotrzeć z przesłaniem do nich wszystkich.

Czy jest pan za tym, żeby sztuka najnowsza znajdowała się w Muzeum Sztuki Nowoczesnej, a nie Muzeum Narodowym?

Jestem przeciwny gromadzeniu przez Muzeum Narodowe sztuki z XXI w., która nie została jeszcze poddana próbie czasu. Są instytucje predestynowane do pokazywania sztuki najnowszej, takie jak Zachęta, CSW, jak wspomniane Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Uważam również, że zakres kupowania dzieł przez Muzeum Narodowe powinien mieć cezurę. Wydaje się, że powinien nią być rok 2000. Niech eksperymentują ze sztuką instytucje od sztuki współczesnej. Nie znaczy to jednak, że nie powinniśmy wykorzystywać znakomitych produkcji filmowych, np. Lecha Majewskiego czy innych wybitnych twórców. Mamy też ambitne plany dotyczące dzieł, także instalacji Abakanowicz, Szaposznikow czy Stażewskiego (np. jego „Dziewięć promieni na tle nieba") i one mają być niejako znakami firmowymi muzeum.

Zatem jaką sztukę powinno wystawiać Muzeum Narodowe?

Taką, którą można uznać za klasykę. Jestem przeciwny pokazywaniu dzieł kontrowersyjnych. Muzeum Narodowe ma charakter instytucji, do której się przychodzi jako do miejsca sprawdzonego, do miejsca, w którym są rzeczy wypróbowane, niestarające się budzić silnych emocji w obszarach współczesnej polityki czy erotyki. Przy tej okazji chciałbym poruszyć jeszcze jeden wątek.

Dotyczący Malczewskiego czy katalogowania?

Istotnym elementem życia każdego muzeum jest posiadanie pełnego, nowoczesnego katalogu eksponatów, także w językach obcych. Owszem, mamy nowoczesne katalogi malarstwa francuskiego i niderlandzkiego, ale m.in. prace nad katalogiem malarstwa polskiego XX w. są słabo zaawansowane, a malarstwo włoskie niemal zupełnie leży odłogiem. A jedną z najbardziej zbuntowanych grup ludzi w muzeum jest ta, której muszę przypominać o tym fakcie. Mamy w MNW bardzo intensywnie pracujących muzealników, ale są też „kanapowi badacze", którzy traktują muzeum niczym miejsce, w którym przyjemnie można się napić kawy, posiedzieć i udawać wysiłek intelektualny. Teraz czują się zagrożeni i zrobią wszystko, bym niczego nie mógł zmienić i sobie poszedł, pomimo że racjonalnie planuję ambitne wystawy, m.in. poświęcone Tamarze Łempickiej, Botticellemu, Siemiradzkiemu i wielkim twórcom sztuki XX w., takim jak ponownie Picasso i Stażewski. Są pracownicy, którzy spędzili tutaj całe dziesiątki lat i są już zmęczeni, potrzeba nowych ludzi, którzy dadzą muzeum nowe życie. Wśród tych ludzi „ze starego rozdania" są tacy, którzy niewiele robią. Nie może być sytuacji, że pracownicy, którzy praktycznie nie pracują, wpływają negatywnie na tych, którzy chcą coś robić. Praca w MNW to zaszczyt i wyróżnienie, oczywiście pod warunkiem otrzymywania godziwych pensji.

Z tego, co pan mówi, pracy jest co niemiara.

Oczywiście. Muzeum pokazuje może 1 proc. swoich zbiorów, podczas gdy patrząc na posiadany potencjał, możemy być partnerem każdej innej placówki muzealnej na świecie. Takie partnerstwo już istnieje, ale trzeba je rozwijać, bo jest to promowanie polskiej sztuki, a także popularyzowanie wiedzy o wielkich artystach zagranicznych w Warszawie.

Czy to jest normalny stan w muzeach?

Nie. I właśnie próbuję to zmienić. Mamy liczącą 10 tys. obiektów kolekcję dzieł sztuki Japonii i Chin. Te dzieła nigdy nie były prezentowane na stałe. Już zwróciłem się do kuratorów z prośbą o przygotowanie wystawy najcenniejszych rzeczy z tego zbioru. Muzeum nie pokazuje też dzieł Mirò, Cèzanne'a, Légera, Klee i wielu innych twórców sztuki nowoczesnej. To wszystko spoczywa ukryte w magazynach. Muzeum potrzebuje dużo więcej przestrzeni i większej dynamiki na trzech poziomach – wysokim, czyli wydawania naukowych katalogów – średnim, czyli publikacji popularnonaukowych, oraz na poziomie prezentacji na granicy popkultury. Jak fantastycznie moglibyśmy wykorzystać do promocji sztuki opowieść o Wiedźminie, która utkana jest z wątków i wyobrażeń mitologii grecko-rzymskiej, ale też germańskiej i słowiańskiej. Oczywiście na poziomie wysokim trzeba wydać katalog o tematyce mitologicznej (150 dzieł przetrzymywanych w magazynach już czeka), na poziomie średnim zajmującą publikację o kulturze artystycznej w kontekście tych mitów, ale na poziomie masowym, dla młodzieży, możemy włączyć w różnobarwność wielkiej twórczości Andrzeja Sapkowskiego, który dobrze znał artystę-performera, Jerzego Beresia i całą tradycję kultury europejskiej. Przesłanie zawarte w mitach zachowuje swoją wartość, a motyw heroizmu, walki dobra ze złem niewiele się zmienił w ciągu wieków. Anglosasi mają Tolkiena, my mamy swojego wielkiego pisarza, który daje nam dostęp do wielkiego dziedzictwa. Mam plan, by coś z tym zrobić! Czy to się uda? Pomimo trwającego kryzysu wierzę, że tak – dla dobra tej znakomitej instytucji.

Czego zatem potrzeba dziś muzeum?

Większej uwagi i zainteresowania rządzących. Tego, by pan prezydent Duda zechciał mówić, że nasza siedziba jest jednym z największych przedsięwzięć II Rzeczypospolitej, żeby wicepremier prof. Gliński, który tak wiele robi dla polskiej kultury, docenił w całej pełni znaczenie naszego muzeum, tak by doczekało się finansowania na odpowiednim poziomie.

Nowe instytucje muzealne otrzymują znaczne środki, a ich pracownicy wyższe pensje, a my zostajemy w tyle. To bardzo boli i bardzo osłabia moją pozycję dyrektora. Jeśli ma się powieść nowa misja, czyli uczynienie z muzeum placówki prawdziwe nowoczesnej, światowej klasy, to w perspektywie najbliższych pięciu lat potrzeba ok. 250 mln zł, a już teraz 2,5 mln na podwyżki pensji. Muzeum Narodowe czeka na duże inwestycje, m.in. na supernowoczesne zadaszenie głównego dziedzińca (wstępny projekt już istnieje), na klimatyzację całego budynku, odzyskanie sal zajmowanych przez Muzeum Wojska Polskiego, otwarcie się na park od Książęcej, z planowanym tam ogrodem rzeźb m.in. Magdaleny Abakanowicz, ale też na parking i audytorium na 500 osób, które ma powstać na obszarze dziś zajmowanym przez Muzeum Wojska Polskiego. Warszawa to wspaniałe, heroiczne miasto, a Muzeum Narodowe, które czeka nowe, prawdziwe otwarcie, jest integralną częścią jego najlepszych tradycji i wartości.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7cae2d5e67

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

100 % polski produkt

IV EDYCJA KONKURSU

NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA, KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY

WIĘCEJ INFORMACJI: POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

PARTNER GŁÓWNY

KGHM POLSKA MIEDŹ

PARTNER

Poczta Polska

PARTNER GALI

arp Agencja Rozwoju Przemysłu S.A.

eprasa.pl 7cae2d5e67

FOT. AWAKENING/GETTY IMAGES

Z mistrzem powieści szpiegowskiej Frederickiem Forsythem o jego najnowszej książce „Fox"
rozmawia Piotr Gociek

Moja ostatnia powieść

PIOTR GOCIEK: Pana poprzednia powieść „Czarna lista" mówiła o kłopotach, które Zachód ma w wojnie z terrorem. Akcja najnowszej – „Fox" – rozgrywa się współcześnie, ale zadziwiająco przypomina thrillery z czasów zimnej wojny.

FREDERICK FORSYTH: Ponieważ to, co się teraz dzieje, bardzo przypomina czasy zimnej wojny. A po drugiej stronie mamy niebezpiecznego człowieka. Putin jest słabszy, niż się wydaje, rosyjska gospodarka jest w opałach. W takich przypadkach dyktatorzy często szukają łatwych sukcesów na innych polach. Na przykład w międzynarodowej agresji. Zasady się nie zmieniły, zmienił się tylko sposób prowadzenia wojny. Front przebiega teraz w cyberprzetrzeni. Zachód odnotowuje 200 cyberataków dziennie. Oprócz tego jesteśmy celem nieustającej wojny propagandowej. Jej zadaniem jest rozpowszechnianie jak największej liczby fałszywych informacji.

Polska i inne kraje wschodniej flanki NATO mocno odczuwają te działania Rosji. Nie wszyscy na Zachodzie zdają sobie sprawę z ich skali.

Rosja uderza równolegle. Jedne informacje wykrada, inne – nieprawdziwe – rozpowszechnia. Cel propagandy, cel tego prania mózgów w Internecie jest prosty – chodzi o wpływanie na wyniki wyborów, destabilizowanie sytuacji politycznej, a nawet o obalanie legalnie wybranych rządów. Pod pewnymi względami jest gorzej niż w czasach Związku Sowieckiego. Wielkie kampanie kłamstw można przeprowadzać z całkowitym pominięciem tradycyjnych środków przekazu, tylko w mediach społecznościowych.

Moskwa nie zaniedbuje jednak także innych metod. Rosyjskie samoloty nieustannie naruszają przestrzeń powietrzną krajów NATO. Rosyjskie łodzie podwodne wpływają na nasze wody terytorialne. Trwa nieustanne testowanie naszych systemów obrony.

Jak można się temu przeciwstawić?

Nowe konflikty niosą nowe rodzaje walki. W „Czarnej liście" opisywałem fenomen dronów wojskowych i szpiegowskich. W „Foxie" zajmuję się inną bronią, którą są geniusze cyberprzestrzeni.

Główny bohater powieści, Luke Jennings, to młodzieniec cierpiący na autyzm. Potrafi włamywać się do najlepiej zabezpieczonych militarnych sieci komputerowych na świecie. Czy oparł pan tę postać na jakimś prawdziwym hakerze?

W chwili, gdy książka miała swoją premierę, wiedziałem o dwóch spektakularnych aresztowaniach podobnych osób. Lauri Love i Gary McKinnon to młodzi ludzie obdarzeni niezwykłym talentem, a jednocześnie dotknięci zespołem Aspergera. Już po ukazaniu się powieści zatrzymano trzeciego hakera, bardzo nieszczęśliwego człowieka cierpiącego na autyzm, który został wykorzystany przez przestępców do łamania kodów. Można nawet powiedzieć, że „hodowano go" rozmaitymi bodźcami do tego rzemiosła.

Skąd pochodzi?

To młody Brytyjczyk. Amerykanie chcą go zamknąć w więzieniu na 65 lat. Ten nastolatek zdołał włamać się do najtajniejszych amerykańskich baz danych. USA domagają się jego ekstradycji.

A jeśli chodzi o inne elementy pana najnowszej powieści? Ile jest w nich fikcji, a ile prawdy?

To, o czym czytacie w „Foxie", oparte jest na faktach niemal w stu procentach. Oparte, podkreślam, bo nie chodzi o zwykłe odwzorowanie rzeczywistości. Istnieją tacy ludzie jak wymyślony przeze mnie Luke Jennings, naprawdę potrafią niewiarygodne rzeczy, naprawdę są obiektem ostrej rywalizacji wywiadów oraz świata przestępczego. Prawdziwe są ich kłopoty osobiste – to bardzo wrażliwe jednostki, które nie potrafią funkcjonować w normalnym świecie, ale niesłychanie utalentowane, jeśli chodzi o wszystko, co związane z cyberprzestrzenią. Trzeba mieć do nich odpowiednie podejście, nie potrafią normalnie rozmawiać, unikają kontaktu wzrokowego, często nie potrafią nawet wyjaśnić, dlaczego zrobili to, co zrobili. Potrafią jednak wyrządzać gigantyczne szkody.

Czy ludzie tacy jak powieściowy Luke Jennings są w tej chwili naprawdę wykorzystywani przez zachodnie służby wywiadowcze?

Nie wiem, czy zajmują się dokładnie takimi zadaniami, jakie wymyśliłem dla Jenningsa w książce, ale sądzę, że mogliby się nimi zająć. Podstawowe założenie „Foxa" jest następujące: A gdyby nie tylko zatrzymać takiego geniusza, ale w jakiś sposób skłonić go, by stał się tajną bronią Zachodu? Co moglibyśmy wtedy zrobić? Dalej już tylko konsekwentnie eksploruję możliwe skutki takich działań. Dlatego główny bohater zostaje wykorzystany do cyberataków na Rosję Putina, na Iran i Koreę Północną.

Życie dogania fikcję. Kilkanaście dni temu prezydent Donald Trump zamiast militarnej odpowiedzi na

eprasa.pl 7cae2d5e67

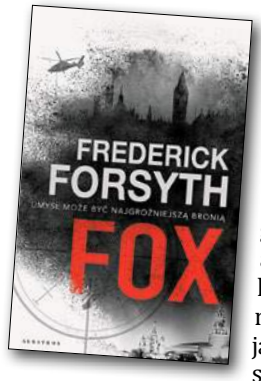

irańskie prowokacje nakazał przeprowadzenie cyberataków na Iran.

I sam się zastanawiam, jakiego miał asa w rękawie, skoro odwołał tradycyjny atak na 10 minut przed wykonaniem przez wojsko rozkazów. Bardzo chciałbym też wiedzieć, jaki efekt przyniosło uderzenie w cyberprzestrzeni. Iran wciąż pracuje nad uzyskaniem bomby atomowej, nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

Jak blisko jest sukcesu?

Na tym polega problem – dokładnie tego nie wiemy. Z danych amerykańskiego wywiadu wynika, że bardzo blisko. To sprawia, że wojna w cyberprzestrzeni staje się jeszcze ważniejsza.

Paradoksalnie w tej erze cyberwojen do łask wróciły stare szpiegowskie metody. Wysłanie człowieka, a nie wiadomości przez Internet, staje się najpewniejszą metodą komunikacji.

Jeśli otrzymasz ode mnie kartkę z informacją, to tylko dwie osoby na świecie wiedzą, o czym rozmawialiśmy: ja i ty. Mamy nową zimną wojnę, ale nastąpił powrót szpiegów w starym stylu, z czasów poprzedniej zimnej wojny. Zachód zbyt wiele inwestował ostatnio w wywiad elektroniczny. Użycie technologii zawsze wiąże się z niebezpieczeństwem – druga strona też może wejść w jej posiadanie i wykorzystać przeciwko tobie. A kto będzie wiedział, że masz w marynarce zaszytą wiadomość? Wróciliśmy do czasów George'a Smileya [bohater powieści szpiegowskich Johna Le Carrégo – przyp. P.G.].

W powieści „Fox" wskazuje pan na Rosję, Iran i Koreę Północną jako głównych wrogów Zachodu. A co z Chinami?

Chiny są dyktaturą, mają bombę atomową, a premier Xi rządzi niepodzielnie, ale w odróżnieniu od przywódcy Korei Północnej Kim Dzong Una nie zdradza ochoty na popełnienie nuklearnego samobójstwa. Kim tymczasem robi wrażenie szaleńca. Iran cierpi w żelaznym uścisku ajatollahów i tajnej policji, a nienawiść jego przywódców do Ameryki jest niemal obsesyjna. Również uważam ich za nieobliczalnych. I bardzo niebezpiecznych.

Ameryka jest w tej chwili na krawędzi wojny z Iranem?

Nie, ale losy tego kraju mogą się teraz decydować. Jeśli sytuacja zwykłych Irańczyków jeszcze się pogorszy, to mogą się zbuntować przeciw ajatollahom. W Teheranie szczególnie złowrogą postacią jest ajatollah Chamenei, kontrolujący Pasdaran – gwardię rewolucyjną – i wykorzystujący Hezbollah oraz Hamas do szerzenia niepokojów. Z kolei w Korei Północnej posłuszeństwo Kimowi mogą wypowiedzieć ludzie z wewnętrznego kręgu władzy, generałowie obawiający się, że ich fortuny, ich rodziny i ich kraj ucierpią w wyniku szaleńczych działań dyktatora. Byłby tu więc możliwy scenariusz rumuński. Przecież Nicolae Ceauceşcu obalili jego podwładni z tajnej policji. Gdy dyktator posunie się zbyt daleko, często pada ofiarą własnych towarzyszy.

Czy w Korei Południowej naprawdę działa fundacja, która zajmuje się wojną propagandową przeciw reżimowi Kima, podobna do tej, którą opisał pan w powieści? Wysyłająca za pomocą balonów ulotki, zdjęcia i nagrania pokazujące, jak naprawdę wygląda życie poza granicami dyktatury?

Tak, to wszystko prawda. Ja tylko pozwoliłem sobie wymyślić nowatorski sposób zasilenia tej fundacji za pomocą ukradzionych rosyjskiej mafii pieniędzy.

Głównym czarnym charakterem powieści „Fox" jest Władimir Putin, nazywany na jej kartach po prostu Wodzem.

Putin jest człowiekiem starego systemu, który uważa, że rozpad Związku Sowieckiego był największym nieszczęściem, które przydarzyło się światu w XX w. Zaatakował Ukrainę, odebrał jej Krym, finansuje tzw. republiki ludowe w jej granicach. Interweniuje w Syrii, a Wenezuelę wykorzystuje dokładnie w ten sam sposób, w jaki kiedyś Związek Sowiecki wykorzystywał Kubę. Europę próbuje sobie podporządkować, uzależniając ją od rosyjskich surowców. Nie mam złudzeń co do jego intencji.

Czy w Wielkiej Brytanii po ataku rosyjskich agentów na rodzinę Skripalów wreszcie zaczęto dostrzegać wagę rosyjskiego zagrożenia?

Na pewno Putin zwrócił nim uwagę na swoje działania, ale nie wiem, co chciał w ten sposób uzyskać. Atak na Skripalów był bardzo niechlujnie przeprowadzony. Tak kiepsko, że zastanawiam się, czy aby wykonawcy nie chcieli być zdemaskowani. Czy myśleli, że jesteśmy głupcami, którzy nigdy nie zorientują się, o co chodzi? Że nie odkryjemy, iż mamy do czynienia z toksyną typu nowiczok? Znamy tę substancję i wiemy, że jest tylko jeden kraj na świecie, który ją produkuje. Cała ta sprawa była idiotyczna. Jeśli ktoś chciał ukryć prawdziwych sprawców, to dlaczego nie użył po prostu pistoletu?

Może to miała być demonstracja ze strony Putina? Sygnał w rodzaju: popatrzcie, w sercu Wielkiej Brytanii robimy, co chcemy.

Bardzo kosztowna demonstracja. Stu pięćdziesięciu rosyjskich szpiegów – nie tylko z Wielkiej Brytanii – zostało w efekcie wydalonych do Rosji. Dla wywiadu to katastrofa, Rosjanie ponieśli straty, które będą odrabiać przez wiele lat. To było szaleńcze działanie. A mimo to atak przeprowadzono. To sprawia, że powinniśmy się tym bardziej niepokoić stanem umysłu Władimira Putina. Oraz stanem rosyjskiej gospodarki. Zwłaszcza gdy przypomnimy sobie, że kiedy Hitler rozpętywał wojnę, Niemcy były niemal bankrutem. Hitler finansował swoją wojnę złotem z banków podbitych krajów.

Czy „Fox" to pana ostatnia, pożegnalna powieść?

Tak. Więcej nie będzie. Szczerze mówiąc, sądziłem, że już „Czarna lista" będzie moją ostatnią książką. Nigdy nie zakładałem, że będę pisał w nieskończoność. Gwarantuję, że więcej powieści już nie będzie.

Będzie pan miał więcej czasu na komentowanie współczesnej polityki. Wiem, że mocno popiera pan brexit. Czy popiera pan także Borisa Johnsona w walce o przywództwo partii konserwatywnej?

Uważam, że Boris będzie właściwą osobą na właściwym miejscu. Torysi są w rozsypce, przez ostatnie trzy lata partia pogrążała się coraz bardziej. Rządy Theresy May były katastrofą, negocjacje z Brukselą były katastrofą. Czas z tym skończyć. Wielu ludzi mówi, że Boris Johnson ma swoje słabości. Odpowiadam: Churchill też je miał.

Unia Europejska nie jest potrzebna Wielkiej Brytanii?

Oczywiście, że jest potrzebna. Mnóstwo rzeczy nas łączy, mamy bardzo wiele do zrobienia i na pewno powinniśmy z Europą współpracować. Medycyna, nauka, walka o czyste środowisko, kultura, turystyka, sport. Niech skończy się wreszcie to zamieszanie, idźmy dalej. Wielka Brytania potrzebuje uczciwych warunków wyjścia z Unii i prawdziwego przywództwa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7cae2d5e67

Agnieszka Niewińska

Podbijemy Hollywood?

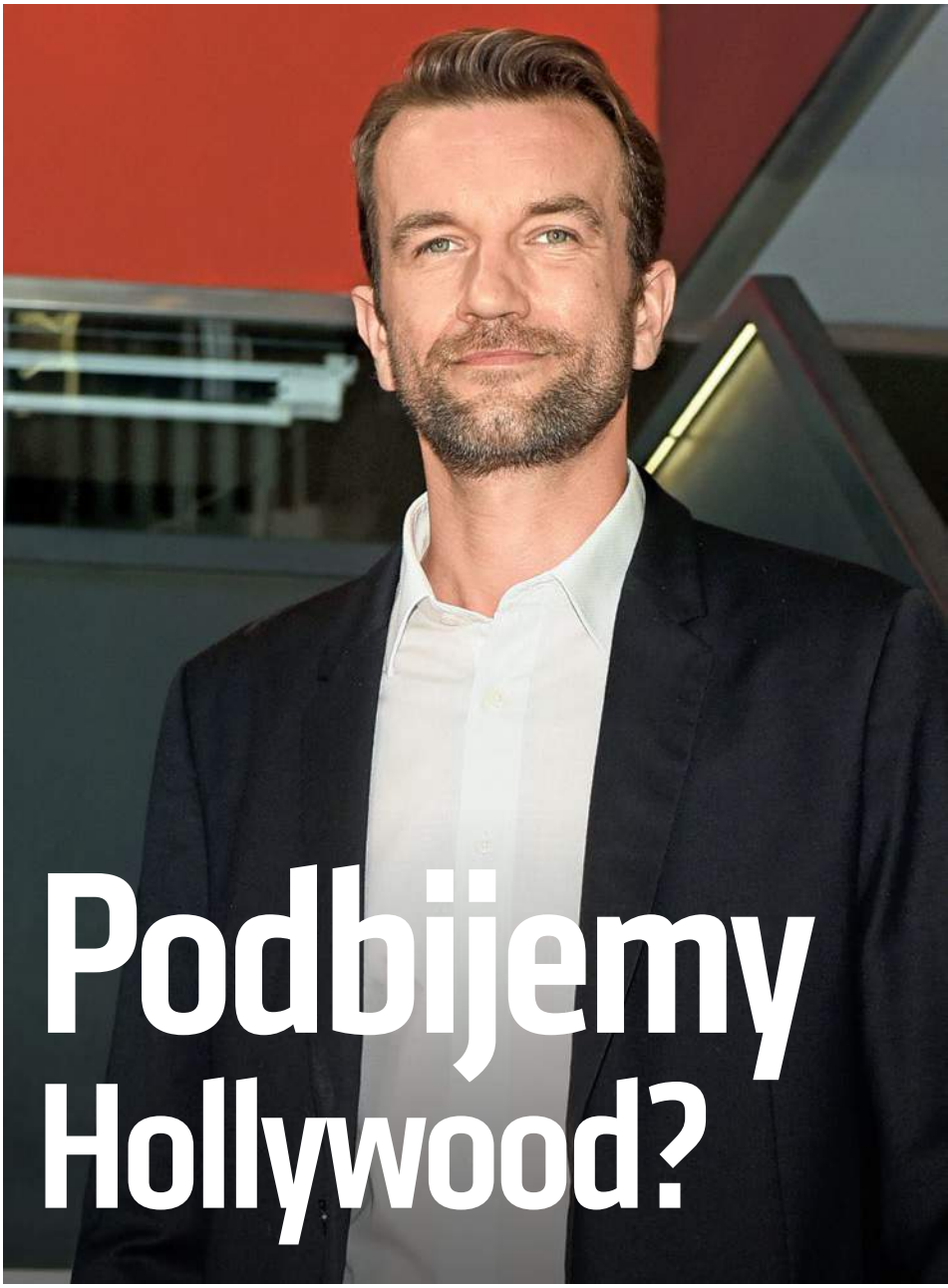

FOT. GALLO IMAGES POLAND/GALLOSTAR

Tomasz Kot zagra wynalazcę Nikolę Teslę w filmie zagranicznego reżysera. Rozbudził tym marzenia polskich kinomanów o rodzimej gwieździe w Hollywood. Czekamy na nią od czasów Poli Negri

Wcielił się już brawurowo w kardiochirurga Zbigniewa Religę czy w wokalistę zespołu Dżem – Ryszarda Riedla. Sympatię widzów wzbudził przed laty rolą Maksa Skalskiego w serialu komediowym „Nianiа", a międzynarodową publiczność ujął rolą Wiktora w „Zimnej wojnie" Pawła Pawlikowskiego.

Krytycy wróżyli, że tą kreacją Tomasz Kot otworzy sobie drogę do międzynarodowej kariery, choć gdy w czerwcu wracał z USA, portale internetowe pytały, czy to „koniec kariery w USA", inne po prostu stwierdzały, że marzenia o sukcesach za oceanem umarły. Aktor z tych prognoz zakpił na Instagramie. „Dziękuję dziennikarzom za troskę i te prognozy, ja jak zwykle robię swoje".

Dzisiaj już wiadomo, że zagra w zagranicznej produkcji. Dostał główną rolę w filmie o genialnym wynalazcy Nikoli Tesli. „Szczęśliwy jestem, baaardzo szczęśliwy, a serce mi bije tak samo jak przed »Skazanym na bluesa« i »Bogami«! Jest moc!"– napisał po tym, jak Deadline – branżowy serwis z informacjami z Hollywood – ujawnił, że to Polak wcieli się w wynalazcę serbskiego pochodzenia.

KOT JAKO „CZARODNIK ELEKTRYCZNOŚCI"

Scenariusz do tego obrazu napisał i wyreżyseruje go Anand Tucker. Ma on już na koncie reżyserię wielu filmów, m.in. „Oświadczyn po irlandzku" (2010). Był też producentem m.in. nominowanej do Oscara i nagród BAFTA „Dziewczyny z perłą" (2003) czy „Drogi do zapomnienia" (2013) z Colinem Firthem i Nicole Kidman. – Tomasz jest doskonałym aktorem. Kiedy zobaczyłem jego niezwykłą kreację w „Zimnej wojnie", nie miałem już żadnych wątpliwości, kto powinien zagrać Teslę – powiedział Tucker.

Nikola Tesla to niebanalna postać. Bywa nazywany „człowiekiem, który wynalazł XX wiek", „czarownikiem elektryczności". Bez niego nie byłoby drugiej rewolucji przemysłowej. Miał obsesję na punkcie bezprzewodowego przesyłu energii. Pierwszy nadał sygnał radiowy. Dzisiaj świat przypomina sobie słowa Tesli o tym, że palenie węglem, gazem czy ropą to „barbarzyńskie metody". Współcześni inżynierowie realizują jego futurystyczną wizję elektrycznych samochodów.

Tesla wyprzedzał swoją epokę, nie był rozumiany przez swoich współczesnych. Oszukiwali go wspólnicy, zaś inni wynalazcy przypisywali sobie jego pomysły. Kilkakrotnie przechodził załamania nerwowe, zaczął uchodzić za dziwaka i odludka. Zmarł samotnie w pokoju hotelowym.

Wcielenie się w tak złożoną postać to duże wyzwanie dla aktora. – Tomasz Kot pokazał już wielokrotnie, że potrafi się doskonale odnaleźć w bardzo różnych rolach. Jest w tej chwili – obok Adama Woronowicza – najciekawszym aktorem w swoim pokoleniu. I podobnie jak Woronowicza cechuje go skromność. Nie jest celebrytą, nie buduje wokół siebie dworu, nie epatuje życiem prywatnym i własnymi opiniami na tematy polityczno-społeczne – zwraca uwagę Jakub Moroz, publicysta, krytyk filmowy, współgospodarz programu „Dranie w kinie" w TVP Kultura. – Polscy aktorzy

eprasa.pl 7cae2d5e67

rzadko grają u zagranicznych reżyserów, Tomasz Kot w roli Tesli to dobry znak dla polskiego kina – dodaje.

DZIEWCZYNA BONDA, PARTNERKA FARRELLA

Międzynarodowy sukces „Zimnej wojny" rozbudził nadzieję na to, że polskie gwiazdy będziemy oglądać w głównych rolach w zagranicznych produkcjach. Wiadomo już, że nie tylko Kot pojawi się w filmie zagranicznego reżysera. Joanna Kulig, która zagrała główną rolę w „Zimnej wojnie", wystąpi w produkcji Netflixa „The Eddy" w reżyserii Damiena Chazelle'a (reżyserował m.in. oscarowy „La La Land"). To historia utalentowanej wokalnie kobiety zmagającej się z alkoholizmem. Kulig zobaczymy także w produkcji Amazona – serialu dramatycznym „Hanna".

Wiadomo także, że Tomasz Kot zagra w siedmioodcinkowym serialu BBC „World on Fire". Będzie to opowieść o wybuchu II wojny światowej widzianym z perspektywy obywateli różnych państw Europy.

Czy któraś z polskich gwiazd zbliży się w końcu do sukcesu, jaki za oceanem na początku XX w. odniosła Pola Negri, czyli Apolonia Chałupiec? Takie nadzieje mają kinomani. Tyle że w czasach kina niemego emigrantce łatwiej było zaistnieć na wielkim ekranie. Poważną barierą dla naszych aktorów był do tej pory zdradzający ich pochodzenie akcent. Dlatego też zazwyczaj wcielają się oni w postacie ze wschodu Europy.

Mocny wschodnioeuropejski akcent utrudnił karierę w Hollywood Elżbiecie Czyżewskiej. W Polsce odnosiła sukcesy, miała szansę na wielką karierę, ale kiedy pod koniec lat 60. wyjechała za ocean do męża Amerykanina i korespondenta „New York Timesa", który nie był mile widziany nad Wisłą, jej kariera przyhamowała. Nie odnalazła się w filmie. Skupiła się na występach na tzw. off-Broadwayu.

– Polacy coraz lepiej mówią po angielsku. Dla aktorów młodego pokolenia to nie akcent jest powodem tego, że tak rzadko występują w zagranicznych produkcjach. Najtrudniejsze jest wejście w globalny obieg aktorski – mówi Moroz. – Polskim aktorom to się na razie nie udaje. Hiszpańskie gwiazdy, takie jak Penélope Cruz czy Javier Bardem, odniosły na tym polu sukces. Oboje grają zarówno w filmach artystycznych, jak i komercyjnych. Fakt, że w kinie amerykańskim jest więcej propozycji dla Latynosów, ale w kraju tym jest też duża społeczność polska, która mogłaby być sportretowana w kinie – wskazuje krytyk filmowy.

Najbliżej wielkiej kariery w Hollywood była Joanna Pacuła, choć debiutując w Ameryce, właściwie nie znała języka, a roli uczyła się za pomocą fonetycznego zapisu swoich kwestii. Po tym jak ukończyła warszawską PWST, grała w Teatrze Dramatycznym, m.in. w sztukach w reżyserii Gustawa Holoubka. Na dużym ekranie zadebiutowała w „Barwach ochronnych" Krzysztofa Zanussiego. Stan wojenny zastał ją w Paryżu. Zdecydowała, że nie wraca do Polski. Nad Sekwaną swoimi kontaktami służył jej Roman Polański. Po roku wyjechała do USA na wakacje. – Dwa tygodnie przed powrotem ktoś ukradł mi torebkę. A razem z nią wszystkie dokumenty, bilety i paszport – wspominała przed laty w „Twoim Stylu". Ze względu na sytuację polityczną polski konsulat nie wydał jej nowego dokumentu. Utknęła w USA. Pomogła jej Elżbieta Czyżewska.

Krótko po przyjeździe do Stanów dostała jedną z głównych ról w „Parku Gorkiego" Michaela Apteda. Wcieliła się w Rosjankę Irinę Asanową. Rola przyniosła jej nominację do Złotego Globu, kolejne propozycje i rozpoznawalność. Dwukrotnie na oscarowych galach wręczała laureatom statuetki. Dwa razy pojawiła się na okładce „Vogue'a". W 1990 r. magazyn „People" uznał ją za jedną z 50 najpiękniejszych osób świata.

W 1987 r. potwierdziła swoją pozycję w świecie filmu rolą Luki w „Ucieczce z Sobiboru". Za rolę w filmie „Pocałunek" była nominowana do nagrody Saturna dla filmów z gatunku science fiction, fantasy i horror. Lata 90. rozpoczęła obiecująco, ale zakończyła rolami w filmach klasy B. Winę za załamanie jej kariery przypisuje się jej mężowi, producentowi filmowemu Hawkowi Kochowi. Pacuła miała odrzucić role w „Nagim instynkcie", „9 i 1/2 tygodnia", „Striptizie" czy „Licencji na zabijanie" właśnie ze względu na męża, który nie chciał, by grała w odważnych scenach. Mimo tego i tak wśród polskich aktorów to ona zrobiła największą karierę w Hollywood od czasów Poli Negri.

Duże nadzieje kinomani wiązali z Izabellą Scorupco, która wystąpiła w roli dziewczyny Bonda w „Golden Eye". Brała udział w wielu zagranicznych produkcjach, ale nie doczekała się spektakularnych ról w filmach najwyższej klasy.

Wydawało się, że szansę na sporą hollywoodzką karierę ma Alicja Bachleda-Curuś. Doceniono jej rolę w filmie „Trade", później wystąpiła u boku Colina Farrella w obrazie „Ondine". Przez kilka lat była związana z gwiazdorem, doczekali się syna. Kariera Bachledy-Curuś jednak przystopowała. Zagrała w ostatnich latach w produkcjach polskich reżyserów – „7 rzeczy, których nie wiecie o facetach", „Pitbull. Niebezpieczne kobiety" (2016). Za oceanem wystąpiła w filmach, które przeszły bez większego echa.

Za oceanem grywa także Weronika Rosati – obsadzana w niewielkich rolach w filmach i serialach – czy Iza Miko, która pojawia się w produkcjach klasy B. Wśród Polaków, którzy zaistnieli w Stanach, wymienia się także Katarzynę Wydrę. Pochodzi z Opola, ale jako dziesięciolatka przeprowadziła się z rodziną do Kalifornii. Można było ją oglądać m.in. w „Doktorze Housie" czy „Czystej krwi". Wystąpiła też w komedii „Kocha, lubi, szanuje", w której główne role zagrali Emma Stone i Ryan Gosling.

NARRATOR U CHEMICAL BROTHERS

Agencja L-gwiazdy, która reprezentuje Kota w Polsce, na razie nie informuje, kiedy rozpoczną się zdjęcia do filmu o Nikoli Tesli. Nie wiadomo też, kiedy film miałby trafić do kin. Tomasz Kot już jednak teraz jest w międzynarodowym tournée. Jego twarz jest wyświetlana podczas trasy koncertowej The Chemical Brothers. Kot został zaproszony przez muzyków, jest narratorem ich widowiska.

Czy karta się odwróci i swoje miejsce w Hollywood znajdą nie tylko polscy reżyserzy, kompozytorzy, operatorzy czy scenografowie, lecz także aktorzy? Jakub Moroz zwraca uwagę, że obecność polskich aktorów w Hollywood byłaby szansą na zmianę wizerunku Polski i Polaków, który kreuje amerykańskie kino.

– Jest w tym wiele bzdur, stereotypów. Polak przedstawiany jest w najlepszym razie jako miły burak albo jako brutal w rodzaju Stanleya Kowalskiego. Jeśli już jest człowiekiem z wyższym wykształceniem – jak ojciec tytułowej bohaterki „Wyboru Zofii" – to okazuje się strasznym antysemitą. O stereotypie Polaka-bydlaka w amerykańskim kinie powstała nawet książka autorstwa Danushy Gosk. Polscy aktorzy w Hollywood mogliby zmienić wizerunek zarówno Polaka, jak i przybyszów z Europy Wschodniej. Pod warunkiem że nie będą się dostrajać do panujących trendów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7cae2d5e67

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Kuloodporny demon seksu

Gdyby ktoś szukał dowodów na to, że kino zjada własny ogon, serdecznie zapraszam na nowy film Luca Bessona.

Jacy są Rosjanie, wiemy wszyscy. Jeśli piją, to na umór. Jeśli kochają, to na zabój. Zimą kąpią się w przeręblach, latem grają w szachy. Twórczość Czechowa i Dostojewskiego znają na pamięć i na wyrywki. Ich kobiety są twardsze od stali. Weźmy taką Annę – byłą moskiewską ćpunkę i kochankę podrzędnego rzezimieszka – która robi karierę jako międzynarodowa modelka. Drugi etat ma w KGB.

Bezpruderyjne agentki, biegłe w sztuce zabijania wrogów bronią palną, kłutą i wszystkim, co wpadnie im w ręce (może być nawet widelec), obrodziły w tym sezonie lepiej niż truskawki. Jeszcze nie ochłonęliśmy po „Atomic Blond" i „Czerwonej jaskółce", a już ekrany szturmuje Besson z nową, podrasowaną wersją „Nikity". Dla Anny seks jest formą polisy ubezpieczeniowej i narzędziem kontroli nad otoczeniem. Żyje w lesbijskim związku z koleżanką z wybiegu, jednak swoich wdzięków nie skąpi również samcom alfa z obu stron żelaznej kurtyny. Rzecz dzieje się bowiem w latach 1985–1990.

Po jakie licho Besson cofnął się do czasów pieriestrojki, trudno zrozumieć. Może nie chciał urazić Putina, bo starał się o zgodę na kręcenie filmu w Moskwie? Następstwem tej decyzji jest seria anachronizmów, która już w pierwszym kwadransie kładzie wiarygodność „Anny" na łopatki. Gdyby za panowania cara Gorbaczowa w stolicy Kraju Rad faktycznie używano telefonów komórkowych, bankomatów i laptopów, na ulicach królowałyby zachodnie marki aut, a zakupy robiło się w dobrze zaopatrzonych supermarketach, komunizm nie upadłby do dzisiaj.

Równie bałamutny jest opis pracy wywiadów, zaś światek mody przedstawiono w sposób iście karykaturalny. Zabawne to, zważywszy na znaną słabość Bessona do modelek. Obecnie twórca „Leona zawodowca" próbuje zrobić aktorkę z urodzonej w Magadanie Sashy Luss. Perypetie Mela Gibsona i Ronniego Wooda z młodymi Rosjankami – jak widać – nie dały mu nic do myślenia.

Największe pretensje mam do francuskiego reżysera nie za wtórność i nonszalancję, lecz za traktowanie widzów jak półgłówków. Łopatologiczne tłumaczenie kolejnych twistów i związane z tym powtórki sprawiły, że film traci tempo i trwa stanowczo za długo. Gdy piszę te słowa, upały chwilowo ustąpiły, a to źle wróży karierze „Anny" w kinach. Opowieść o morderczo uwodzicielskiej matrioszce, oglądana chłodnym okiem, wydaje się ćwiczeniem warsztatowym. Niepotrzebnym, bo nadzieja, że Besson się obudzi i zaproponuje światu jakiś nowy pomysł, umarła już dość dawno temu. ©℗

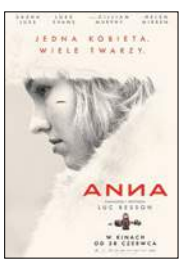

★★☆☆☆☆

REŻ. LUC BESSON
„ANNA"
FRANCJA 2019

wyst. Sasha Luss, Helen Mirren, Cilian Murphy, Luke Evans

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „YESTERDAY"

Świat, który nigdy nie poznał Beatlesów, byłby dużo smutniejszy. A gdyby przywrócić ich dokonania, ale w mocno nieoczywisty sposób? Bohater nowego filmu autora „Trainspotting" trafia do alternatywnej linii czasowej, w której nie istniała czwórka z Liverpoolu. Jack jako jedyny człowiek na świecie pamięta jednak ich piosenki. A gdyby sam zaczął je śpiewać? Co z tego wyniknie? Ciepła, sympatyczna komedia w sam raz na lato. ©℗ ***Piotr Gociek***

- ***„Yesterday", reż. Danny Boyle, wyst. Himesh Patel, Lily James, Sophia Di Martino, Wielka Brytania 2019***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Stuber", reż. Michael Dowse, USA 2019***
- ***„Annabelle wraca do domu", reż. Gary Dauberman, USA 2019***
- ***„Młody geniusz i kłopotliwe wynalazki", reż. Pierre-François Martin-Laval, Francja/Belgia 2018***
- ***„Wielka podróż Cyrkielki", reż. Jannik Hastrup, Dania 2018***

eprasa.pl 7cae2d5e67

Heros na wakacjach

Pusty most Karola w Pradze? Takie cuda są możliwe tylko w komiksach oraz wyobrażeniach, jakie Amerykanie mają na temat Europy. Nowojorczyk Peter Parker, lepiej znany jako Człowiek Pająk, od normy nie odstaje. Wymyślił sobie, że pocałuje najładniejszą dziewczynę z klasy w Paryżu, na szczycie wieży Eiffla. Lecz cóż, służba nie drużba. Po abdykacji pierwszego pokolenia Avengersów (telewizja żegna Tony'ego Starka/Iron Mana – piosenką „I Will Always Love You") misji ratowania świata muszą się podjąć młodzi. Nawet jeśli się do tego wcale nie palą.

Peter odziedziczył po Starku czaderskie okulary, jednak wolałby żyć jak zwykły 16-latek: chodzić do szkoły i pojechać z rówieśnikami na wakacje. Wrodzoną skromność Spider-Mana i jego szacunek dla starszych wykorzysta niejaki Mysterio. Ten aż się pali, by zaznać sławy i smaku zwycięstwa.

23. film z Marvelowskiego cyklu, adresowany do rówieśników „superbohatera z sąsiedztwa", zgredów raczej nie porwie. Tło dla naparzanek wybrano z automatu. Wenecja, Praga i Londyn (z krótką przesiadką w Berlinie) – nawet koreańskie biura podróży wykazują więcej kreatywności. Cała reszta jest iluzją. W tym kontekście padające z ekranu stwierdzenie: „Ludzie uwierzą we wszystko" brzmi wyjątkowo cynicznie. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆
REŻ. JON WATTS
„SPIDER-MAN: DALEKO OD DOMU"
USA 2019

wyst. Tom Holland, Jake Gyllenhall, Zendaya, Samuel L. Jackson

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

KONIEC PO LATACH

„Deadwood" to jeden z najlepszych seriali HBO (2004–2006), ale nie doczekał się właściwego zakończenia. Finał trzeciego sezonu odsuwał tylko w czasie ostateczne rozstrzygnięcia. Teraz, po 13 latach, epilogiem jest pełnometrażowy film, w którym powracają wszyscy bohaterowie (niektórzy tylko po to, by pożegnać się z życiem). Rok 1889, miasteczko Deadwood świętuje przyłączenie do Dakoty Południowej. Bezwzględny milioner Hearst powraca ubić kolejny interes, Calamity Jane pragnie spocząć w grobie obok Dzikiego Billa Hickoka, a główne role w konfrontacji jak zwykle odegrają szeryf Seth Bullock (znakomity Timothy Olyphant) i właściciel saloonu Al Swearengen (bezbłędny Ian McShane). Lekcja jest niepokojąca: Dziki Zachód to miejsce niebezpieczne i pełne łotrów, ale prawdziwe niebezpieczeństwo nadciąga wraz z politykami i wielkim biznesem. Po nieco nużącej pół godzinie (trzeba widzom przypomnieć, kto i skąd się wziął) reszta jest znakomita.

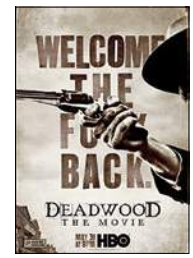

★★★★★☆
REŻ. DANIEL MINAHAN
„DEADWOOD"
USA 2019, DYSTR. HBO

wyst. Timothy Olyphant, Ian McShane, Molly Parker

PAN GLASS VS NIEZNISZCZALNY

Niemal 20 lat zajęło reżyserowi „Szóstego zmysłu" dokończenie trylogii rozpoczętej w roku 2000 filmem „Niezniszczalny". Wtedy zresztą nikt nie wiedział, że to część większej całości, a Bruce Willis zagrał jedną z ról życia jako niechętny superbohater. „Split" (2016) był świetnym thrillerem o seryjnym mordercy o rozszczepionej osobowości. „Glass" zbiera wątki z obu filmów i prowadzi je do nietypowego finału, cała ta trylogia jest bowiem grą ze schematami znanymi z komiksów o obdarzonych nadludzkimi siłami herosach. Nie nudziłem się, oglądając, doceniam oryginalność konceptu, a aktorzy spisali się bardzo dobrze. Nie mogę jednak polecić seansu z czystym sumieniem, bo to jednak kino bardzo specyficzne. Docenią je głównie ci, którzy ślepo zakochani są w popkulturze. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

★★★☆☆☆
REŻ. M. NIGHT SHYAMALAN
„GLASS"
USA 2019, DYSTR. GALAPAGOS

wyst. James McAvoy, Bruce Willis, Samuel L. Jackson

GRA TYGODNIA: „CRASH TEAM RACING NITRO-FUELED" ★★★★★☆

Znane z serii platformówek „Crash Bandicoot" postacie, sprawiający frajdę model jazdy, dodatkowe gokarty, nowe mapy, całkowicie odświeżona oprawa graficzna i uwspółcześnione sterowanie. Tego mogą się spodziewać wszyscy fani serii animowanych wyścigów „Crash Team Racing", którzy sięgną po wznowienie – popularnego swego czasu – tytułu. Dostępne na trasach „znajdźki", dające dodatkowe moce naszemu pojazdowi albo utrudniające jazdę przeciwnikowi, przypominają najlepsze wzorce z „Micro Machines" i „Mario Kart". Na plus możliwość ścigania się z zawodnikami z całego świata oraz opcja podzielenia ekranu na pół. Znajomi będą zachwyceni. ©℗ ***Marcin Makowski***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *Wyścigi*
- ***Platforma:*** *PS4/XONE/Switch*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Beenox Inc./Cenega*
- ***Klasyfikacja PEGI:*** *4+*

eprasa.pl 7cae2d5e67

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Prosto, do ludzkich serc

Zawartość tej książki określa jej podtytuł: „Zapiśnik 1988, 2013–2018", choć może powinna poprzedzać go jeszcze jedna data – 1979, kiedy to autor, dokładnie 17 stycznia, zapisał: „Moje trzydzieste drugie urodziny. Wchodzę w wiek Chrystusowy, jutro zacznę trzydziesty trzeci rok". To bowiem tymi zdaniami, pochodzącymi z – jak dowiadujemy się – niewysłanego listu, rozpoczyna się „Stan miłosny… przerywany" Józefa Barana, poety, po którego pierwszych wierszach (debiutował w roku 1969) jeden z najbardziej wymagających krytyków polskich – Artur Sandauer – napisał, że „trafia on swoją liryką prosto do ludzkich serc".

Urodzony w podkrakowskim Borzęcinie, krajan Mrożka, młodszy od niego o osiem lat, Józef Baran wieloma tomami wierszy, a i piosenkami pisanymi m.in. dla Starego Dobrego Małżeństwa i grupy Pod Budą, zapracował sobie na wyjątkową pozycję w naszej literaturze, a przecież trudno się oprzeć wrażeniu, że ani w części nie dorównuje ona tej, którą przypisuje się np. Adamowi Zagajewskiemu. Rzecz w tym, że w Krakowie w latach 70. pierwszemu bliżej było do grupy poetyckiej Tylicz (choć formalnie do niej nie należał), mającej swoich mistrzów w osobach Gałczyńskiego czy patronującego im Harasymowicza, niż do nowofalowców z Zagajewskim i Kornhauserem, którzy najpierw „w fabrykach udawali smutnych rewolucjonistów", a potem ogłosili „Świat nie przestawiony", gdzie orzekli, kto jest dobry, a kto zły, i tego, ponoć, należało się trzymać. Baranowi widocznie bardziej jednak zależało na odbiorze jego poezji przez normalnych czytelników, bo pisał swoje, a że salonów, gdzie frukta są dystrybuowane, unikał, to ma, jak ma. Dalej jednak utrzymuje – sądząc po „Zapiśniku" – że „flirt poezji z polityką kończy się często poronieniem".

FOT. WACŁAW KLAG/REPORTER

Nie znaczy to, że Józef Baran po olimpijsku dystansuje się od tego, czym wszyscy żyjemy. Dlatego w maju 2015 r. tak komentował trwającą kampanię przed wyborami prezydenckimi i odbywające się właśnie debaty kandydatów: „Młody waleczny kogut i stary, nieco wyliniały, lecz walczący nieustępliwie o prawo do swoich terenów łowieckich – tur. Wygra zapewne młody, choć w debacie za bardzo deklamatorski i ściśnięty gorsetem pisowskim, dlatego w turnieju na słowa nieznacznie może przegrał. Ale naród oczekuje zmiany, więc możliwe, że jednak wybory niedzielne wygra młodszy (skądinąd zięć Julka Kornhausera, poety mojego pokolenia). Ciekawe, co teść na to wszystko. Obie debaty ogląda się jak mecz Real – Barcelona, choć pojedynek na słowa nie ma finezji gry Messiego i Ronaldo. Sercem jestem za Dudą, choć rozsądek wskazywałby na starego prezydenta, szczególnie w czasach, gdy trzeba prowadzić mądrą politykę wschodnią, nie wymachiwać szabelką przed nosem Putina. Jednak nie jestem w stanie tolerować na dłuższą metę tego jowialnego pyszałka. Prasa niemiecka napisała o nim, że ma charyzmę nauczyciela szkoły średniej tuż przed emeryturą".

Józef Baran opowiada w „Zapiśniku" o swoich spotkaniach i podróżach, ocenia lektury, snuje wspomnienia, zdaje też relację z tego, co najtrudniejsze – walki z chorobą, walki o życie. Mimo naturalnych skłonności do aforystyki, a i widocznej ochoty do posłużenia się żartem czy anegdotą, by obniżyć napięcie kumulujące się w zdaniach spływających na papier, za grosz tu podlizywania się czytelnikowi czy mrugania do niego okiem. Nieprzypadkowo zauważa: „Dowcipny Słonimski nigdy nie śmiał się z cudzych żartów. Bardzo charakterystyczne dla pewnego rodzaju przemądrzałych dowcipnisiów".

Osobiście sprawił mi Józef Baran ogromną radość, przypominając w swoim „Zapiśniku" osobę i twórczość Bogdana Madeja, zmarłego w 2002 r. i, co stwierdzam ze smutkiem, zapomnianego prozaika, autora „Maści na szczury", jednej z ważniejszych książek z doby PRL, zresztą po raz pierwszy wydanej – jak na ważną książkę tamtego czasu przystało – w Paryżu. W „Stanie miłosnym…" pisze Baran o Madeju, publikuje też dwa jego listy, o literaturze polskiej i trudnym miejscu, w którym znalazła się w obliczu tego, co nazywamy transformacją ustrojową czy jakąkolwiek inną. Listy jak najbardziej aktualne.

I wreszcie najważniejsze. Kolejne zapiski inkrustowane są wierszami autora „Zapiśnika". Wróć… To złe słowo. Wiersze te są niezbywalną, a może i najważniejszą częścią jego mądrej książki. ©℗

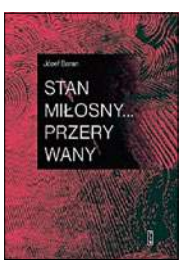

★★★★☆

JÓZEF BARAN
„STAN MIŁOSNY… PRZERYWANY"
PIW 2019

eprasa.pl 7cae2d5e67

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

W te klocki

Urodzony w roku 1984, wywieziony ze Związku Sowieckiego, obiekt ostrej rywalizacji między firmami amerykańskimi i japońskimi, gry, w którą włączyli się między innymi przywódcy wrogich mocarstw, Ronald Reagan i Michaił Gorbaczow, oraz magnat medialny Robert Maxwell. W życiorysie ma także potężną batalię sądową, samobójstwo oraz zabójstwo – nie, nie chodzi o szpiega czy groźnego dysydenta. Ten bohater to Tetris, łamigłówka komputerowa, której twórca, Aleksiej Pażytnow, inspirował się pentomino.

„Tetris. Ludzie i gry" to powieść graficzna Boxa Browna, która przybliża dzieje niepozornego programiku, na którego punkcie miliony ludzi z całego świata dostały swego czasu ciężkiego hopla, a także wskrzesza klimat czasów, gdy przemysł gier wideo dopiero się formował. „Gier wideo", powtórzmy, nie tylko „gier komputerowych", bo była to epoka salonów, w których stały wielkie wymalowane w fantastyczne obrazki maszyny z „Pac-Manem", „Asteroids", „Donkey Kongiem" (i moim ukochanym za młodu „Kangaroo"), a także raczkującego biznesu konsolowego (są u Browna i narodziny Game Boya).

Ze względu na uroczą formę komiks spodoba się także tym maniakom historii gier, którzy opisywane wydarzenia znają na pamięć, amatorzy (tacy jak ja) z wypiekami na twarzy wczytać się będą mogli w opowieść bardziej fascynującą od niejednego thrillera. Jedni i drudzy mogą postawić „Tetrisa" na półce obok wydawanych w ostatnich latach przez SQN książek „Wojny konsolowe" (o rywalizacji Segi i Nintendo) czy „Krew, pot i piksele" (o kulisach współczesnego przemysłu gier od „Diablo" do „Wiedźmina").

„Tetris" to jedna z kilku pozycji, którymi wydawnictwo Marginesy stawia pierwsze kroki na nowym terytorium, sięgając po komiksy. Próba najbardziej jak dotąd udana (obok „Neurokomiksu"). „Artemizja" i „Audubon", dwa albumy komiksowych biografii, merytorycznie też były trafnym wyborem, ale zaszkodziła im moim zdaniem oszczędność na papierze oraz mało czytelne liternictwo. Zaletą tych pozycji była warstwa graficzna, która w polskiej edycji nie wygląda najbardziej zachęcająco. W przypadku graficznej powieści „Tetris" wszystko za to jest w jak najlepszym porządku. ©℗

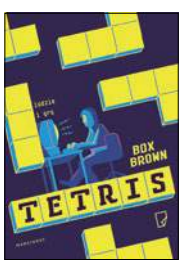

★★★★★☆
BOX BROWN
„TETRIS. LUDZIE I GRY"
MARGINESY 2019

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Wiktor Kubiak, Jan Kulczyk, Aleksander Gawronik, Leszek Czarnecki, Zbigniew Niemczycki i inni – ponura prawda o tym, jak z błogosławieństwem służb PRL i pomocą komunistycznych elit powstawały fortuny III RP.

DOROTA KANIA, JERZY TARGALSKI, MACIEJ MAROSZ
„RESORTOWE DZIECI. BIZNES"
FRONDA

Korespondencja świętego z Raffaeliną Cerase (lata 1914–1915). To samo wydawnictwo proponuje też zwięzłe wprowadzenie w jego nauczanie: „Przyśnił mi się ojciec Pio" pióra Błażeja Strzechmińskiego OFMCap.

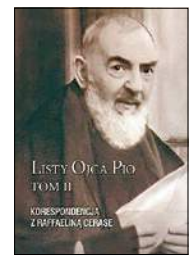

„LISTY OJCA PIO. TOM II"
WYDAWNICTWO SERAFIN

Kto czym jeździł w PRL, czyli opowieść o czterokołowym przedmiocie pożądania. Co produkowano, co importowano, czym chwaliły się czerwone elity, a co najbardziej cenili obywatele. Plus samochód w kulturze masowej.

PIOTR AMBROZIEWICZ
„AUTA DLA NAS, AUTA DLA MAS"
PWN

Nowa powieść autora „Złodziejki książek". Pięciu dziwnych braci i rodzinne sekrety, które mogą wszystko zniszczyć lub być nowym początkiem. Słychać tu echa „Świata według Garpa", ale Zusak jest bardziej melodramatyczny. ©℗

poleca Piotr Gociek

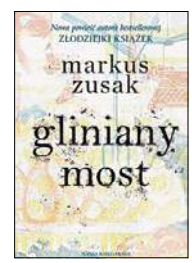

MARKUS ZUSAK
„GLINIANY MOST"
NASZA KSIĘGARNIA

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Blanka Lipińska „Kolejne 365 dni" (Agora) – ciąg dalszy bestsellera erotyczno-kryminalnego produkcji polskiej, wkrótce niestety także film.***
2. ***Jo Nesbø „Nóż" (Wydawnictwo Dolnośląskie) – 12. powieść o Harrym Hole'u, który znów tkwi po uszy w kłopotach, także osobistych.***
3. ***Rachael Lippincott „Trzy kroki od siebie" (Media Rodzina) – o dziewczynie bez układu odpornościowego – melodramatyczna love story. Film w kinach.***
4. ***Katarzyna Grochola „Zranić marionetkę" (Wydawnictwo Literackie) – autorka „Nigdy w życiu" tym razem po raz pierwszy napisała kryminał.***
5. ***Christel Petitcollin „Jak mniej myśleć" (Wydawnictwo Feeria) – „Dla analizujących bez końca i wysoko wrażliwych" – głosi podtytuł.***

(Najchętniej kupowane książki w sieci salonów Empik od 10 do 23 czerwca 2019 r.)

eprasa.pl 7cae2d5e67

Pustynne oberki

FOT. MARIAN ZUBRZYCKI/FORUM

Z Wielbłądami bywa na przykład tak – pojawiają się w tym czy innym mieście, a ich występ łączony jest z wykładem. Dotyczącym chociażby Tuaregów. To lud zamieszkujący Saharę i jej obrzeża, zajmujący się hodowlą bydła i kóz, wytwarzaniem biżuterii, niegardzący groszem z turystyki. Fakt, że koncert zespołu Wielbłądy bywa dostarczany w pakiecie z wykładami, nie oznacza, że sama muzyka się nie broni. To, co grają Wielbłądy, to w największej mierze inspiracja Afryką, ale z różnymi dodatkami. Afro blues, desert blues przeplatają się w ich twórczości z bluesem klasycznym i wpływami muzyki z innych rejonów świata, w tym z polskiego folku, z oberka.

O najnowszej płycie Wielbłądów – „Czas ngoni" – Gwidon Cybulski, wokalista, tekściarz, multiinstrumentalista, mówił w Polskim Radiu tak: „Bardzo lubię słuchać tej płyty ze względu na swoich kolegów muzyków, którzy tam grają. U nas w zespole jest taka zasada, że każdy sobie może pograć tak, jak lubi, i każdy tam sypie wspaniałe solówki. No i te solówy instrumentalne to jest wielka wartość tej płyty, w każdym utworze ciągną się wspaniałe solówy". Spokojnie, niespiesznie. Czas płynie, nie goni.

Nazwiska Gwidona Cybulskiego i Sebastiana Wielądka są i znakiem jakości, i zapowiedzią tego, czego możemy się po Wielbłądach spodziewać. Między innymi ciekawych brzmień dzięki użyciu nieoczywistych instrumentów, i wcale nie tylko tych typowych dla afrykańskiego lądu, lecz także unikalnych konstrukcji. Na „Czas ngoni" do kilku utworów przygrywa np. rurka PCV przerobiona na flet. W zespole udzielają się jeszcze: Mateusz Szemraj (grający m.in. na tytułowym dla drugiego albumu ngoni, czyli wywodzącym się z Afryki Zachodniej instrumencie strunowym w rodzaju lutni), Kuba Pogorzelski, Kuba Mielcarek i Jacek Mielcarek. Świetni instrumentaliści czujący muzykę etniczną. Mieszankę muzycznych umiejętności uzupełniają teksty i wokal Cybulskiego, wpisujące się w ten afrykańsko-bluesowy klimat. Doskonałe tło urlopowej laby. ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

50 lat minęło...

Woodstock Music & Art Fair wciąż uznawany jest za najsłynniejszy festiwal rockowy. Mimo że ta impreza, odbywająca się pod hasłem „3 dni pokoju i muzyki", nie była ani pierwszą, ani największą tego typu.

Legendę festiwalu stworzył film „Woodstock", który w 1971 r. otrzymał Oscara, oraz pierwsze w historii trzypłytowe wydawnictwo rockowe (21 nagrań), które osiągnęło dwumilionową sprzedaż. Jubileusz 25-lecia imprezy uświetnił album z 50 utworami, 40. rocznica przyniosła zestaw z 95 pozycjami, a tegoroczny box zawiera 162 nagrania (cena 600 zł). Historycy i maniacy dostają zestaw 38-kompaktowy, na którym z tego, co zagrano, brakuje jedynie dwóch utworów Hendrixa i kilku zespołu Sha Na Na (nie były rejestrowane).

Woodstock jest z jednej strony ucieleśnieniem utopijnych, hippisowskich czasów, a z drugiej potwierdzeniem, że rok 1969 stanowił apogeum klasycznego rocka. Wystąpili wówczas giganci (Hendrix, Joplin, Grateful Dead, CCR, Sly Stone, The Who, Jefferson Airplane) oraz pretendenci do rockowego raju (Santana, Ten Years After, Joe Cocker, The Band, Johnny Winter, Crosby, Stills, Nash & Young).

Ten 10-płytowy zestaw jest doskonałą propozycją dla młodocianych archeologów i emerytowanych hippisów, którzy wciąż żyją dniami dawnej chwały. ©℗

★★★★★☆

RÓŻNI WYKONAWCY „WOODSTOCK BACK TO THE GARDEN (50TH ANNIVERSARY EXPERIENCE)" ATLANTIC

★★★★★☆

BITAMINA „KWIATY I KAMIENIE" KALEJDOSKOP

Piąty album ambitnych hiphopowców. Prowokujące teksty, poetyckie deklamacje, żywe instrumenty, żonglowanie stylami, dokumentalne wypowiedzi z życia wzięte, wyszukana ekologiczna okładka. I nie jest to niszowa grupa, tylko gwiazda Open'era.

★★★★☆☆

THE BLACK KEYS „LET'S ROCK" NONESUCH

Po pięcioletniej separacji duet znów rockuje, ale nie rokuje. Ich glam-boogie nie tylko jest przewidywalne, lecz także pozbawione dawnej zawadiackiej energii. Nie jest to zła płyta, ale panowie przed laty ustawili sobie poprzeczkę znacznie wyżej. ©℗

eprasa.pl 7cae2d5e67

76.TourdePologne®

03-09.08.2019

UCI WORLD TOUR

100 LAT POLSKIEGO KOMITETU OLIMPIJSKIEGO

WYŚCIG POKOLEŃ

ETAP 1 KRAKÓW – KRAKÓW / ETAP 2 TARNOWSKIE GÓRY – KATOWICE / ETAP 3 STADION ŚLĄSKI, CHORZÓW – ZABRZE
ETAP 4 JAWORZNO – ŚLĄSKIE, KOCIERZ / ETAP 5 KOPALNIA SOLI „WIELICZKA" – BIELSKO-BIAŁA
ETAP 6 MAŁOPOLSKA, ZAKOPANE / ETAP 7 BUKOVINA RESORT – BUKOWINA TATRZAŃSKA

Sponsor Główny

Carrefour

Sponsorzy Oficjalni

TAURON, LOTOS

Partner Strategiczny

LOTTO

Oficjalni Partnerzy

studio55 advertising solutions

Oficjalny Pomiar Czasu

TISSOT SWISS WATCHES SINCE 1853

Oficjalna Woda

CISOWIANKA

MM CARS GROUP

Patroni Medialni

onet, Przegląd Sportowy, TVP 1, Radio Eska, Cinema City, cityboard media, pap Polska Agencja Prasowa, TVP Sport, Super Express, wprost

Sponsorzy Wspomagający

Kinder +SPORT Joy of moving, IMPEL GROUP, ELMAR, PROMOKRAFT, Pogotowie Ratunkowe Siedlce, MAVIC, LAVARD, BRUNOX

Partnerzy

BUKOVINA RESORT, Kopalnia Soli Wieliczka, Śląskie., Polska Organizacja Turystyczna, Kraków Region Małopolska, SZOSA, VOX, Wawa, Menadżer Floty, Plus Radio, Eska Rock, Polski Czerwony Krzyż, ZIS, quest, Związek Ochotniczych Straży Pożarnych RP, PKP Intercity, BikeWorld.pl, Tour, naszosie.pl

ORGANIZATOR LANGTEAM WWW.LANGTEAM.COM.PL

Piotr Semka

Kult Mackiewicza

Dziesiątki krajów opierają swe bezpieczeństwo na gwarancjach amerykańskich. Dziś innej alternatywy nie widzę

Za sojusz ze Stanami Zjednoczonymi zapłacimy miliardy. Amerykańskie gwarancje bezpieczeństwa mogą okazać się złudne" – tak zaczął swój tekst „Egzotyczny sojusznik" mój kolega redakcyjny Piotr Zychowicz („Do Rzeczy", 1 lipca 2019 r.) .

Nie rozumiem, dlaczego mój kolega po piórze tak niewolniczo trzyma się publicystyki dwóch postaci żyjących prawie 100 lat temu. Chodzi oczywiście o Stanisława Cata-Mackiewicza i Władysława Studnickiego, których to Zychowicz jest niezwykle gorącym wyznawcą. Renesans twórczości obu publicystów z lat II RP, który można zaobserwować ostatnimi laty, uświadomił mi, jak silna jest do dziś trauma opuszczenia Polski w chwili wybuchu II wojny światowej. Stąd rozmaite mniej lub bardziej fantastyczne próby snucia hipotez, jak mogliśmy się 80 lat temu wyrwać z geopolitycznej pułapki między hitlerowskimi Niemcami a stalinowską Rosją. Gorzej, gdy wnioski wynikające z tamtych wydarzeń mechanicznie przenoszone są na dzisiejsze realia.

Już wcześniej pojawił się w publicystyce Zychowicza ton, który mnie głęboko zaniepokoił. Była to dość naiwna – w mojej opinii – teza, że Hitler nie chciał wojny z Polską i – co jeszcze bardziej niepokojące – że Polska, zawierając pakt wojskowy z Wielką Brytanią, faktycznie sprowokowała Hitlera i jest winna wybuchu wojny, który zmiażdżył nasz naród i nasze państwo. Gdy wziąłem do ręki tekst Zychowicza „Egzotyczny sojusznik", rozpoznałem w nim te same tony.

KOMU W CO SIĘ NIE CHCE WIERZYĆ

Zychowicz pisze: „Zacznijmy od sprawy pierwszej. Czyli wiszącej rzekomo nad Polską groźby rosyjskiej inwazji. Jakoś nie chce mi się wierzyć w to, że Władimir Putin obudzi się pewnego dnia rano i wezwie na Kreml swoich generałów: »Mało mi Osetii, mało Abchazji, mało Krymu i mało Donbasu! Dajcie mi Warszawę!«. Nie bądźmy śmieszni. Rosja ma już wystarczająco dużo kłopotów na karku, żeby pakować się jeszcze w taką awanturę. Konflikt na Ukrainie – wbrew opiniom bardziej strachliwych komentatorów – obnażył bowiem nie siłę Rosji, ale jej słabość. Choć Rosjanom udało się z zaskoczenia wyszarpać Ukraińcom Krym, dalej szło już im jak po grudzie. [...] Fiaskiem zakończyła się próba wykrojenia z Ukrainy Noworosji. Rosja ugrzęzła w lokalnej wojence o Donbas".

Bardzo nie lubię maniery publicystycznej, w której dla osiągnięcia efektu kreuje się przesadną scenę z góry skazaną na śmieszność poprzez swoje przerysowanie.

FOT. TRAX

OPINIE

Rola publicysty, który pisze o polityce zagranicznej własnego państwa, jest rolą niewdzięczną. A już szczególnie, jeżeli publicysta taki jest Polakiem. Naród nasz – jak mówił Winston Churchill – ma bowiem wszelkie przymioty oprócz zmysłu politycznego. Zamiast zdrowym rozsądkiem i rozwagą kieruje się emocjami i pobożnymi życzeniami. Ma tendencję do przeceniania siły i znaczenia własnego państwa.

Sprawia to, że publicysta polski musi często iść wbrew uczuciom własnego narodu. A to jest rzeczą przykrą. Zadaniem publicysty nie jest jednak zabieganie o popularność i poklask władzy. Jego zadania to wskazywanie na realne zagrożenia, które stoją przed państwem, chłodzenie idącego zbyt daleko optymizmu, temperowanie nazbyt wybujałych oczekiwań. Tak aby ojczyźnie zaoszczędzić klęsk, a narodowi – bolesnych rozczarowań.

Nie przez przypadek piszę te słowa krótko po spektakularnej wizycie prezydenta Andrzeja Dudy w Waszyngtonie. Wizycie, która stała się symbolicznym przypieczętowaniem „strategicznego partnerstwa" między Warszawą i Waszyngtonem.

Zdaję sobie sprawę, że to wszystko musiało zrobić kolosalne wrażenie. Gabinet Owalny, biało-czerwone flagi obok gwiaździstych sztandarów, przywódca światowego supermocarstwa kadzący Polakom. Refleks słońca odbity na kabinie myśliwca F-35 przelatującego nad Białym Domem. Brzęk kieliszków podczas przyjęcia wydanego przez Donalda Trumpa na cześć polskiej pary prezydenckiej.

Tak, to mogło oszołomić! W polityce międzynarodowej wszystko to są jednak sprawy drugorzędne. Czerwone dywany, blichtr, nawet najbardziej szczytne deklaracje i obietnice – to tylko fasada. Gra pozorów. A co się liczy? Twarde interesy. Realna siła państwa, jego wpływy i jego bezpieczeństwo. Liczą się również pieniądze.

Spróbujmy więc obedrzeć polsko-amerykańskie „partnerstwo" z błyszczącego opakowania i przyjrzeć mu się przez pryzmat wymienionych wyżej realnych kryteriów. Okaże się wówczas, że powodów do entuzjazmu jest mniej, niż mogłoby się wydawać.

ROLA PETENTA

Mimo że w tym układzie jesteśmy partnerem słabszym i biedniejszym, to my poniesiemy jego koszty kolosalne. Same samoloty F-35 ekspertów – będą kosztować siąt miliardów złotych. Kolejne zapłacimy za obecność amerykańskich żołnierzy na naszej ziemi. Kolejny amerykański gaz, którego cena jest konkurencyjna.

Zwolennicy obecnej linii polityki zagranicznej mają na te wątpliwości stałą odpowiedź: taka jest cena bezpieczeństwa. Trzeba zapłacić Amerykanom grube pieniądze, ale w zamian za nas będą bronić przed agresją Rosji.

Argument ten budzi poważne wątpliwości. Bo jeżeli go przyjmiemy, to właściwie nie powinniśmy już mówić o żadnym polsko-amerykańskim sojuszu

56

Za sojusz ze S
A amerykańsk
okazać się złu

Oczywiście Putin nie jest hipochondrykiem, który z powodu złych snów w nocy budzi wszystkich generałów, by nakazać parę godzin później marsz czołówek pancernych na Warszawę, Tallin albo Kijów. Był jednak człowiekiem, który zaplanował atak na Gruzję w 2008 r. i agresję wobec Ukrainy w 2014 r. W obu przypadkach nie chodziło o jakieś efektowne blitzkriegi sowieckiej armii w stylu II wojny światowej. Obie operacje miały charakter hybrydowy, były zaplanowane niezwykle dokładnie i zbudowane na założeniu niezdolności Zachodu do szybkiego działania w obronie państw z kręgu byłego ZSRS. Państw, które miały szczęście wyrwać się spod władzy Kremla, ale jednocześnie były na tyle słabe, by skojarzyć się Putinowi z efektowną kampanią. Krótko mówiąc – obecny gospodarz Kremla to polityk nieprzewidywalny i tym samym groźny.

Co robi państwo, które graniczy z sąsiadem niedemokratycznym, nieprzewidywalnym i kultywującym ducha agresji? Odpowiadam: robi to samo co liczne kraje Zachodu w końcu lat 40. zeszłego wieku. Szuka silnego sojusznika, który może zwiększyć poziom bezpieczeństwa kraju. Kpiarskie rozważania, czy Putin jest bardzo obolały po agresji na Ukrainę, średnio obolały czy wręcz nauczony większej powściągliwości, nijak się mają do obecnych wyzwań polskiej racji stanu. Ta nakazuje zabezpieczać się przed najgorszą nawet możliwością. I Polska w tej kwestii wykazuje się racjonalnością, stawiając na sojusz z USA.

eprasa.pl 7cae2d5e67

TYLKO HAZARDZIŚCI STAWIAJĄ WSZYSTKO NA JEDNĄ KARTĘ

Prezydent Andrzej Duda z prezydentem Stanów Zjednoczonych Donaldem Trumpem podczas wizyty w USA

czy zdrowy rozsądek

Podobnie jak publicystyczny mistrz Zychowicza mający (często słuszny) uraz do Anglosasów, mój kolega po piórze wiele wysiłku wkłada w udowodnienie naiwności i powierzchowności polskich decyzji o specjalnych relacjach militarnych z USA. Sypie określeniami typu „spektakularna wizyta" prezydenta Andrzeja Dudy w Waszyngtonie. Napomyka o „refleksie słońca" odbitym na kabinie myśliwca F35 przelatującego nad Białym Domem i „brzęku kieliszków podczas przyjęcia wydanego przez Donalda Trumpa na cześć pary prezydenckiej".

No tak. Znam to świetnie. W podobny sposób wyśmiewano tromtadrację Józefa Becka w Sejmie. Załamywano ręce nad naiwnością polskich generałów w rozmowach z brytyjskimi i francuskimi kolegami oraz wyszydzano operetkowe rojenia części publicystów o zdobyciu Berlina przez polskich szwoleżerów. Każdą przesadę łatwo wyśmiać. Gorzej, jeśli specjalnie kompiluje się obraz relacji Polski z USA z takich oto efekciarskich stereotypów. Nasz prezydent nie przybył do Waszyngtonu dlatego, że uwielbia oglądać loty myśliwców nad tym miastem. Nie mdleje z wrażenia, gdy prezydent USA poda mu kieliszek z szampanem, ani nie buduje swoich nadziei na współpracę wyłącznie dlatego, że Melania Trump prześlicznie się uśmiecha. Jeśli kupujemy myśliwce F-35, to po to, aby wzmocnić nasze siły powietrzne sprzętem nowej generacji, bo ten, który obecnie mamy, się zestarzał. Jeśli stawiamy na amerykański skroplony gaz, to po to, by uniezależnić się od gazu Rosji. Zychowicz wskazuje, że samoloty F-35 otrzymamy dopiero za parę lat. No dobrze, ale jeśli teraz nie rozpoczniemy procedury zakupu amerykańskich maszyn, to za parę lat będziemy jeszcze bardziej nienowocześni i pozbawieni dobrej jakości samolotów.

Kolejny chwyt publicystyczny, z którym trudno mi się zgodzić, to podkreślanie roli petenta i kreowanie Amerykanów na zbyt drogo ceniącą się agencję ochroniarską.

Oczywiście można i tak pisać. Tyle że na podobnej zasadzie można było przedstawiać relacje USA z Europą Zachodnią w ciągu 40 lat zimnej wojny w latach 1949–1989. Tak, Ameryka ma zdecy-

eprasa.pl 7cae2d5e67

dowanie większy potencjał militarno-gospodarczy od Polski i niemal każdy kraj, wchodząc z nią w relacje wojskowe, występuje w roli petenta. Tak było z RFN w epoce kanclerza Konrada Adenauera, Helmuta Schmidta i Helmuta Kohla. Petentem wobec Waszyngtonu jest też np. Izrael, choć ten akurat równoważy swój potencjał działaniem bardzo silnego lobby Żydów amerykańskich, którzy dbają, by senatorowie zawsze stawiali bezpieczeństwo państwa żydowskiego na bardzo wysokim poziomie. Nie zmienia to faktu, że kraje te z Ameryką były i są bezpieczniejsze niż bez niej.

Zychowicz sugeruje, że jest jeden jedyny kraj na świecie – Polska – nad którym ciąży klątwa nieudacznictwa, wielopokoleniowego pecha czy nieuleczalnego donkiszotyzmu. Kraj, który w negocjacjach z Amerykanami jest po prostu skazany na nierówny deal. Nie. Tak nie jest. Dziesiątki krajów opierają swoje bezpieczeństwo na gwarancjach amerykańskich i – żeby było jasne – żaden z nich nie ma gwarancji, że Amerykanie dają 100 proc. pewności sukcesu obopólnej współpracy. Owszem, niedawno oglądaliśmy, jak Amerykanie koncertowo wystawili do wiatru swoich kurdyjskich sojuszników na terenie Syrii. Owszem, ponad 30 lat temu Amerykanie spisali na straty władze antykomunistycznego Wietnamu Południowego.

Nie jestem ślepy i widzę, że takie rzeczy się zdarzają. Sam będę zachęcał urzędników prezydenta, by nie wpadali w zbyt górnolotny i optymistyczny ton, oceniając nasze alianse z USA, ale wiem też, że specjalne relacje wojskowe z USA bardzo pomogły kiedyś Turcji, wiele razy uratowały istnienie Izraela. Były wysoko cenione przez Wielką Brytanię. I na razie nie widzę żadnej alternatywy.

Specjalne relacje wojskowe z USA bardzo pomogły kiedyś Turcji, wiele razy uratowały istnienie Izraela

CO W TO MIEJSCE?

Ameryka jest jedynym demokratycznym krajem na świecie, który ma sprawną, systematycznie dofinansowywaną i nowoczesną strukturę militarną. Jest krajem, który prowadząc rozmaite operacje wojskowe na świecie, dysponuje armią mającą stałe doświadczenie bojowe. Co miałoby być alternatywą dla współpracy z tak mocnym partnerem?

Zychowicz odpowiada: „[…] Europa, Europa, Europa. Czy nam się to podoba, czy nie, Polska nie graniczy z Arizoną, tylko z Niemcami. [...] Najbardziej racjonalna wydaje się więc orientacja na Europę Zachodnią".

Przyznam, że w tym momencie przestałem już Zychowicza rozumieć. Przecież Polska jest już w NATO razem z Francją, Niemcami czy np. Włochami lub Holandią. Nie zrywamy Sojuszu Północnoatlantyckiego w imię jakichś specjalnych gwarancji Waszyngtonu, który notabene też jest w NATO. Czy nie jesteśmy także członkiem Unii Europejskiej, który bardzo konsekwentnie odrzuca wszelkie antyeuropejskie propozycje, np. partii Marine Le Pen czy niemieckiej AfD?

Jeśli chcemy uzupełnić te gwarancje dodatkowymi specjalnymi relacjami z USA, to nie powinno to nikogo, komu leży na sercu bezpieczeństwo Europy, spędzać snu z oczu.

Będę złośliwy, ale w zadumę wprawia mnie niesamowita sprzeczność, jaką znajduję często w tekstach wielu zwolenników myśli Stanisława Cata-Mackiewicza i Władysława Studnickiego. Ciągłe powoływanie się na polityczny rozum, przebiegłość i zimny realizm przy jednoczesnym snuciu niezwykle efektownych, ale nie opartych na żadnych konkretach pomysłach na polepszenie szans geostrategicznych Polski. W myśl tej szkoły sojusz militarny z USA to bujanie w obłokach. A oznaką realizmu jest stawianie na armię europejską, która istnieje tylko w przemówieniach francuskiego gospodarza Pałacu Elizejskiego. W tej optyce amerykańskie oddziały pancerne na terenie Polski to tylko jakiś fantom, a Bundeswehra, której sprzęt ciężki w dużej mierze jest sparaliżowany awariami i remontami, to mocny punkt oparcia w obronie naszego kraju.

GDY MIŚ SIĘ ROZDRAŻNI?

Piotr Zychowicz pisze, że amerykańska obecność wojskowa na terenie Polski nie zwiększy naszego bezpieczeństwa, ale je zmniejszy. Rozdrażni bowiem tylko Rosję, a w razie wojny amerykańscy żołnierze okażą się i tak bezużyteczni.

Powiem szczerze, że ten akapit najbardziej mnie przeraził.

Rosjanie nie mają żadnych skrupułów, by zamienić okręgu kaliningradzkiego w wojskowe obozowisko, które naszpikowane jest rakietami skierowanymi na Polskę. I w Rosji nikt nie wyraża opinii, że taka polityka wojskowa może wywołać zaniepokojenie Polaków. My jednak musimy się zastanawiać, według Zychowicza, czym nie rozdrażnić wszechpotężnego bożka Putina na Kremlu. Z dwojga złego wolę mieć nawet parę tysięcy Amerykanów na swoim terenie i liczyć, że zmniejszy to ryzyko agresji rosyjskiej, niż wpaść w spiralę lęku, czym możemy podpaść Moskwie.

Można snuć dywagacje, czy w razie konfliktu Waszyngtonu z Pekinem ranga relacji USA z krajami Europy Środkowej nie spadnie. Można zastanawiać się, czy aby Donald Trump nie przegra najbliższych wyborów prezydenckich i nie odejdzie po jednej kadencji. Można wieszczyć , że jeśli już za rok zastąpią go Demokraci, to zmienią politykę wobec Polski. Tyle, że każdy polityk liczy się z niekorzystnymi zmianami. To wchodzi w zakres jego profesjonalizmu. Dlatego musi prowadzić optymalną politykę w stosunku od atutów, jakie posiada. Może być zawsze gorzej. Ale to nie powód, by już dziś odwracać się placami do Ameryki, bo ta być może zmieni kiedyś kurs. Ważne , że teraz prowadzi dla nas kurs korzystny. Jeśli jest koniunktura, to trzeba z niej korzystać. Strachliwa bierność i brak inicjatywy nikogo jeszcze nie uczyniły bezpieczniejszym.

Parę tygodni temu po wizycie Andrzeja Dudy w Waszyngtonie jeden z portali w dramatycznym tytule ogłaszał, że wizyta ta spowoduje, iż rosyjskie wojska rakietowe wezmą na cel Polskę. Otóż te baterie rakietowe mają już od wielu lat na celownikach Warszawę, Kraków czy Gdańsk. Można na to reagować lękiem albo można zastanowić się, czym Rosjan odstraszyć. Mnie uczono, że instynktem wolnego człowieka jest wzmacnianie swojej obrony, a nie życie w lęku. Bardzo bym się ucieszył, gdyby podobny styl myślenia przyjął Piotr Zychowicz.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7cae2d5e67

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Wielka zasługa Ryszarda Petru

Odejście z polityki Ryszarda Petru skłania do kilku rzeczy. Przede wszystkim do chichotliwych podsumowań. Tutaj bezkonkurencyjny jest bezimienny autor mema, który decyzję twórcy Nowoczesnej skwitował portretem Ryszarda z podpisem: „Powstanę jak Penis z popiołów!". Co tu dużo gadać, celne.

Ale warto też spojrzeć na kończącą się karierę Petru w inny sposób. Jak na koniec epoki liberalnych guru, których mądrość była w III RP aksjomatem. Przypomnijmy sobie medialne fanfary, które towarzyszyły początkowi przygody „ucznia Leszka Balcerowicza" w polityce. W „Gazecie Wyborczej" zgłębiano tajniki sukcesu „polskiego Kennedy'ego". Na Twitterze niezliczeni polscy inteligenci domagali się, by miłośnik Madery jak najszybciej stanął na czele rządu, bo mu się należało za jego kompetencje i inteligencję.

Nadmuchany nad miarę balonik pękł z wielkim hukiem, bo Petru był wyjątkowym wręcz egzemplarzem, który miał problemy ze skleceniem choćby jednego zdania bez gafy, przejęzyczenia lub ogłoszenia, że PiS łamie Konstytucję 3 maja. Przez chwilę można było mieć nadzieję, że to jakiś nieszczęśliwy splot okoliczności i pecha, ale w końcu nawet najwięksi wielbiciele „polskiego Kennedy'ego" musieli zdać sobie sprawę, że ich guru jest dzbanem jakich mało.

To, że świat liberalnej ekonomii wydelegował do uzdrowienia świata polityki zagrożonego przez PiS takiego właśnie osobnika, jest wielce znaczące. I sporo mówi o jego potencjale. Znacząca jest też intelektualna bezradność tego środowiska wobec tego, co dzieje się obecnie w gospodarce. Kasandryczne przepowiednie kolejnych katastrof, które niestrudzenie głosi Leszek Balcerowicz, rozpaczliwie rozmijają się nie tylko z rzeczywistością, lecz także ocenami zachodnich ekspertów. Kiedy np. Leszek Balcerowicz wieścił kilka miesięcy temu krach w polskim sektorze bankowym, zdominowanym przez sektor państwowy, dosłownie dzień po jego przepowiedni ukazał się raport Europejskiego Urzędu Nadzoru Bankowego, uznający PKO Bank Polski za najlepiej przygotowany do ewentualnego kryzysu bank w UE. Bezduszne instytucje europejskie bywają okrutne.

Z kolei przed jesiennymi wyborami pojawiają się raporty światowych instytucji finansowych, prognozujące, że zagrożeniem dla wzrostu gospodarczego Polski mogłoby być zwycięstwo… liberalnej opozycji. To PiS jest dzisiaj dla zachodniej finansjery gwarantem tego, że pozytywny trend będzie kontynuowany. Jeszcze dwa lata temu – nie do pomyślenia.

I jest to w związku z tym doskonały moment na zejście Ryszarda Petru ze sceny. Warto docenić jego historyczną – a nie jedynie memologiczną – zasługę. Dzięki niemu żaden liberalny guru nie będzie już z automatu traktowany jak geniusz. Może dzięki Ryśkowi nawet już nie będzie żadnego liberalnego guru. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Nadciąga terror

Chociaż werdykt Trybunału Konstytucyjnego w sprawie drukarza działającego w zgodzie z własnym sumieniem wygląda na triumf zdrowego rozsądku nad poprawnością polityczną, zwycięstwo może okazać się pyrrusowe. Coraz więcej zdarzeń w tej materii budzi niepokój, choćby zwolnienie przez koncern Ikea pracownika, który dał wyraz swoim przekonaniom w kwestii homoseksualizmu.

Moment przekroczenia granic nadtolerancji już nadszedł

Żeby było jasne, nie nawoływał do agresji, posługując się wyłącznie cytatami z Pisma Świętego, ale nie uchroniło go to przed oskarżeniem o mowę nienawiści. Co prawda w Polsce stracił jedynie pracę. W innym, bardziej „postępowym" kraju trafiłby do więzienia. Jakże daleko odbiegliśmy od czasów, gdy tolerancja oznaczała: żyć i pozwolić żyć innym. Sto lat temu pederastia karana była więzieniem, w wielu krajach groziła za nią kara śmierci (choćby w nazistowskich Niemczech). Poczucie człowieczeństwa nakazywało wstawić się za dyskryminowanymi. Po wykreśleniu przez Światową Organizację Zdrowia (skądinąd za pomocą rozmaitych szwindli) homoseksualizmu z listy chorób (czytaj zboczeń) wydawało się, że cel równego traktowania został osiągnięty. A przecież był to jedynie początek. Przymus publicznej afirmacji, zgoda na śluby, adopcje dzieci przez homoseksualistów, karanie za krytykę lub sugerowanie możliwości leczenia. Daleko zaszliśmy.

Historia zna jednak podobne przypadki. Przykładowo protestanci początkowo domagali się tolerancji, gdy urośli w siłę, zaczęli stosować przemoc wobec katolików. Skądinąd palenie czarownic na stosie należy do ich dorobku. Socjaliści też początkowo walczyli o swobody, a skończyli na budowaniu łagrów. Tyle że historia dostarcza również przykładów, jak kończą się podobne eksperymenty.

W Polsce doświadczamy zewsząd zdrowych odruchów solidarności, których na Zachodzie próżno by się spodziewać. Do czasu! Obawiam się, że moment przekroczenia granic nadtolerancji już nadszedł i można przewidzieć reakcje. Nie trzeba nawet czekać na światowy kalifat, w którym lesbijki ukamienują, a gejów w najlepszym razie zmienią w eunuchów. Pogoda zacznie się zmieniać nawet w postzachodniej cywilizacji. Wystarczy, że będą wychodzić na jaw nagminne przypadki wykorzystywania dzieci oddanych do adopcji parom homoseksualnym (co uważam za nieuchronne) i media w końcu wyplują knebel, lawina ruszy... Bardzo chciałbym się mylić. ©℗

eprasa.pl 7cae2d5e67

Niemieckie 447

dr hab. nauk prawnych
Rafał Adamus

Za zniszczone mienie ofiar Holokaustu może odpowiadać wyłącznie państwo niemieckie

Ustawa Justice for Uncompensated Survivors Today budzi wiele kontrowersji. W Polsce znana jest pod nazwą „ustawy 447" (od numeru druku). Ma ona na celu wsparcie przez administrację USA rewindykacji mienia ofiar Holokaustu. Zasadnicza wątpliwość prawna sprowadza się do pytania, kto i w jakim zakresie ma być beneficjentem tej rewindykacji. Bezpośrednich ofiar Holokaustu do dziś żyje niewiele, a wobec ogromu Zagłady liczba ich prawnych spadkobierców (nawet w kolejnych pokoleniach) też jest stosunkowo nieliczna. Niemniej ustawa 447 w formie klauzuli generalnej rozszerza listę beneficjentów rewindykacji w taki sposób, że pojawiają się fundamentalne wątpliwości prawne i moralne.

Na podstawie ustawy 447 do listopada 2019 r. Departament Stanu ma przedstawić odpowiednim komisjom Kongresu jednorazowy (co nie przekreśla drogi do dalszej legislacji) raport o stanie realizacji tzw. deklaracji terezińskiej. Deklaracja ta dotyczy rewindykacji mienia ofiar Holokaustu. Została podpisana 30 czerwca 2009 r. przez 46 państw. Wśród sygnatariuszy deklaracji terezińskiej są m.in. Rzeczpospolita Polska i Niemcy. Deklaracja terezińska jest miękkim prawem i nie ma mocy wiążącej.

Ustawa 447 jest bardzo krótka jak na polskie i europejskie standardy legislacji. Odnosi się ona do tzw. covered countries – sygnatariuszy tzw. deklaracji terezińskiej. Użyty w ustawie termin „wrongfully seized or transferred" obejmuje konfiskaty, wywłaszczenia, nacjonalizacje, przymusową sprzedaż lub przeniesienie mienia pod przymusem „w okresie Holokaustu lub w okresie rządów komunistycznych".

TREŚĆ USTAWY

Sprowadzenie do wspólnego mianownika czasów Holokaustu i okresu rządów komunistycznych w Europie Środkowo-Wschodniej ze względów historycznych jest nieporozumieniem. Pomiędzy podmiotami prawa publicznego odpowiedzialnymi za utratę mienia w czasach Holokaustu i w czasie rządów komunistycznych zachodzi różnica. Holokaust był zbrodnią przeciwko narodowi żydowskiemu organizowaną przez nazistowskie państwo niemieckie. Rządy komunistyczne po 1945 r. w państwach Europy Środkowej i Europy Wschodniej nie miały na celu eksterminacji jakiejkolwiek grupy narodowościowej. Konfiskata mienia przez rządy komunistyczne dotyczyła wszystkich obywateli państwa komunistycznego – właścicieli mienia bez względu na narodowość.

Kluczowym pojęciem ustawy 447 jest tzw. raport, w którym zostaną opisane stan przepisów krajowych i praktyka w zakresie identyfikacji mienia ofiar Holokaustu, jego zwrotu lub wypłaty odszkodowań. Ustawa 447 formułuje trzy płaszczyzny, na których miałaby odbywać się rewindykacja mienia.

Po pierwsze, ustawa 447 odnosi się do zwrotu prawowitym właścicielom wszelkiej własności, w tym religijnej, lub mienia wspólnoty, które zostało bezprawnie odebrane.

Po drugie, jeśli zwrot mienia nie byłby możliwy, wówczas ustawa 447 odnosi się do zapewnienia porównywalnego mienia zastępczego lub wypłaty sprawiedliwej rekompensaty prawowitemu właścicielowi.

Po trzecie, w przypadku mienia, co do którego nie ma spadkobierców, ustawa 447 odnosi się do zapewnienia innej własności lub rekompensaty, „aby pomóc potrzebującym osobom, które przeżyły Holokaust, wesprzeć edukację Holokaustu oraz w innych celach". Sformułowanie „w innych celach" jest pojęciem niebezpiecznie otwartym. Ustawa 447 nawet nie podejmuje też próby doprecyzowania, kto i z jakich przekonujących racji prawnych

eprasa.pl 7cae2d5e67

Protest przeciw amerykańskiej ustawie 447 w maju w Warszawie
FOT. MATEUSZ WŁODARCZYK/FORUM

miałby być dysponentem rekompensaty zamiast ofiar Holokaustu i ich prawowitych spadkobierców.

We wspomnianym raporcie ma zostać opisane, w jaki sposób inne suwerenne państwa przygotują swoje prawo na potrzeby rewindykacji mienia ofiar Holokaustu i jak to prawo będzie działało w praktyce (w amerykańskiej nauce prawa popularna jest koncepcja „law in books and law in action").

MOC PRAWNA

Ustawa 447 jest wewnętrznym aktem prawa USA. Adresatem obowiązków nałożonych przez ustawę 447 jest administracja amerykańska. Ustawa nie jest aktem prawa międzynarodowego publicznego. Nie ma rangi umowy międzypaństwowej podlegającej ratyfikacji. Absolutnie nie ma mocy obowiązującej na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej jako źródło prawa (art. 87 Konstytucji). Ustawa 447 nie jest ani nie może być źródłem roszczeń cywilnoprawnych kogokolwiek przeciwko komukolwiek. Nie oznacza to jednak, że nie ma ona żadnego znaczenia.

Z uwagi na mocarstwową pozycję USA (Pax Americana) ustawa 447 może być źródłem poważnych politycznych nacisków. Ewentualny wyrok sądu amerykańskiego motywowany treścią ustawy 447, sprzeczny z podstawowymi zasadami polskiego porządku prawnego, nie powinien zostać uznany w Polsce z uwagi na klauzulę porządku publicznego.

WYŁĄCZNA ODPOWIEDZIALNOŚĆ NIEMCÓW

Ustawa 447 nie eksponuje okoliczności, że za Holokaust jest odpowiedzialny wyłącznie jeden podmiot międzynarodowego prawa publicznego. Ze względów moralnych i historycznych absolutnie nie można o tym zapominać. Niepamięć jest grzechem śmiertelnym przyrównywanym do powtórzenia zbrodni. Wybaczenie? Według Hannah Arendt niemożliwe jest wybaczenie radykalnego zła. Primo Levi uważa, że nie jest możliwe wybaczenie tym, którzy o to nie proszą. Dysponentem prawa do wybaczenia są ofiary. Niemniej zaakcentowanie podmiotu odpowiedzialnego za Holokaust byłoby istotne także ze względów prawnych. Chodzi przecież o odpowiedzialność majątkową za mienie utracone w wyniku Zagłady. Ustawa 447 odnosi się do innych podmiotów prawa publicznego międzynarodowego i do finasowania edukacji o Holokauście czy pokrywania „innych celów".

Odpowiedzialne za Holokaust, w kategoriach prawnych, było nazistowskie państwo niemieckie. W międzynarodowym prawie publicznym obowiązuje zasada kontynuacji. Zmiana formy władzy nie oznacza powstania ab ovo nowego państwa. RFN była sukcesorem III Rzeszy.

Nazistowskie państwo niemieckie samo organizowało zbrodnię Holokaustu m.in. na okupowanych terenach Polski. Z punktu widzenia międzynarodowego prawa publicznego za zbrodnie przeciwko obywatelom polskim pochodzenia żydowskiego, popełnione przez kogokolwiek na terenach okupowanych, odpowiadało wyłącznie nazistowskie państwo niemieckie (art. 43 konwencji haskiej z 1907 r.). Wynika to z oczywistego faktu likwidacji polskich władz państwowych. Rząd polski na uchodźstwie informował światową opinię publiczną o zbrodniach niemieckich przeciwko Żydom. Nie można zapominać, że w czasach bezprzykładnego terroru wielu Polaków z narażeniem życia własnego i rodziny pomagało Żydom. Karą dla Polaka za pomoc była śmierć. Obraz tamtych czasów nie jest czarno-biały. Jest w nim Irena Sendlerowa jako symbol wielu tych, którzy pomagali. Jest w nim „Campo di Fiori" Czesława Miłosza – karuzela na tle płonącego getta. Nie można jednak porównywać zorganizowanej, systemowej zbrodni realizowanej przez okupanta z przestępstwami kryminalnymi pojedynczych obywateli okupowanego terytorium.

Czy Niemcy nie wyczerpały swojej odpowiedzialności majątkowej za zbrodnie III Rzeszy? Sprawy reparacji wojennych regulowała wcześniej konwencja haska z 1907 r. Niemniej jej autorzy nie przewidywali koszmaru o rozmiarach Holokaustu. Odpowiedzialność za straty wywołane przebiegiem I wojny światowej uregulował ad hoc traktat wersalski. Po II wojnie światowej sprawę reparacji uregulowały konferencje z Poczdamu, Jałty oraz tzw. pokój paryski (1947). Przyjętą wówczas zasadą kierunkową odnośnie do reparacji było ich egzekwowanie do wysokości możliwości płatniczych Niemiec. RFN wypłacała odszkodowania także na innych podstawach. O ile jednak nadal pozostają niezaspokojone roszczenia ofiar Holokaustu, o tyle

eprasa.pl 7cae2d5e67

o wygaśnięciu odpowiedzialności nie powinno być mowy.

W konsekwencji za mienie ofiar Holokaustu zniszczone w czasie Holokaustu i działań wojennych II wojny światowej odpowiada państwo niemieckie.

WYBIÓRCZE TRAKTOWANIE ROSZCZEŃ

Ustawa 447, odnosząc się w pewnym sensie do roszczeń o charakterze cywilnym, obejmuje swoim zasięgiem tylko niektóre z nich. Z punktu widzenia prawa cywilnego Holokaust był bezprecedensowym deliktem – czynem zabronionym rodzącym solidarną odpowiedzialność cywilną za szkodę nazistowskiego państwa niemieckiego i jego funkcjonariuszy. Pozbawienie życia, rozstrój zdrowia, uszkodzenie ciała itp. skutkuje powstaniem roszczeń cywilnoprawnych. Można przyjąć, że zarzut przedawnienia roszczenia deliktowego mógłby zostać uznany za nieskuteczny.

Pominięcie przez ustawę 447 roszczeń cywilnych możliwych do podniesienia przeciwko państwu odpowiedzialnemu za Holokaust jest nieproporcjonalne, jeżeli oczekuje się finansowania edukacji o Holokauście czy finansowania „innych celów".

ZWROT MIENIA I ODSZKODOWANIA

Za zniszczone mienie ofiar Holokaustu może odpowiadać wyłącznie państwo niemieckie. To ono powinno przejąć wyłączny ciężar – jak to ujmuje ustawa 447 – „zapewnienia porównywalnego mienia zastępczego lub wypłaty sprawiedliwej rekompensaty prawowitemu właścicielowi zgodnie z zasadami sprawiedliwości i szybkiego procedowania". Mieści się to w tzw. ogólnych zasadach prawa uznanych przez narody cywilizowane.

Konfiskata mienia obywateli polskich pochodzenia żydowskiego została dokonana przez nazistowskie państwo niemieckie.

W okresie PRL ustawa z 6 maja 1945 r. o majątkach opuszczonych i porzuconych definiowała majątek opuszczony jako wszelki majątek, który w związku z wojną nie znajdował się w dyspozycji jego właściciela, następcy prawnego lub osoby reprezentującej ich interesy, a także majątek zajęty lub skonfiskowany przez byłe władze okupacyjne. Mienie obywateli polskich pochodzenia żydowskiego było zatem majątkiem opuszczonym. Ustawa umożliwiała uprawnionym osobom (właścicielowi, określonym krewnym, małżonkowi) przywrócenie posiadania majątku opuszczonego, a po 10 latach nabycie jego własności przez zasiedzenie. Ustawa przewidywała w określonych terminach nabycie własności majątku przez Skarb Państwa. Ustawa nie dyskryminowała jakiejkolwiek narodowości. Nabycie własności majątków przez Skarb Państwa po długim okresie, w przypadku bezczynności osób uprawnionych lub wobec ich braku, było rozwiązaniem dopuszczalnym.

W tym miejscu pochwała komunistycznej legislacji musi się urwać. Podstawę do roszczeń mogą stanowić inne akty prawne PRL. Przepis art. 42 ustawy z 6 maja 1945 r. stanowił, że ustawa nie narusza dekretu z 6 września 1944 r. o przeprowadzeniu reformy rolnej, dekretu z 14 grudnia 1944 r. o przejęciu niektórych lasów na własność Skarbu Państwa ani innych przepisów prawa, na podstawie których państwo może dokonać wywłaszczeń.

Nieruchomości gruntowe i inne mienie wywłaszczone przez władze komunistyczne powinny podlegać zasadom reprywatyzacyjnym wspólnym dla wszystkich poszkodowanych. Jeżeli aparat represji komunistycznych nie był skierowany przeciwko jakiejkolwiek grupie etnicznej, to brak jest podstaw do uprzywilejowania w tym zakresie osób narodowości żydowskiej. Powinna obowiązywać zasada równego traktowania wszystkich poszkodowanych przez państwo komunistyczne. Reprywatyzacja jest obecnie w Polsce tematem niedokończonym.

Rzeczpospolita może ponosić wyłącznie odpowiedzialność za wywłaszczenia dokonane w PRL, ale bez faworyzowania jakiejkolwiek grupy narodowej

Potrzebne jest zastrzeżenie uwzględniające uwarunkowania historyczne i cywilistyczne zasady rozliczania nakładów na cudzą rzecz. Budynki – przed wywłaszczeniem gruntów przez rządy komunistyczne – w wielu przypadkach zostały zrównane z ziemią, za co ponosi odpowiedzialność nazistowskie państwo niemieckie. Nakłady na odbudowanie budynków poniósł kto inny. Ewentualne roszczenie reprywatyzacyjne (odnosząc się do ewentualnego przyszłego stanu prawnego, niezależnie od innych przyjmowanych wcześniej rozwiązań legislacyjnych) nie powinno obejmować wartości nakładów na grunt poniesionych przez państwo polskie lub inne podmioty.

BRAK PODSTAW DO ROSZCZEŃ

Zupełnie niezrozumiałe jest zastrzeżenie w ustawie 447, że w przypadku mienia, co do którego nie ma spadkobierców, należałoby oczekiwać zapewnienia przez wszystkich sygnatariuszy deklaracji terezińskiej innej własności lub rekompensaty, aby pomóc potrzebującym osobom, które przeżyły Holokaust, wesprzeć edukację na temat Holokaustu oraz w innych celach.

Polska nie była katem, ale ofiarą II wojny światowej. W jej interesie leży edukacja dotycząca Holokaustu – bardzo potrzebna, co pokazuje już sama lektura ustawy 447 – niemniej w ramach własnej, suwerennej polityki. Roszczenie o przymusowe pokrycie kosztów takiej edukacji i finansowanie „innych celów" nie powinno być kierowane do ofiar. Masowe morderstwa obywateli polskich pochodzenia żydowskiego metodycznie przeprowadzone przez nazistowskie państwo niemieckie były zbrodnią także przeciwko państwu polskiemu.

Rzeczypospolita jako sukcesorka PRL może ponosić wyłącznie odpowiedzialność za dokonane w PRL wywłaszczenia majątku swoich obywateli, ale równą wobec wszystkich poszkodowanych, bez faworyzowania jakiejkolwiek grupy narodowościowej i bez jakiegokolwiek związku z Holokaustem.

Wobec powszechnej zasady prawa cywilnego o przejmowaniu mienia bezdziedzicznego swych obywateli przez państwo (które było dramatycznie zniszczone w wyniku II wojny światowej) nie istnieje uzasadnienie dla żądań osób nielegitymujących się jakimkolwiek tytułem prawnym do państwa, które przejęło mienie bezdziedziczne.

Postawiono już wcześniej pytanie: Co zrobiły i co mogły zrobić amerykańskie środowiska żydowskie w czasie II wojny światowej, aby pomóc Żydom mordowanym przez nazistowskie państwo niemieckie? Po raporcie Jana Karskiego nie mogło być wątpliwości co do faktu i rozmiarów Zagłady. Czy obecne środowiska żydowskie mają moralne prawo do oczekiwania rekompensaty m.in. „na inne cele" od państw będących ofiarami II wojny światowej?

Ustawa 447 nazywa się ustawą o sprawiedliwości. Jak widać, jest to pojęcie względne.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7cae2d5e67

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

ZDOBYŁEM MONTE CASSINO!
PORUSZAJĄCY WYWIAD Z ŻOŁNIERZEM ARMII ANDERSA

Piotr Zychowicz – **Wołyń zdradzony**
Szokujące dokumenty podziemia z Galicji Wschodniej

Sławomir Cenckiewicz – **Berling, won z pomnika!**
Mikołaj Iwanow – **Luksusowe życie Stalina**
Sławomir Koper – **Bestialskie zabójstwo żony magnata**
Gerald Posner – **Diabelskie eksperymenty dr. Mengelego**
Marcin Bartnicki – **Tajemnica zatonięcia „Kurska"**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 7cae2d5e67

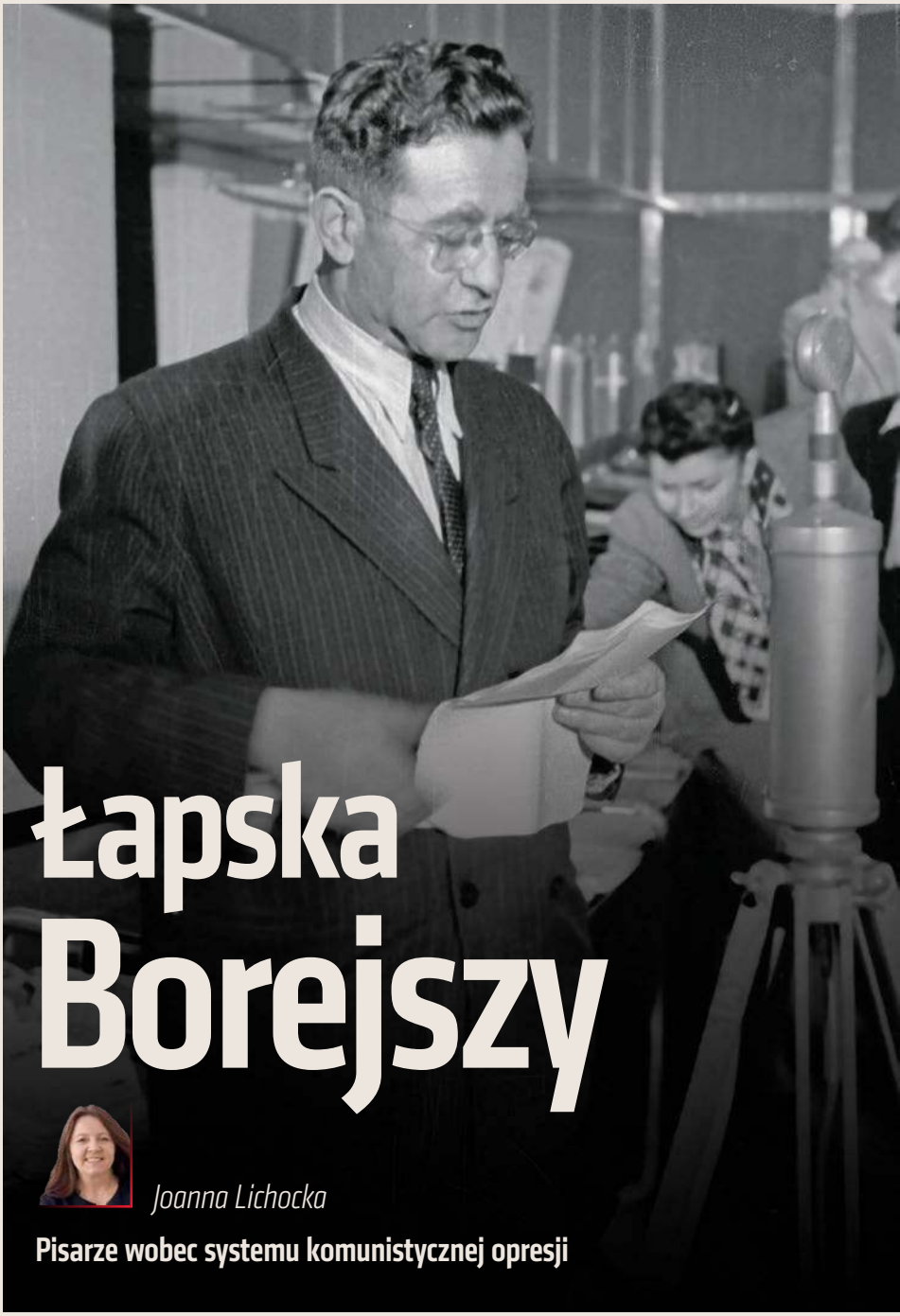

Łapska Borejszy

Joanna Lichocka

Pisarze wobec systemu komunistycznej opresji

FOT. PAP

Na targ w Gołkowie, gdzieś niedaleko naszej budki z artykułami piśmiennymi, wjechał czołg. Było to w styczniu, wtedy gdy Rosjanie zajęli Warszawę – mówił mi poeta Jarosław Marek Rymkiewicz we wrześniu 2018 r. – Czołg był sowiecki, wjechały za nim dwa czy trzy samochody, wysiedli żołnierze w polskich mundurach. Na czapkach mieli orzełki. Zatrzymali się, staliśmy milcząco, przyglądając się tym nadjeżdżającym czołgistom. Nie było żadnego entuzjazmu. Ojciec powiedział: „Nie wierz temu, to są Rosjanie, którzy się przebrali za Polaków".

Poeta zapamiętał to dobrze, zrobiło to na chłopcu, który przecież chciał zobaczyć wreszcie polskie wojsko, to: „przebranych za Polaków", silne wrażenie. Dziesięcioletni Jarek z 45-letnim wtedy ojcem byli świadkami zajęcia Gołkowa przez Pierwszą Warszawską Brygadę Pancerną im. Bohaterów Westerplatte. Było to 17 stycznia 1945 r.

– Jasno z tego wynika – mówił mi poeta – że ojciec nie miał pojęcia, co się działo w Rosji, nie wiedział o armii Berlinga. Bo przecież to byli jacyś polscy chłopcy z Rosji, berlingowcy.

Nie jestem do tej interpretacji poety – o braku zrozumienia sytuacji przez ojca – przekonana. Mogło być inaczej. Władysław Rymkiewicz mógł chcieć jakoś przygotować syna na to, co nadchodziło. Powiedział, dobitnie, tak, by chłopiec zapamiętał i – by nie wierzył. Ostrzegł – patrz, to jakieś wielkie kłamstwo z użyciem narodowego sztafażu, to Rosjanie, którzy przebrali się za Polaków.

W tym przekonaniu ojciec poety nie był odosobniony. Potwierdza to wspomnienie Janusza Rolickiego, komunistycznego publicysty, ale wywodzącego się z patriotycznej, antykomunistycznej rodziny, zawarte w książce „Wańka-wstańka":

„Początkowo w Skarżysku stacjonowali wyłącznie żołnierze sowieccy. W maju po raz pierwszy zobaczyłem żołnierzy w polskich mundurach. Stałem właśnie na ulicy z kolegami. Oni się ucieszyli: O, polscy żołnierze. A ja przekazałem im to, co podsłuchałem u dorosłych. »To nie są polscy żołnierze. Polscy żołnierze są za granicą w Londynie«".

Nie wiemy, jaki był los tych kilkudziesięciu żołnierzy w mundurach z polskimi orzełkami przyjętych z rezerwą przez mieszkańców Gołkowa. Ta sama brygada od lata 1945 r. walczyła z niepodległościowym podziemiem. Bili się przeciw „bandom AK" ramię w ramię z oddziałami NKWD. Walczyli – w lipcu i sierpniu 1945 r. – z żołnierzami z 5. Brygady Wileńskiej. To w tych walkach ranny został zastępca „Łupaszki" – kpt. Lech Beynar, Paweł Jasienica.

W tym czasie inne doświadczenie dla 10-letniego chłopca było jednak nie mniej dojmujące. Między wyjściem Niemców a wejściem na dobre armii sowieckiej było kilka, kilkanaście dni, gdy nie było niczego.

– Była wielka bieda, jedyne moje przeżycie głodu w życiu – mówi poeta.

Siostra poety w „Kinderszenen starszej siostry" opisała to tak: „Koło stycznia 1945 roku. Niemcy się wycofywali, wchodziła Armia Radziecka. Niczego nie można było kupić, pieniądze obowiązujące w Generalnej Guberni stawały się makulaturą, nie miały już pokrycia. Wtedy przyszedł tydzień czy dwa autentycznego głodu. Pewnego dnia znaleźliśmy wysuszoną bułkę. Z dziurami wygryzionymi przez myszy. Rzuciliśmy się na nią, mama podzieliła ją, opaliła nad świecą, żeby te dziury zdezynfekować".

W „Hańbie domowej" poeta mówił Jackowi Trznadlowi, że świadomie dla niego rozgrywająca się historia „zaczyna się dopiero z wkroczeniem Rosjan. Mam z tego czasu kilka nieprzyjemnych wspomnień. Miałem już wtedy poczucie, że na moich oczach rozgrywa się jakaś historia, wkracza wojsko, wjeżdżają czołgi, jakiś oficer

eprasa.pl 7cae2d5e67

NKWD przychodzi i wypytuje sąsiadów, kim jest ta pani doktor z Warszawy. Narasta jakaś groza, ale przedtem działo się coś na kształt groźnego snu dzieciństwa". Ten enkawudzista, wypytujący sąsiadów o mamę, żądający dokumentów, wyjaśnień, budził tę samą grozę co wcześniej oficer niemiecki. Strach zmienił tylko kolor i kształt munduru.

ZAPROSZENIE DO ŁODZI

Zawiadomienie przez Jana Brzechwę Rymkiewiczów, że ma dla nich w Łodzi pracę i mieszkanie, było niespodziewane i w sytuacji powojennej katastrofy bytowej rodziny – cudowne. Warszawa była zrównana z ziemią, kamienica na Koszykowej wypalona po powstaniu stała, ale mieszkanie nie nadawało się do użytku. Mama poety, gdy tylko było to możliwe, pojechała do Warszawy, wśród gruzów dotarła do domu i to wtedy – jak wspomina poeta – odnalazła z pozostawionego dobytku jedynie trzy albumy z fotografiami rozrzucone w piwnicy z ogołoconej przez Niemców skrytki wykopanej w ziemi. Nic nie wskazywało na to, by była szansa na szybki powrót do Warszawy. List od Brzechwy – przyniesiony przez nieznajomego mężczyznę do Gołkowa w lutym – zawierał kilka kluczowych zdań. Jest praca w wydawnictwie Czytelnik, utworzony w Lublinie państwowy koncern wydawniczy ma teraz siedzibę w Łodzi, szefem jest przedwojenny komunista Jerzy Borejsza, ja jestem prawnikiem centrali, ty, Władku, będziesz ze mną pracował, potrzebują prawników, Hanna będzie lekarzem związku literatów, zabezpieczyłem mieszkanie, trzy pokoje, przyjeżdżajcie.

Najpierw pojechała Hanna – sprawdzić wszystko. Było przedwiośnie. – Już jeździły pociągi, mama pojechała, stojąc na stopniach wagonu, opowiadała nam o tym, że tak podróżując, dojechała i tak wróciła, załatwiła wszystko – wspomina poeta.

Mieszkanie! Dla pisarzy i pracowników Czytelnika nowa władza przeznaczyła trzy domy: przy ulicy Bandurskiego 8 (dziś to Mickiewicza), przy ul. Kościuszki 98 i 99 oraz Żeromskiego 21. Były to eleganckie kamienice z lat 30., opuszczone przez Niemców – mieszkali tam, po wypędzeniu z dzielnicy prawowitych mieszkańców, oficerowie gestapo i SS. Zimą 1945 r. opuszczali Łódź w pośpiechu – zostawili mnóstwo rzeczy, nie zdołali ukraść wszystkiego. Nie dotarłam do żadnej decyzji władz miasta o przekazaniu tych trzech kamienic – cała dokumentacja Czytelnika z pierwszych lat jego istnienia została zniszczona, a ja – przyznaję się – nie przeszukałam archiwum w Łodzi, by znaleźć w jakichś zachowanych dokumentach miasta taką decyzję. Wyglądać jednak mogła i najpewniej wyglądała tak jak ta dotycząca Uniwersytetu Łódzkiego opublikowana w książce Karoliny Kołodziej i Marcina Kronenberga „70 lat Uniwersytetu Łódzkiego w przestrzeni miejskiej Łodzi": „Na mocy uchwały Miejskiej Rady Narodowej z dnia 20 marca 1945 roku Główny Urząd Mieszkaniowy przydziela do dyspozycji Uniwersytetu dom przy ulicy Narutowicza nr 60 wraz z prawem użytkowania mebli i wszystkich ruchomości tamże znajdujących się".

W tym czasie w Łodzi znalazł się także wuj Bohdan Baranowski – była to połowa marca. Podobnie jak wielu pracowników naukowych uczelni Warszawy Baranowski szukał w Łodzi pracy, punktu zaczepienia, mieszkania. Był po doktoracie z historii zrobionym przed wojną i od razu zaangażował się w tworzenie Uniwersytetu Łódzkiego – został najpierw asystentem, a potem adiunktem prof. Ludwika Kolankowskiego i tworzył wydział historii nowego uniwersytetu. Tymczasem władza kusi pisarzy i twórców. Zajmuje się tym osobiście Jerzy Borejsza, ale także Józef Zaremba, w Czytelniku dyrektor wydawniczy – jego rolą było zawieranie umów z pisarzami i poetami, odnajdywał ich i „łowił" dla wydawnictwa. Im bardziej znane i uznane przed wojną nazwisko, tym lepiej.

Zofia Nałkowska notuje w swoim „Dzienniku" pod datą 10 lutego 1945 r. (tego dnia przyjechali do niej w mundurach Jerzy Putrament i Jerzy Borejsza): „Borejsza proponuje, bym była prezesem Komisji do badania zbrodni w Oświęcimiu. W Łodzi powstają pisma, jest dom z mieszkaniami poniemieckimi dla pisarzy. Chcą mię tam zabrać samochodem".

Najbardziej prestiżową lokalizację miała kamienica przy ul. Bandurskiego 8 – to w niej właśnie przydzielono mieszkanie Zofii Nałkowskiej. Mieszkali tam także Pola Gojawiczyńska, Jan Kott, Adam Ważyk, Leon Pasternak, Adolf Rudnicki, Stefan Żółkiewski, Stanisław Dygat, Władysław Broniewski, Paweł Hertz, Stanisław Jerzy Lec, Artur Sandauer, Kazimierz Brandys i Jan Brzechwa. Przydział przez władze miasta nie zawsze był ostateczny. Na Brzechwie – jak pisze Mariusz Urbanek w książce „Brzechwa nie dla dzieci" – zamianę mieszkania w tej samej kamienicy wymusił działacz PPR Mieczysław Jastrun. Bardziej spodobało mu się ono od tego, które sam dostał, a jako człowiek stalinowskiej elity mógł to zrobić skutecznie.

– Gdy mama przyjechała, to wszystkie mieszkania na Bandurskiego były zajęte, ale to przeznaczone dla nas, załatwione przez Brzechwę, było na Żeromskiego; duże mieszkanie na trzecim piętrze – mówił mi Jarosław Marek Rymkiewicz we wrześniu 2018 r. Wszystko było tak, jak napisał Brzechwa.

Wiosną zatem znów, na wynajętym wozie, rolwadze zaprzęgniętej w dwa konie, załadowanej tym, co udało się z wojny uratować, z siedzącymi na górze z ułożonych tobołów dwojgiem dzieci, mamą i tatą – ruszyli. Jechali co najmniej dwa dni – w „Rozmowach polskich latem 1983 roku" jest jakieś niejasne wspomnienie, że w czasie tej podróży „konie się ochwaciły", ale nic więcej na ten temat nie wiadomo. Wyraźne wspomnienie dotyczy czegoś innego.
– Gdzieś po drodze, już było ciemno, w jakimś miasteczku, chyba w Rawie Mazowieckiej, jak tylko wjechaliśmy, zatrzymali nas na rynku. Wzięli ojca na UB. Myśmy czekali. To było wiele godzin. Siedzieliśmy z mamą na wozie, oni przesłuchiwali ojca. Czekanie – ojciec wyjdzie czy nie wyjdzie. I mama nie wie, co robić. Zimno, marzec, najpóźniej kwiecień 1945. W końcu ojciec wyszedł – pojechaliśmy dalej. Pamiętam ten obraz – ojciec siedzi w milczeniu, lekko pochylony na wozie, nikt nic nie mówi. Z całej tej podróży naprawdę pamiętam tylko to – mówi Jarosław Marek Rymkiewicz – jak wzięli ojca, jak nie wiedzieliśmy, co się stanie. A potem jak podjeżdżamy na Żeromskiego 21, siedzę na szczycie tego wozu, wspaniała, elegancka kamienica, wyładowujemy się. Zaczyna się jakieś nowe życie, jakaś ziemia obiecana.

Czytelnik zapewniał przybywającym literatom nie tylko wygodne lokum i specjalne sklepy, lecz także najwyższe w kraju honoraria. Zajrzyjmy do książki Józefa Zaremby – „Było i tak, wspomnienia", gdzie bardzo oględnie – mamy lata 70., środek PRL – autor pisze o cenie, którą za tę ziemię obiecaną wyznaczono. „15 marca 1945 przybyliśmy do Łodzi […] przenieśliśmy się do ładnego dwupokojowego mieszkania przy ul. Bandurskiego, otrzymanego dzięki staraniom Borejszy […]. Dokonać musiałem, tak jak bardzo wielu, konfrontacji moich dotychczasowych poglądów". I jeszcze: „Aby włączyć się do nowego nurtu, trzeba było dokonać przewartościowania własnych poglądów i ocen". Zaremba, który oddał wielkie zasługi w ramach

eprasa.pl 7cae2d5e67

Polskiego Państwa Podziemnego dla ratowania polskich wydawnictw podczas okupacji, tego przewartościowania dokonał skutecznie – pełnił potem w PRL wiele wysokich funkcji. Jednak ślad, jak to było z tym „przewartościowaniem", utrwalony został we wspomnieniach Marii Dąbrowskiej. Pod datą 1 czerwca 1945 r. pisarka notuje:

„O 4 po południu przyszedł Zaremba – i omówił pobieżnie sprawę umowy ze mną o wznowienie »Nocy i dni«. Był trzeźwy, a więc śmiertelnie smutny i nierealny w omawianiu spraw konkretnych i realnych. Powiedział, że jest coraz trudniej. »Nie wiem, jak się z tych trudności wywikłam. Zdaje się, że chcą nas jednak upolitycznić, a pisarzy przeszkolić ideowo«. Potem dodał: »Mamy już właściwie regularną wojnę domową«".

Jak to wyglądało w przypadku rodziców poety? Jaka to była droga – od stycznia i targu w Gołkowie i tych słów do syna –„Nie wierz im" – do połowy marca, gdy zjechali do Łodzi, i potem kwietnia, maja i biurka radcy przy ul. Piotrkowskiej w siedzibie komunistycznego Czytelnika? Nie zostawili żadnych wspomnień na ten temat, możemy się tylko domyślać, odtwarzać ten proces, zbierając świadectwa epoki, zapiski, dzienniki takich jak oni przedstawicieli warstwy, z której się wywodzili, liberalnej, lewicowej inteligencji.

Zajrzyjmy zatem znów do pełnego wydania „Dzienników" Marii Dąbrowskiej. Wtedy, w 1945 r., raczej wszystko było jasne. 27 stycznia 1945 r. pisarka napisała tak: „To, co zrobiono teraz z Polską, przechodzi wszystko, co znane jest w dziejach jako cynizm i narzucenie narodowi obcej woli przemocą. I pomyśleć, że ten nieszczęsny naród po pięciu latach tak straszliwych ofiar, takiej niezłomnej walki i pracy podziemnej – przeciwko Niemcom – nie ma nawet tej satysfakcji, żeby historię tę cudowną walki i pracy, i ofiar ujawnić i laurem uwieńczyć. Bo tę naszą krew i walkę – opluto, zbezczeszczono, przekreślono. […] Jak śmiano – komentowała pisarka publikacje oskarżające Armię Krajową i rząd w Londynie o bierność, o współpracę z faszystami, których pełno było już w prasie przyniesionej na tankach Armii Czerwonej – jak poważono się tak śmiertelną obrazę rzucić w twarz narodowi, aby chwałę tej walki zdeptać. Aby cierpienia nasze straszne za nic mieć i jeszcze nam grozić. I pomyśleć, że wszystko odbywa się przy takiej samej obojętności świata jak rozbiory w końcu 18. wieku". Przeświadczenie o powtarzaniu się historii

Jarosław Marek Rymkiewicz o liberalnej inteligencji, która dała się wciągnąć stalinistom w ich grę, mówi w „Hańbie domowej" Jacka Trznadla FOT. GRZEGORZ ROGIŃSKI/FORUM

Dąbrowska notuje także 25 czerwca, gdy po kolacji u znajomych, na której spotkała „entuzjastów Rosji i reżymu" (był to dyrektor Banku Narodowego czy jakaś pani „wysoka figura w spółdzielczości"), zapisała: „Ci ludzie nie czują wcale policzka narodowi znów wymierzonego, jakim jest proces Szesnastu związany w dodatku złośliwie z konferencją polską w Moskwie ani jakim jest stworzenie »rządu jedności narodowej« poza granicami Polski. Jakże to przypomina czasy wywiezienia Sołtyka, gwarancji Katarzyny, Targowicy".

TRESOWANIE INTELEKTUALISTÓW

Czasem zirytowana Dąbrowska opisuje bez ogródek ludzi reżimu instalowanych tu przez Stalina w sposób na dzisiejsze czasy zupełnie niecenzuralny. „Ów Minister Skrzeszewski jest tłustym żydem z wielką dupą i cygarem w gębie. Nie umie po polsku. Mówi »wam zwieńczy w uszach Londyn«. Rosyjski żyd – Igor (?) Litwak" – tak pisze o ówczesnym ministrze oświaty w rządzie PKWN, który zdaniem Dąbrowskiej pokonał Nałkowską w jej staraniach o wyjazd na placówkę dyplomatyczną do Paryża, później był zaś ministrem spraw zagranicznych.

Nie, lewicowa, liberalna inteligencja, do której po równi należeli Dąbrowska i Władysław oraz Hanna Szulcowie, nie miała złudzeń, nie mogła mieć złudzeń co do istoty tego, co się dzieje.

Zerknijmy raz jeszcze do „Dzienników" Dąbrowskiej. Jak wyglądał ten proces adaptacji? Pod koniec 1944 r., na wieść o powołaniu w Lublinie komunistycznego rządu, autorka pisała tak: „Dziś odbyło się w Lublinie proklamowanie Komitetu Lubelskiego – jako tymczasowego rządu Polski. Rząd nowej Targowicy – siewca rozłamu i niezgody w narodzie – Z 15 ministerstw śród nich oczywiście Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego – polskie N.K.W.D – To wszystko też mnie szalenie zgryzło – Usankcjonowanie dawnych rozłamów Polski, a w każdym razie dawnych zaborów Rosji".

W sierpniu 1945 r. Dąbrowska pisze już jednak takie zdanie: „Rozumiem konieczność współpracy w kraju, bo Polski nie można bojkotować". Wcześniej, 17 lipca: „Rano w »Czytelniku« odbieram ratę zaliczki na »Noce i dnie« i zanoszę projekt scenariusza filmowego o Edwardzie Dembowskim". A jeszcze wcześniej, 29 maja: „Borejsza, zaproszony przeze mnie na wczoraj, nie przyszedł i dzisiaj. Wyraźne to lekceważące danie do poznania, że skoro nie pracuję w propagandzie – nie jestem potrzebna. Pieniędzy mam jeszcze na jakieś trzy tygodnie".

„Ci kusiciele – biesy w mundurach kościuszkowskich oficerów politycznych – byli subtelni i inteligentni" – to zdanie o tresowaniu intelektualistów i pisarzy przez Jerzego Borejszę z opisującej te czasy książki „My, reakcja" Piotra Semki brzmi literacko atrakcyjnie. Nie jest jednak prawdziwe.

„Borejsza był kimś w rodzaju reżysera ubezwłasnowolnienia Polski w latach 1944–1947, a na dodatek bratem Jacka Różańskiego, jednego z głównych

eprasa.pl 7cae2d5e67

rozgrywających w likwidacji polskiego podziemia AK-owskiego w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego" – uzupełnia na szczęście opis Semka. Nie, ludzie w tej robocie pacyfikowania Polaków nie byli wcale subtelni. Darujmy sobie opis brata Borejszy, kata Różańskiego. Zajrzyjmy do świadectwa z epoki, pokazującego w znacznie bardziej rzeczywistym świetle samego Borejszę. To w końcu na jego łaskę i niełaskę przyjechali do Łodzi rodzice poety.

O Borejszy pisze ciekawie w swoich wspomnieniach ze Lwowa spisanych w sierpniu 1941 r. – „Ossolineum pod rządami sowieckimi" – Tadeusz Mańkowski, jeden z ówczesnych pracowników zakładu, po wojnie dyrektor muzeum na Wawelu. Jak Moskale – po aresztowaniu i zamordowaniu w 1939 r. przez NKWD dyrektora Zakładu zarządzali Ossolineum? „Akcję reorganizacji dawnego Ossolineum, przekształcenia go w Filię Biblioteki Akademii Nauk (radzieckiej, z centralą w Kijowie – przyp. J.L.) i zlikwidowania zbiorów, które od niej miały być odłączone, powierzono w Kijowie na początku Jerzemu Borejszy. Był to komunista warszawski, trochę literat, trochę publicysta, o daleko sięgających ambicjach. Nie można powiedzieć jednak, by tym ambicjom odpowiadały także zdolności. Borejsza postarał się o docenturę na lwowskim uniwersytecie, przemianowanym na państwowy ukraiński uniwersytet im. Iwana Franki, wykładał na nim literaturę polską, ujętą pod kątem widzenia marksistowskiej doktryny, a w wykładach tych, jak opowiadano, mieszały mu się często np. dzieła Mickiewicza i Słowackiego, ku uciesze słuchaczy". Dalej Mańkowski określa Borejszę mianem „ambitnego żydowskiego dyletanta, który na komunizmie chciał robić karierę i sięgać po władzę". We Lwowie przygotowywał się do przyszłej operacji skomunizowania Polski. „Myślą jego jako kierownika lwowskiej Filii Biblioteki Akademii Nauk było zachowanie jej polskiego dotychczasowego charakteru i stworzenia z niej komunistycznego ośrodka polskiej inteligencji na terenie »Zachodniej Ukrainy« w tym celu, aby niosła pochodnię komunizmu dalej na ziemie polskie przy najbliższej sposobności, jaka miałaby się zdarzyć w toku wojny, wobec spodziewanej ekspansji politycznej i militarnej ZSSR". Mańkowski pisze też, że „w sposobie bycia starał się Borejsza nadać sobie cechy serdeczności i szczerości podszyte jednak chytrością. Szło mu o wybadanie nastrojów pracowników bibliotecznych, ich stosunku do władz sowieckich, o zyskanie ich dla regime'u; był szpiegiem i agitatorem komunistycznym równocześnie". Warto tu dodać, że we Lwowie uważano, iż Borejsza został zwerbowany przez NKWD jeszcze przed wrześniem 1939 r. – pisze o tym Aleksander Watt w „Moim wieku" czy mówi Teresie Torańskiej w „Onych" Jakub Berman.

Wróćmy do świadectwa Mańkowskiego: „Jako kierownik instytucji naukowej, obejmującej zbiory biblioteczne, wniósł w nią sporo zamieszania; różne jego poczynania nie znajdowały dalszego ciągu [...]. Umysł powierzchowny i niechlujny, Borejsza nie dorastał żadną miarą do poziomu kierownika jakiejkolwiek instytucji naukowej i był tylko jednym z typów, jakie wyrastają na tle sowieckiej polityki i sowieckich warunków życia. Z nauką w ogóle nie miał nic wspólnego i potrzeb jej nie rozumiał".

No i – proszę wybaczyć, nie mogę sobie darować – jeszcze jeden rys, charakterystyczny dla nowych stalinowskich elit, opisany przez Mańkowskiego: „Żaden z trzech sowieckich dyrektorów Ossolineum nie dbał o osobistą przyzwoitość w postępowaniu i zachowanie jakiego takiego moralnego decorum. Borejsza używał mebli, pościeli, naczynia stołowego wziętych z prywatnego mieszkania kuratora Lubomirskiego, pił jego wino i radził się jawnie, którą z jego porte-cigares ma sobie zabrać".

To w łapska takiego oto „subtelnego" stalinisty wpadli ludzie kultury, którzy próbowali się wtedy w zrujnowanej po kataklizmie Polsce jakoś ułożyć w nowej rzeczywistości. Dlaczego to poszło tak łatwo? Możemy spekulować, odpowiedzi nie znam. Na pewno ważna była obietnica, że będzie można pisać i wydawać. Porzucić nudny zawód radcy, wydawać w tysiącach, setkach tysięcy egzemplarzy. „Wydamy ci wszystko" – to przecież usłyszał Brzechwa. Podobne słowa mógł usłyszeć Władysław Rymkiewicz. A przecież ojciec Jarosława Marka Rymkiewicza marzył o tym, by żyć z pisarstwa, być znanym, czytanym pisarzem. Miał już gotowe nowe, napisane podczas okupacji z Bohdanem Baranowskim książki, projekty kolejnych.

„Ta cała rewolucja jest »łagodna«, kanty pościerane, trochę rzeczy niedopowiedzianych" – notuje Zofia Nałkowska w „Dzienniku" 4 maja 1945 r. Nawiązuje tym do artykułu Borejszy, który właśnie miał spełniać taką funkcję – budować pozór łagodności we wprowadzaniu totalitarnego systemu. O tym, że w owym czasie ta „łagodność" objawiała się aresztowaniami tysięcy ludzi, walką z oddziałami AK-owskimi i poakowskimi, zsyłaniem ludzi na Sybir, mordowaniem dowódców Polskiego Państwa Podziemnego, naturalnie nie mówiono. Jak jednak wiemy z pamiętników Dąbrowskiej – wszyscy zdawali sobie z tego sprawę.

NACISK SYSTEMU

Na to pytanie – dlaczego to się tak Moskalom udało, najpierw we Lwowie do 1941 r., potem w całej opanowanej Polsce – poeta nie ma odpowiedzi. W poświęconej temu „Hańbie domowej" Jacka Trznadla Jarosław Marek Rymkiewicz tak mówi o liberalnej inteligencji, która dała się wciągnąć stalinistom w ich grę: „Najchętniej przyjąłbym odpowiedź Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, że się bali, chcieli mieć dobrze, chcieli mieć samochody, zaszczyty, pieniądze. Powiadam, chciałbym przyjąć taką odpowiedź, ona oczyściłaby mi pole: byliście podli, mali, łapczywi, kiedy naród cierpiał i stał w kolejkach, a chłopcy siedzieli w więzieniach albo byli wysyłani na Sybir, to wyście na tym korzystali, najpodlej jak można na świecie. Ale wiem, że ta odpowiedź nie jest całkiem prawdziwa".

Trudno nie uciec od myśli, że w pewnym stopniu mówi także o swoich bliskich – ojcu, wkrótce wiceprezesie oddziału łódzkiego Związku Literatów Polskich i autorze m.in. komunistycznej „Kuźnicy", wuju Baranowskim, podporządkowanym zaleceniom marksizmu w naukach historycznych profesorze Uniwersytetu Łódzkiego. Dalej w „Hańbie domowej" Jarosław Marek Rymkiewicz mówi tak: „Trzeba szukać tej odpowiedzi w sile systemu, w analizie systemów totalitarnych dwudziestego wieku, w ich działaniu. Trzeba podejść do tej odpowiedzi z zupełnie innej strony. To niewątpliwie był wielki nacisk, ten cały system propagandowo-doktrynalny, i nacisk sytuacji historycznych, którymi się posługiwał ten system dla swoich celów. Przecież to zagarniało także ludzi szlachetnych, także mądrych, nie tylko łajdaków, nie tylko tych, co się bali".

Zatrzymajmy się tu. Na razie mamy późną wiosnę 1945 r. Rzeczy rozpakowane, mieszkanie urządzone, dzieci zapisane do szkoły.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Tekst jest fragmentem powstającej książki o poecie z Milanówka.

eprasa.pl 7cae2d5e67

Piotr Semka z Berlina

Jeśli Republika Weimarska była takim rajem, to dlaczego naziści tak łatwo zdobyli władzę?

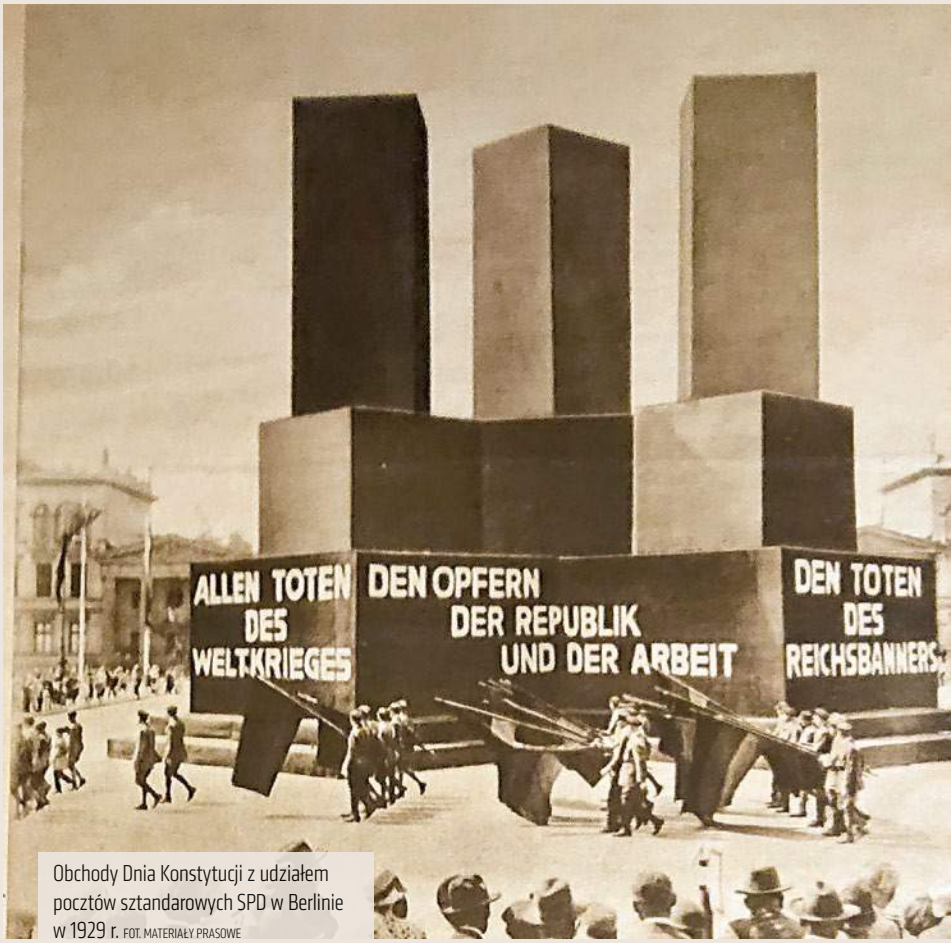

Obchody Dnia Konstytucji z udziałem pocztów sztandarowych SPD w Berlinie w 1929 r. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Weimar uszminkowany

Bonn to nie Weimar – te słowa powtarzał po wojnie kanclerz Konrad Adenauer. Twórca Republiki Federalnej Niemiec podkreślał, że nowa demokracja nie może popełnić wszystkich błędów z lat 20. i 30. Rozbicia Reichstagu na wiele małych partyjek i braku ostrej reakcji na agresję ugrupowań skrajnych z prawa i lewa. W powojennych zachodnich Niemczech Republika Weimarska odgrywała rolę negatywnego przykładu demokracji, która nie potrafiła ani się sprawnie rządzić, ani się obronić. W komunistycznej NRD dla odmiany demokracja weimarska była piętnowana za zdradę ideałów rewolucji przez socjaldemokratów i klasowy ucisk. Teraz, w setną rocznicę uchwalenia w Weimarze konstytucji pierwszej niemieckiej demokracji, trendsetterzy polityki historycznej Niemiec postanowili Weimar zrehabilitować.

Wielka wystawa „Weimar: istota i wartość demokracji" w Niemieckim Muzeum Historycznym w Berlinie została otwarta z pełnym błogosławieństwem najwyższych władz.

Inaugurację ekspozycji prezydent RFN Frank-Walter Steinmeier uczcił uroczystym wieczorem w prezydenckim pałacu, wystawa zaś zgromadziła elitę artystyczną. Znany aktor Matthias Brandt czytał urywki wspomnień ówczesnego bon vivanta, ale i dyplomaty hrabiego Harry'ego Kesslera i Tomasza Manna. A inna para aktorów: Angela Winkler i Christopher Nel śpiewała utwory z „Opery za trzy grosze" Brechta. Jak donosił dziennik „Frankfurter Allgemeine Zeitung", Frank-Walter Steinmeier w swoim wystąpieniu „wyczarował dynamikę lat 20., dwuznaczną, opalizującą, ambiwalentną, androgeniczną tamtych czasów. Nigdy wcześniej według Steinmeiera nie było tak dużej obecności kultury w niemieckiej rzeczywistości publicznej".

LABORATORIUM DEMOKRACJI?

Gdy wchodzę na rozległą salę w berlińskim muzeum, rzuca się w oczy ciekawy pomysł inscenizacyjny. Wszystkie plakaty, gabloty z eksponatami powieszone są na oryginalnych rusztowaniach budowlanych. To wyraźne przesłanie: Niemcy weimarskie były laboratorium, w którym metodą prób i błędów próbowano dotrzeć do najlepszych rozwiązań ludowładztwa. Na wystawie postanowiono pokazać tych często zapomnianych polityków i myślicieli, którzy idee republiki traktowali serio.

Kuratorka wystawy Simone Erpel wyjaśnia: „Nie szukamy na tej wystawie powodów nieuniknionej porażki, jaką poniosła Republika Weimarska. Chcemy pokazać, jakie szanse społeczne się wówczas pojawiły, jakie problemy zauważano i jakie proponowano rozwiązania, z których wiele działa do dziś". Jak wyjaśnia Simone Erpel, nazwa wystawy, owa „Natura i wartość demokracji", to cytat z broszurki Hansa Kelsena (1881–1973), jednego z autorów konstytucji weimarskiej. Kelsen niczym prorok na puszczy przypominał w latach 20., że demokracja to system, w którym rozmaite grupy muszą negocjować kształt zróżnicowanego społeczeństwa.

eprasa.pl 7cae2d5e67

Golizna biła w oczy. Na zdjęciu stragan gazetowy na dworcu Berlin Friedrichstrasse w 1928 r. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Pierwsza część ekspozycji opowiada o polityce z lat 1918–1933. Autorzy wystawy dość szybko przechodzą nad rewolucyjnym okresem 1918–1923. Ci z czytelników „Do Rzeczy", którzy pamiętają moją recenzję z wystawy o rewolucji w Berlinie (12/2019), wiedzą, jak wiele krwawych walk i masakr odbyło się w tamtych latach. Tego wątku na berlińskiej wystawie nie ma. Jest za to ustawiony w centralnym punkcie ekspozycji symbol demokracji – drewniana urna wyborcza, którą jakimś cudem zachowano w jednej z niemieckich wsi.

W opisie wystawy czytamy: „Do dzisiaj Republika Weimarska bywa opisywana jako »demokracja bez demokratów«. W istocie na każdym poziomie społeczeństwa i w każdej grupie społecznej wielu mężczyzn i wiele kobiet stało twardo po stronie demokracji i broniło jej z wielką determinacją".

Autorzy wystawy prezentują sylwetki takich postaci, jak: Walther Rathenau, kanclerz Niemiec zamordowany w 1922 r. przez prawicową bojówkę, pierwszy prezydent Rzeszy Friedrich Ebert i pierwsza kobieta posłanka, która wygłosiła przemówienie w Reichstagu – Marie Juchacz z SPD.

Było jakimś diabelskim przekleństwem Weimaru, że najwybitniejsi jego teoretycy i praktycy umierali stosunkowo szybko. Wspomnianego już Rathenaua dosięgła kula zamachowców, prezydent Ebert zmarł zaszczuty oskarżeniami o zdradę w listopadzie 1918 r., po czterech latach sprawowania urzędu. Hugo Preuss, intelektualny mózg grupy piszącej konstytucję weimarską, zmarł z przepracowania w 1925 r., tym samym, w którym odszedł Ebert. I wreszcie kanclerz Gustav Stresemann, jedyny polityk, który wydawał się okiełznać przesilenie gospodarcze i polityczne przełomu lat 20. i 30., także zmarł z przepracowania 3 października 1929 r.

Wystawa pokazuje, jak kruche były koalicje klecone między socjaldemokratami, chadekami z partii Centrum i wreszcie umiarkowanymi narodowcami z DVP. I jak trudno było o kompromis w kolejnych sporach. Ot, choćby spór o flagę. Socjaldemokraci promowali sztandar czarno-czerwono-złoty, ale prawica, czyli DNVP i DVP, upierały się przy dawnych barwach cesarskich: czerni, bieli i czerwieni. Potem okazało się, że tylko socjaldemokraci szanują barwy, które dzisiaj są flagą RFN.

Kolejny konflikt wybuchł o sposób wynagrodzenia skonfiskowanych majątków licznych w Niemczech królów i książąt. I wreszcie spór o budowę pancernika „Deutschland", w którym doszło do konfliktu zwolenników cichej remilitaryzacji Niemiec z pacyfistami. W całym tym krajobrazie autorzy wystawy ignorują dwie skrajne siły, które nie kryły chęci likwidowania weimarskiej demokracji. Chodzi oczywiście o komunistyczną partię Niemiec i NSDAP. Czy jednak zabieg ten nie utrudnia zrozumienia, dlaczego owa republika była tak chwiejna? Tego z wystawy się już nie dowiemy.

BABILON NAD SPREWĄ I RENEM

Opowieść o politycznych perypetiach Weimaru stanowi jedynie połowę wystawy. Druga połówka to przedstawienie kultury, sztuki, konfliktów społecznych i mass mediów Republiki Weimarskiej. Ta część wystawy ekspozycji zaczyna się od opowieści o perypetiach ekranizacji pacyfistycznej powieści „Na zachodzie bez zmian". Ten film wprowadzony na ekrany 30 grudnia 1930 r. stał się obiektem wyjątkowej nienawiści hitlerowców, którzy zrywali projekcje poprzez odpalanie petard, puszczanie gazów łzawiących i bomb smrodowych. Ta taktyka spowodowała, że właściciele kin zrezygnowali z puszczania filmu. W końcu Izba Cenzury Filmowej dopuściła jedynie do projekcji prywatnych filmów, a w końcu obraz trafił na ekrany w okrojonej wersji.

O ile jednak perypetie antywojennego filmu budzą u widza sympatię, o tyle zupełnie inaczej jest z kolejną sekcją wystawy, która zachwyca się wyzwoloną seksualnością tamtej epoki.

Tutaj głównym bohaterem jest prof. Magnus Hirszfeld, który już w 1919 r. założył Instytut Nauk Seksualnych. Jak piszą autorzy wystawy w Republice Weimarskiej, szeroko znana i tolerowana była scena homoseksualna. Geje i lesbijki byli w stanie żyć bardziej otwarcie.

eprasa.pl 7cae2d5e67

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

W okresie braku cenzury (1918–1922) powstały niezliczone pisma homoseksualne i naturystyczne. Po 1919 r. zakładano wiele towarzystw, by zajmować się seksedukacją. Autorzy wystawy zadali sobie dużo trudu, aby wyciągnąć z rozmaitych bibliotek i prywatnych zbiorów dziesiątki magazynów eksponujących nagość – od periodyków ubierających pęd do seksualności w kostium naukowości do pism brukowych, które tylko udawały skłonność do naturyzmu, aby sprzedawać seks. Nie towarzyszy temu żadna refleksja, jak bardzo ten wybuch swobody obyczajowej musiał szokować. Oto na wystawie bez żadnych komentarzy prezentowane jest pismo sławiące „nagość najmłodszych". Dzisiaj zapewne byłoby ścigane za igranie z pedofilskimi zainteresowaniami. Tutaj na wystawie leży spokojnie obok innych pism. Na tle tej rozbieranej części wystawy znacznie spokojniej prezentują się pisma, które pokazują z kolei wyzywający elitaryzm i kult bogactwa – magazyny mody, pisma miłośników luksusowych aut, wyścigów samochodowych, gry w golfa, jachtingu i wszystkiego, co związane było z ówczesnym beau monde.

JUTRO JEST JUŻ DZIŚ

Przechodzimy teraz do sekcji poświęconej „wizjom nowoczesności". We wprowadzeniu do tej części wystawy czytamy: „Już cesarstwo przemieniało się we współczesne zindustrializowane społeczeństwo, ale dopiero Republika Weimarska uzyskała nowoczesny charakter. Teraz można było już prowadzić szerokie debaty na temat zmian społecznych i zróżnicowania stylu życia. Planowanie miast uważano za sposób wprowadzania nowoczesnej architektury i odpowiadania na powszechny brak mieszkań".

Dlatego ta część wystawy pełna jest planów osiedli Bauhausu, projektów nowoczesnych kuchni, firm zatrudniających panie w charakterystycznych fryzurach „chłopczycy" czy zachwytów nad powszechną dostępnością prezerwatyw. O wiele mniej uwagi twórcy ekspozycji poświęcają temu, jak to tempo zmian wywoływało lęki przed brakiem pewności jutra, erozją tradycyjnych wartości i utratą tożsamości narodowej. Bardzo charakterystyczna jest sekcja poświęcona radiu publicznemu w epoce Weimaru. Wskutek konsensusu między rządzącymi partiami niemieckie radio skupiało się na promowaniu kultury i rozrywki. Polityka była sprowadzona jedynie do serwisów informacyjnych, pisanych w bardzo ogólnikowym tonie. Autorzy wystawy opatrzyli eksponaty i pamiątki po tamtejszej epoce radiowej cytatami z dwóch marksizujących krytyków – Waltera Benjamina i Bertolta Brechta. Obaj narzekają, że radio jest mało ambitne i nie aktywizuje społecznie. Trzeba znać zaangażowanie obu intelektualistów w komunizm, aby wyobrazić sobie, jak takie społeczne zaangażowanie wyglądałoby w praktyce. A jednak na wystawie przedstawia się te cytaty jako element demokratycznej debaty nad mass mediami. Zresztą sala poświęcona radiu publicznemu w Republice Weimarskiej kończy ekspozycję. Autorzy dotrzymali słowa – ominęli temat mało chwalebnej kapitulacji partii demokratycznych wobec nazistowskiej żądzy władzy.

Przeciętny widz zostaje pozostawiony sam sobie z pytaniem: Dlaczego, skoro Weimar był tak wspaniały, nikt go nie bronił? Widać, jak bardzo specjaliści z Niemieckiego Muzeum Historycznego chcieli oderwać się od obowiązku wytłumaczenia, dlaczego wszystko w końcu diabli wzięli. Taka ucieczka nic jednak nie daje. Co więcej, u widza, który patrzy na wystawę z punktu widzenia konserwatyzmu, pojawia się podejrzenie, że to uniknięcie pytań o to, w jakim stopniu elity weimarskie rozhuśtały łódź na tyle, że Hitler mógł ją z łatwością zatopić.

NO TO DLACZEGO TO ZNIKŁO?

Szukając jakiejś refleksji nad tym problemem, przejrzałem wiele książek niemieckich emigrantów. Sebastian Haffner winę za upadek widział w tym, że niemieccy socjaldemokraci nigdy nie czuli się dobrze ze zdobytą władzą, że chcieli się jej pozbyć jak najszybciej i oddać ją w cudze ręce. O wiele trafniejsza jest analiza Fritza Sterna, syna żydowskich demokratów z Wrocławia, który po latach zadał pytanie o winę liberalnych elit za upadek Weimaru. „Czasem [...] wspomina się ten okres jako czas niepowstrzymanej kreatywności w dziedzinie kultury, co niewątpliwie odpowiada prawdzie. W powszechnej świadomości z okresem tym kojarzy się także dzikość związana z przekraczaniem granic tego, co dotąd uchodziło za nienaruszalne. Zdumiewający wybuch kreatywności i wynalazków w dziedzinie sztuki, architektury, filmu i przede wszystkim w naukach ścisłych stanowił kulminację tego, co przed I wojną światową istniało zaledwie w zalążku. Jednak właśnie ten ogromny postęp, który dokonał się w ciągu mniej niż jednej dekady w warunkach straszliwych konsekwencji klęski wojennej, miliony Niemców pozostawiał w stanie głębokiego niepokoju. Dla nich nowoczesność uchodziła za jeszcze jedno zagrożenie. Nie czytali Tucholsky'ego i pewnie nie zaglądali nawet do Tomasza Manna, nie ekscytowali się muzyką jazzową i szyderstwami zapisanymi w strofach »Opery za trzy grosze«".

W innym fragmencie swoich pism Fritz Stern pisze: „Od dawna mam raczej mieszany stosunek do weimarskich intelektualistów, tym bardziej że od wielu dziesięcioleci Weimar próbuje się przedstawiać na podobieństwo raju utraconego [...]. Intelektualiści weimarscy żyli z bankructwa starego porządku, pławiąc się w głupocie przeciwników, chociaż zarazem w swej arogancji ignorowali argumenty, które ich adwersarze potrafili tak skutecznie wnieść do debaty i skutecznie przekonać o tym, że warto odrzucić liberalne zasady i wspierać porządek autorytarny".

Weimar – jak słusznie wskazuje Stern – nie miał daru przedstawiania samego siebie w pozytywnym świetle. Nie promieniował ufnością we własne dokonania. Problem z berlińską wystawą polega jednak na tym, że jej autorzy zbyt często przedstawiają tamtą epokę jako raj utracony. To nie był raj, bo naziści nie zdobyliby tak łatwo władzy. W tym sensie film „Kabaret" w reżyserii Boba Fosse'a sto razy lepiej tłumaczy dwuznaczność tamtej epoki. Kto dziś jeszcze jednak ogląda filmy sprzed blisko 50 lat?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Weimar – istota i wartość demokracji" otwarta jest w Niemieckim Muzeum Historycznym w Berlinie do 22 września. Szczegóły na www.dhm.de.

eprasa.pl 7cae2d5e67

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Rycerze II RP

Hej, dziewczęta, w górę kiecki,
jedzie ułan jazłowiecki,
Lance do boju, szable w dłoń...

Tę żurawiejkę słyszał chyba każdy. I to jej słowa przychodzą na myśl, gdy ktoś wspomina o ułanach jazłowieckich. Żurawiejki były oczywiście nieodłącznym elementem barwnego świata kawalerii II RP. Był to jednak tylko sympatyczny dodatek. Kawalerzyści byli bowiem przede wszystkim żołnierzami. A ściślej – ostatnimi reprezentantami formacji wojskowej, z której niegdyś słynęła Rzeczpospolita. Jazdy.

Byli symbolicznym łącznikiem między wojskami koronnymi i litewskimi a wojskiem odrodzonej Polski. Kawaleria odegrała olbrzymią rolę w zwycięskiej wojnie 1920 r. i nieco mniejszą rolę w przegranej wojnie roku 1939. Autor tej recenzji uznaje argumenty specjalistów, którzy dowodzą, że w połowie XX w. jazda była formacją archaiczną. Ale z drugiej strony ma do niej stosunek nabożny. W kawalerii służyło bowiem wiele pokoleń moich przodków, a ostatnim z nich był mój dziadek, który z wysokości końskiego siodła oglądał kampanię 1939 r.

Dlatego z wielką przyjemnością przeczytałem wznowioną przez IPN słynną emigracyjną monografię „Dzieje ułanów jazłowieckich". Był to pułk nietypowy, bo stworzony na terenie... Kaukazu. W jego skład wchodzili Polacy służący wcześniej w armii carskiej. Pułk, u boku „białych", toczył zacięte boje z „czerwonymi", a następnie walkę tę kontynuował w Polsce.

W październiku 1920 r. – po tym, gdy bolszewicy zostali rozbici w puch w bitwie nad Niemnem – pułk wziął udział w zagonie na Korosteń. Miasto zostało zdobyte w brawurowym ataku, a Polacy zabili 400 bolszewików i zniszczyli dwa pociągi pancerne. Wzięli 2 tys. jeńców, zdobyli pojazdy mechaniczne, dwa pociągi i sześć parowozów.

A z Korostenia jest już tylko 150 km do Kijowa... Gdyby nie rozejm, który z bolszewikami zawarła polska delegacja wysłana na negocjacje pokojowe w Rydze – bez wątpienia ułani jazłowieccy wkrótce stanęliby na przedpolach Kijowa. I miasto po raz drugi w trakcie tej wojny znalazłoby się w naszych rękach. No cóż – szkoda. Jak wiadomo, historia Polski jest historią straconych szans.

W przedmowie do pierwszego wydania książki gen. Klemens Rudnicki napisał, że „dokonania ułanów jazłowieckich nie miały chyba sobie równych wśród pułków naszej jazdy polskiej". Trudno byłoby obalić tę hipotezę. ©℗

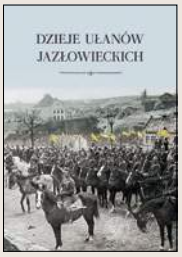

★★★★★★
„DZIEJE UŁANÓW JAZŁOWIECKICH"
IPN

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Śmierć aktorki

Jedną z największych gwiazd polskiej operetki okresu międzywojennego była Kazimiera Niewiarowska. Niezwykle urodziwa, uchodziła za osobę ambitną i zdecydowaną, doskonale też wiedziała, że skandal przekłada się na popularność. W 1924 r. jako pierwsza polska śpiewaczka wystąpiła na scenie topless, co spowodowało, że jako „bezbożnicę" odsądzono ją od czci i wiary, ale męska część widowni była zachwycona.

Rok później założyła w Warszawie własny teatr muzyczny, a gdy do jej zespołu dołączyła Lucyna Messal, scena zmieniła nazwę na Teatr Messal-Niewiarowskiej. Przedsięwzięcie nie przyniosło jednak oczekiwanych zysków i by uratować scenę przed bankructwem, zespół udał się w trasę po Polsce. Z powodów finansowych artyści nocowali w wynajętych wagonach kolejowych, co stało się jedną z przyczyn tragedii, do której doszło w Wilnie 30 czerwca 1927 r.

Tego dnia wieczorem Niewiarowska w samej koszuli prała suknię w misce z benzyną. Na korytarzu stała paląca się maszynka spirytusowa i gdy służąca otworzyła drzwi do przedziału aktorki, nastąpił wybuch oparów. Niewiarowska wybiegła z wagonu i „jak płonąca pochodnia leciała naga w kierunku dworca". Obalono ją wreszcie na ziemię i ugaszono płomień, otulając ofiarę płaszczem.

Lekarze nie dawali jej jednak szans na przeżycie, miała poparzenia trzeciego stopnia na trzech czwartych powierzchni ciała. Pomimo straszliwych cierpień nie traciła jednak opanowania. Do matki kazała wysłać telegram: „Nie wierz gazetom, czuję się dobrze", a zespołowi nakazała normalny występ. W szpitalu „męczyła się 12 godzin z zaciśniętymi ustami", aż wreszcie odurzona morfiną zasnęła, by więcej się nie obudzić.

W tych dniach w Wilnie odbywały się uroczystości związane z koronacją cudownego obrazu Matki Boskiej Ostrobramskiej, co natychmiast wykorzystały miejscowe dewotki. Na widok trumny niesionej przez aktorów wykrzykiwano, że właśnie „spłonęła jawnogrzesznica", w tej sytuacji zwłoki Niewiarowskiej dostarczono na dworzec bocznymi ulicami. W Warszawie nie było zresztą lepiej.

„Tragiczna śmierć i pogrzeb Niewiarowskiej – wspominał z zażenowaniem Ludwik Sempoliński – stał się smutną scenerią dla żądnej sensacji gawiedzi. Od chwili wstawienia trumny do kościoła Świętego Krzyża waliły tam nieprzerwanie żądne wrażeń tłumy. Jakiś fotograf, korzystając z sytuacji, postawił koło kościoła budkę i sprzedawał fotosy Niewiarowskiej z gołymi piersiami. Pełno bigotek starało się nie dopuścić do pogrzebu »jawnogrzesznicy«. Dopiero interwencja policji przywróciła porządek". ©℗

eprasa.pl 7cae2d5e67

Jacek Przybylski

Putin nowej

Kreml coraz częściej ogrywa Zachód. A ponieważ Rosja Putina nie jest aż tak silna, by utrzymać wszystkie zdobycze, Kreml co jakiś czas składa USA propozycję handlu wymiennego. W ten sposób zmieniono już władze w kilku krajach

Kreml używa coraz bardziej wyrafinowanej strategii łączącej propagandę, manipulacje polityczne, narzędzia gospodarcze oraz prowokacje, aby osłabić wpływy Stanów Zjednoczonych i przywrócić Rosji wysoką pozycję na scenie międzynarodowej – ostrzega 150-stronicowy raport przygotowany na zlecenie Pentagonu dla Kolegium Połączonych Szefów Sztabów. Ponad 20 autorów ujawnionego dokumentu – pracowników wojska, ale też niezależnych analityków – ostrzega przed skutkami prowadzonej przez Moskwę kampanii dezinformacyjnej w Europie, Azji Środkowej, Ameryce Łacińskiej oraz Afryce, a także przed konsekwencjami coraz wyraźniejszych prób zawarcia antyamerykańskiego paktu między Rosją Władimira Putina a komunistycznymi Chinami w celu ustalenia nowego światowego porządku.

„W obecnych realiach próby wpływu na politykę wewnętrzną, działania paramilitarne, cyberprzestępstwa i wojny polityczne prawdopodobnie będą coraz bardziej powszechne. Takie działania długofalowo mogą zwiększyć ryzyko konfliktu zbrojnego" – zauważa adm. Jeffrey Czerewko, zastępca dyrektora ds. operacji globalnych w Kolegium Połączonych Szefów Sztabów.

Doktor Jeremy Lamoreaux wyjaśnia zaś w raporcie Pentagonu, że obecne dążenie władz w Moskwie do odbudowy światowej pozycji Rosji wynika nie tylko z wielu lat rosyjskiej dominacji na terenach ciągnących się od Polski na zachodzie do Japonii na wschodzie i Azerbejdżanu na południu, lecz także z żywego przekonania, że Rosja ma „boski mandat do kontrolowania każdego miejsca, w którym etniczni Słowianie stanowią dominującą grupę etniczną".

I chociaż elity na Kremlu zdają sobie sprawę z tego, że ich wpływy w Europie Wschodniej są chwilowo ograniczone, to – jak podkreśla dr Jeremy Lamoreaux – ich zdaniem nie zmienia to faktu, że – w opinii Rosjan – wszystkie te kraje powinny znajdować się w rosyjskiej strefie wpływów. I nie chodzi tylko o interesy. Zdaniem autorów polityki zagranicznej Kremla Rosja ma po prostu „moralne prawo panowania w swojej strefie wpływów". Zachód zaś zdaje się gotowy do tego, aby strefami wpływów na nowo się podzielić.

NIEMIECCY PRZYJACIELE

Skuteczne przeciwstawienie się ambicjom autokratycznych władz w Moskwie jest trudne w sytuacji, w której prezydent Rosji sprawuje niemal autorytarne rządy, a władze zachodnich państw osłabiane są przez często jałowe wewnętrzne spory z opozycją. Nowy rosyjski „car" w kontaktach z zagranicznymi liderami demokratycznych państw nie ukrywa, że gdy oni przegrają już zażarte boje o reelekcję, on będzie nadal spokojnie sprawował władzę w Rosji. Podczas ostatniego szczytu G20 w Osace znów mówił więc, że „idea liberalizmu już się przeżyła", prężnie krocząc szlakiem wydeptanym przez wielu jego poprzedników. Włodzimierz Lenin i reszta bolszewickich rewolucjonistów, bojąc się panowania burżuazji, również twierdzili, że zachodnie parlamenty niedługo przejdą do historii. A Nikita Chruszczow z przyjemnością mówił o tym, jak Zachód obumiera.

Władimir Putin już na początku XXI w. odkrył, jak bardzo zachodnie demokracje narażone są na manipulację za pomocą nowych mediów. Rosyjskie służby specjalne doskonaliły więc techniki wpływania na opinię publiczną w różnych krajach, zarówno podczas wojny w Gruzji, na Ukrainie, jak i w Syrii. Dopóki na Zachodzie zdarzają się politycy z godnością na miarę Gerharda Schrödera, byłego socjaldemokratycznego kanclerza Niemiec, który po odejściu z polityki zaczął pracować dla rosyjskiego Gazpromu, czy byłego ministra finansów Austrii Hansa Jörga Schellinga, który w zeszłym roku został doradcą Gazpromu w projekcie budowy gazociągu

eprasa.pl 7cae2d5e67

chce Jałty

FOT. XSUSAN WALSH/AP/EAST NEWS

Nord Stream 2, dopóty Kreml może być spokojny o realizację swoich celów. Zresztą w maju obecnego roku sama kanclerz Angela Merkel z zadziwiającą szczerością wyznała, że – mimo protestów krajów skandynawskich oraz przedstawicieli Europy Środkowo-Wschodniej – przeforsowała budowę gazociągu Nord Stream 2, stawiając gazowe interesy Niemców ponad interesy Unii Europejskiej.

66-letni Władimir Putin – inteligentny agent KGB, który z niepozornego urzędnika administracji prezydenta Borysa Jelcyna przeistoczył się w autokratę od dwóch dekad twardą ręką rządzącego na Kremlu – może więc skutecznie realizować długofalową strategię, mającą przywrócić Rosji realny status regionalnego, a być może i światowego mocarstwa.

Oczywiście, moskiewski władca musi pamiętać, że realne notowania jego partii są na wyjątkowo niskim poziomie. Przed wrześniowymi wyborami regionalnymi Kreml pokazuje więc opozycyjnym kandydatom, jak skuteczni potrafią być „nieznani sprawcy". Musi także przypomnieć Rosjanom, dlaczego czołgi i duma z siejącej strach Rosji powinny być dla nich ważniejsze niż chleb czy inne luksusy. Na szczęście dla Zachodu z badań opinii publicznej wynika, że wielu Rosjan nie jest wcale zwolennikami zbrojnych inwazji na sąsiadujące kraje. Aby poszerzać strefę wpływów, Kreml musi więc sprytnie łączyć siłę militarną z bezczelną propagandą i niezwykle skuteczną dyplomacją.

Politycy w Niemczech, we Francji i w innych krajach zachodnich – nawet jeśli są świadomi tego, jaką politykę wobec Kremla powinni prowadzić – są już zwyczajnie zmęczeni ciągłymi przepychankami z Rosją, a także odpieraniem zarzutów krajowych biznesmenów, którzy niezależnie od rosyjskiej inwazji na Krym i Ukrainę chcą po prostu zarabiać pieniądze w rządzonym przez Putina kraju, czy to w Moskwie, czy w „rosyjskich" miastach na Krymie. W latach 2013–2016 wartość dwustronnej wymiany handlowej między Niemcami a Rosją skurczyła się o 40 proc. Wielu zależy więc na tym, aby jak najszybciej zapomnieć o podbitej części Ukrainy, bo o tzw. memorandum budapeszteńskim, czyli umowie, w ramach której w 1994 r. w zamian za rezygnację z broni atomowej Ukraińcom respektowanie istniejących granic „zagwarantowały" Rosja, USA i Wielka Brytania, już nikt chyba nie pamięta.

W ostatnich tygodniach czołowi politycy w Berlinie, a także w postkomunistycznych wschodnich landach głośno i bez zażenowania kwestionują więc sens przedłużania unijnych sankcji wobec Rosji, przyjętych w 2014 r. po tym, jak wojska Putina najpierw dokonały inwazji na Krym, a następnie odzyskały sporą część swojej strefy wpływów, doprowadzając do wybuchu rebelii prorosyjskich „separatystów".

Niemieccy i nie tylko niemieccy komentatorzy zapomnieli już wyraźnie, że inwazja Moskwy niemal w centrum Europy kosztowała życie kilkunastu tysięcy osób, a niemal 3 mln Ukraińców musiały opuścić domy i uciekać przed wojną. UE postawiła sprawę jasno: sankcje skończą się, gdy tylko rosyjskie wojska okupacyjne opuszczą Krym. I chociaż nadal Rosja angażuje się w wojnę na Ukrainie, to w 2019 r. wyraźnie przybyło „partnerskich", rosyjsko-niemieckich konferencji, szczytów i sympozjów, a także wizyt na wysokim państwowym szczeblu. Szefowie dyplomacji Heiko Maas oraz Siergiej Ławrow regularnie się spotykają. W czerwcu wizytę w Rosji złożył populistyczny premier Saksonii Michael Kretschmer, który spotkał się z rosyjskim prezydentem i zaprosił Władimira Putina do wschodnich Niemiec.

I chociaż w kwestii zniesienia sankcji niemieccy rządzący nadal są podzieleni, to rząd Angeli Merkel odegrał znaczącą, jeśli nie przełomową rolę w zgodzie na powrót delegacji Rosji do Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy. Zgoda ta miała być częścią tajnego układu między Rosją a Niemcami, Francją, Włochami i Ukrainą.

Jak ujawnił przedstawiciel Kijowa w RE Dmytro Kuleba – co opisała „Rzeczpospolita" – w zamian za powrót do Rady Europy Rosjanie mieli zezwolić na wjazd komisarza Zgromadzenia ds. Praw Człowieka na anektowany Krym, zapłacić kilkadziesiąt milionów euro zaległych składek oraz najpóźniej do 25 czerwca wypuścić zza krat ukraińskich marynarzy, których Rosjanie pojmali za pływanie po wodach międzynarodowych, które – zdaniem Moskwy – są

eprasa.pl 7cae2d5e67

już wodami rosyjskimi. Oczywiście, po głosowaniu Rosjanie słowa nie dotrzymali. Tymczasem Rosjanie triumfowali potrójnie: nie dość, że ich delegacja powróciła do Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy, to jeszcze ZPRE przyjęło na żądanie Rosji specjalną uchwałę, w której zagwarantowano, że nigdy w przyszłości nie będzie się już pozbawiać poszczególnych państw prawa głosu. Tymczasem bezprawnie przetrzymywani ukraińscy marynarze, gdy zamykaliśmy to wydanie „Do Rzeczy", nadal siedzieli w rosyjskich celach, bo Kreml próbuje jeszcze raz zagrać ich kartą do ubicia kolejnego interesu. Mimo oburzenia komentatorów droga do uznania „rosyjskości" Krymu przez Radę Europy została formalnie otwarta.

UKRAINA ZA WENEZUELĘ?

W wojnie o nowe strefy wpływów Kreml sprytnie wykorzystał również Wenezuelę. Bogaty w ropę naftową kraj pogrąża się w coraz większej nędzy. W kraju toczy się zaś zacięta polityczna walka między skompromitowanym, lecz popieranym przez większość wenezuelskiej armii oraz Rosję prezydentem Nicolasem Maduro a wspieranym przez Stany Zjednoczone młodym liderem opozycji Juanem Guaidó.

W maju Władimir Putin wysłał w kierunku Białego Domu jasny sygnał: w zamian za wolną rękę na Ukrainie Rosja przestanie krzyżować plany zmiany władzy w Wenezueli forsowane przez Donalda Trumpa. O ciekawej ofercie Putina – zaledwie kilka tygodni wcześniej Rosja dostarczyła Wenezueli kilkadziesiąt ton sprzętu wojskowego, a poza tym kraj ten stanowi ważny dla Kremla przyczółek w Ameryce Południowej – jawnie pisał „The Moscow Times". Dodatkowym gestem dobrej woli ze strony Kremla w tej transakcji miała być – co ogłoszono wkrótce potem – oficjalna odmowa przez Moskwę dostaw systemów przeciwlotniczych S-300 do toczącego z Ameryką coraz ostrzejszy spór Iranu.

Do zawarcia tajnej umowy mogło nie dojść – rosyjscy „technicy" nadal wspierają dyktatora Nicolasa Maduro. Jednakże w czerwcu zupełnie bez ogródek w teczkach z mocarstw przywieziono instrukcje do kraju, który od granic Polski dzieli zaledwie 300 km.

W Mołdawii – postsowieckiej republice, która kolejny raz po wyborach pogrążyła się w patowej sytuacji – nagle wydarzył się cud. Wystarczyły oficjalne wizyty przedstawicieli Moskwy i Waszyngtonu, aby przywódcy rywalizujących ze sobą prozachodniego bloku Acum oraz prorosyjskiej Partii Socjalistycznej znaleźli wspólny język i zgodzili się, że premierem powinna zostać Maia Sandu. Nowy rząd błyskawicznie zaakceptowały: Moskwa, Waszyngton i Bruksela. Miejscowy oligarcha Vladimir Plahotniuc, który zadeklarował, że rząd Sandu powstał nielegalnie, a prezydent, powołując go, złamał konstytucję – przez co Mołdawia przez siedem dni miała jednocześnie dwóch prezydentów i dwóch premierów – po rozmowie z przedstawicielami Rosji i USA zmienił zdanie i grzecznie opuścił kraj.

Maia Sandu została szefem rządu Mołdawii tworzonego jednocześnie przez partie prozachodnią i prorosyjską

FOT. CRISTIAN CRISTEL/XINHUA/EAST NEWS

Współpraca w ramach Jałty 2.0 była w tym przypadku tak jawna i oczywista, że prezydent Mołdawii nazwał rząd Sandu „sukcesem wschodnio-zachodniej dyplomacji i potencjalnym mostem między Zachodem a Rosją". Równie ciekawy, choć mniej oczywisty, przypadek „współpracy" mocarstw można było zobaczyć w Armenii, gdzie najpierw rosyjsko-turecki sojusz doprowadził do obalenia rządu Serża Sarkisjana, a następnie władzę objął nowy premier Nikol Paszinian, który – po uzyskaniu poparcia zarówno Waszyngtonu, jak i Moskwy – stał się jednocześnie prozachodni i prorosyjski.

Model armeńsko-mołdawski USA i Rosja mogą chcieć też przetestować, aby uspokoić sytuację na Ukrainie. Po wygranej Wołodymyra Zełenskiego, który jest prozachodni, ale znacząco mniej antyrosyjski niż Petro Poroszenko, Ameryka może zgodzić się na powstanie prozachodniego rządu, który nie będzie jednak dla Moskwy zbytnio dokuczliwy. Następna na liście jest zaś Białoruś, a także Gruzja, gdzie w stolicy doszło niedawno do nagłych protestów antyrządowych, których „spontaniczny" wybuch może być kolejnym dowodem na to, że jesteśmy świadkami nowego rozdania w rozgrywce Trumpa i Putina.

Rosjanie w różnych częściach świata uzyskują też coraz większe wpływy choćby po to, aby – za odpowiednią cenę – przehandlować je na ustępstwa w sprawie krajów ważniejszych z punktu widzenia Kremla. USA i Rosja walczą więc o wpływy nie tylko w Syrii, w Iraku czy w Turcji, choć prezydent Recep Tayyip Erdoğan nie ukrywa, że w zasadzie bliżej mu do Moskwy niż Waszyngtonu i – mimo ostrzeżeń Amerykanów – zdecydował o zakupie rosyjskich rakiet S-400. Oczywiście, o wielkiej miłości turecko-rosyjskiej nie może być mowy, bo oba kraje również ze sobą rywalizują na Kaukazie, ale Putinowi sprawnie udało się omotać Erdoğana tak, aby reprezentant potężnego kraju NATO siedział okrakiem na barykadzie dzielącej Zachód od Wschodu.

KONTROLA NAD POLSKIM NIEBEM

Odwilż na linii Zachód-Rosja jest możliwa. Amerykanie wolą bowiem skupić się na przygotowaniach do konfrontacji z realnymi wrogami: Chinami czy Iranem. Jednocześnie Kreml nie zapomina o przygotowaniach do nie tylko hybrydowej odpowiedzi na – z punktu widzenia Kremla – ofensywne działania Polski i USA. Rosjanie od lat szykują się także do ewentualnej zbrojnej konfrontacji z Zachodem. I chociaż ogłoszone podczas wizyty prezydenta Andrzeja Dudy w Waszyngtonie plany zwiększenia o 1–2 tys. żołnierzy amerykańskiej obecności w Polsce z punktu widzenia liczącej milion żołnierzy rosyjskiej armii nie powinny mieć większego znaczenia, to Kreml patrzy na nie inaczej i w amerykańskich oddziałach widzi nie tylko siłę zbrojną, lecz także coraz bardziej niebezpieczną dla obecnych rosyjskich elit siłę propagandową, promującą demokratyczne wartości.

Na początku lipca Rosja ogłosiła rozpoczęcie produkcji najnowszych systemów obrony przeciwrakietowej oraz przeciwlotniczej S-500 Prometeusz. Pierwsze dostawy dla armii mają ruszyć już w przyszłym roku. W najbliższych latach Rosja zdobędzie zaś kontrolę nad większą częścią polskiego nieba. Teoretyczny zasięg systemu szacowany jest bowiem na 600 km, a praktyczny wynosi ok. 500 km. Rosjanie zyskają więc de facto kontrolę nad polskim niebem. Władze w Warszawie muszą zaś pamiętać o tym, że choć Ameryka kocha demokrację, to jest też krajem niezwykle pragmatycznym. I chociaż Rosji raczej nas nie sprzeda, to w ramach Jałty 2.0 może pozbawić Polskę bufora bezpieczeństwa, którym tradycyjnie były dla nas Ukraina i Białoruś.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

CZYTAJ TAKŻE „DO KIJOWA JUŻ NIKT NIE DZWONI" NA STRONIE 76

eprasa.pl 7cae2d5e67

FOT. LEON NEAL/GETTY IMAGES

EKOZAGŁADA NA FESTIWALU

Na jednym z największych muzycznych festiwali na świecie – w angielskim Glastonbury – w tym roku postanowiono zademonstrować ekologiczne postawy. Z plastikowych butelek zbudowano jedną ze scen. No i zabroniono w ogóle używania plastikowych butelek. Nie wpuszczono sprzedawców oferujących cokolwiek w plastikowych butelkach, talerzach itd. Efekt? Około 70 interwencji medycznych ratujących osoby przegrzane na słońcu, które musiały stać w kolejkach po wodę z własnymi pojemnikami nawet pół godziny. Ta ekologia nas kiedyś zabije...

GRANICE BRYTYJSKIEJ TOLERANCJI

Jak wiadomo tolerować należy wiele (np. drag queens i pokazywać ich tańce młodzieży szkolnej). Są jednak pewne granice. Zbadał je Felix Ngole, student podyplomowego kursu na Uniwersytecie w Sheffield. W komentarzu na Facebooku napisał, że homoseksualizm jest grzechem. Uniwersytet wykluczył go z kursu. Zdaniem uczelni może być uprzedzony do osób homoseksualnych, a gdyby ukończył kurs pracownika socjalnego, mógłby z takimi osobami mieć styczność. Student toczy bitwę w sądzie. Na razie sąd apelacyjny uznał, że postępowanie dyscyplinarne w jego sprawie było wadliwe.

U DAMY NA IMIENINACH

Pierwsza dama Filipin Imelda Marcos wydała przyjęcie z okazji swoich 90. urodzin. Niedługo po nim izby przyjęć szpitali w Manili zapełniły się ludźmi, którzy mieli zawroty głowy, biegunkę i torsje. Według amerykańskiej prasy byli to goście pani Imeldy, którzy zatruli się jedzeniem na jej uroczystym przyjęciu. Ucierpieli przez jajka oraz gulasz wołowy. W sumie do lekarzy zgłosiło się 261 osób.

NIE MA PASZPORTU, BO NIE MA PAPIERU

W Zimbabwe zamarło wydawanie paszportów w urzędach. Drukują ok. 10 dziennie i te trafiają głównie do dyplomatów. W kraju brakuje dewiz, więc nie ma za co sprowadzać papieru i innych materiałów niezbędnych do drukowania.

LODY DLA INFLUENCERA

Influencerzy – czyli tacy ludzie, którzy mają dużo obserwujących w sieciach społecznościowych i wydaje im się przez to, że mają na coś wpływ – nękają restauratorów i innych sprzedawców. Oferują „interes" polegający na tym, że oni zjedzą za darmo, za to do sieci wrzucą zdjęcie jadłodajni. Pan Joe Nicchi z Los Angeles miał już tego tak dość, że ogłosił, iż każdego, kto nazwie się influencerem, będzie kasował podwójnie za lody, które sprzedaje. ©℗

Łukasz Zboralski

NOTATNIK MALKONTENTA

Przyzwoity wynik w meczu o UE

ŁUKASZ WARZECHA

Zachowajmy umiar: nowy podział stanowisk w UE nie jest może zwycięstwem na miarę Grunwaldu, ale nie jest też – jak chcieliby niektórzy – porażką lub zwycięstwem pyrrusowym. Jest skutecznym i wyraźnym zaznaczeniem stanowiska naszej części Europy. Tylko tyle i aż tyle.

Postawienie na czele Komisji Europejskiej Niemki, Ursuli von der Leyen, wywodzącej się z CDU i wyraźnie sceptycznej wobec Rosji, jest też z polskiego punktu widzenia niezłym, choć też, jasna sprawa, nieidealnym rozwiązaniem. Stojąc na czele najważniejszego organu UE, Niemcy będą bezpośrednim adresatem żądań, pretensji, zastrzeżeń. Będą musiały się z nimi mierzyć całkiem wprost, zamiast jak dotąd wpływać na politykę Komisji z tylnego siedzenia. To zdrowszy system niż dotychczasowy. Poza tym bądźmy realistami: Unia jest w kryzysie, którego strategicznego rozwiązania na razie nie widać. W takim właśnie momencie najważniejsze instytucjonalne miejsce powinien zająć przedstawiciel najważniejszego kraju UE.

Timmermans, owszem, na pocieszenie zostanie zapewne wiceszefem KE – temu już zapobiec nie bardzo jest jak, ze względu na sposób powoływania wiceprzewodniczącego – ale jako polityk przegrany.

To prawda, że nasza część Europy nie dostała żadnego z czterech głównych stanowisk, ale czy nie fetyszyzujemy podziału geograficznego? Czy postawienie np. na czele Rady Europejskiej Bułgara, a nie Belga miałoby dla Polski jakiekolwiek znaczenie?

Przed nami teraz walka o podział tek w Komisji Europejskiej. To dopiero może być miara, według której będziemy mogli pełniej ocenić sprawność polskiej dyplomacji. Na razie poszło nam przyzwoicie. ©℗

eprasa.pl 7cae2d5e67

Marek Budzisz

Powrót Rosji do Rady Europy był szerszą rozgrywką wymierzoną m.in. w Ukrainę

Do Kijowa już nikt nie dzwoni

Wołodymyr Zełenski chciał rozpoczęcia rozmów z Rosjanami?

FOT. ALEKSEY NIKOLSKYI/SPUTNIK/EAST NEWS

Petro Poroszenko, były prezydent Ukrainy, komentując spotkanie Trumpa z Putinem na szczycie G20, napisał, że po raz pierwszy od czasów kryzysu 2014 r. zachodni partnerzy Ukrainy nie konsultowali swego stanowiska z Kijowem. „Nikt do nas nie dzwonił" – napisał na Facebooku. I zaznaczył, że to dla jego ojczyzny bardzo zły sygnał. Tym bardziej że – jak ujawnił potem rosyjski minister spraw zagranicznych – jednym z tematów rozmów była kwestia procesu pokojowego na Ukrainie.

Kiedy prezydenci Rosji i Stanów Zjednoczonych omawiali problemy w zapalnych punktach świata (także w Donbasie), w Mińsku odbyła się konferencja jednego z liderów ukraińskiej formacji Za Życie, Wiktora Medwedczuka, prywatnie przyjaciela Władimira Putina, oraz liderów nieuznawanych donbaskich „republik ludowych" Denisa Puszylina i Leonida Pasiecznika. Poinformowano na niej, że separatyści zwolnili, „w geście dobrej woli", czterech ukraińskich jeńców, którzy przybyli już do Mińska i odebrani zostali przez Medwedczuka. Wydarzenie to jest istotne z dwóch powodów. Po pierwsze, Moskwa od dłuższego już czasu publicznie argumentuje, że nie jest stroną konfliktu na Ukrainie. Jej zdaniem mamy do czynienia z wojną domową i rozwiązanie konfliktu może nastąpić wyłącznie w trybie rozmów z udziałem władz nieuznawanych „republik". Rozpoczęcie konferencji przez Medwedczuka, którego formacja zajmuje w sondażach przed ukraińskimi wyborami parlamentarnymi drugie miejsce, jest zdaniem obserwatorów nie tylko wyłomem w spójnej do tej pory linii Kijowa, lecz także sygnałem, który Moskwa wysyła do ukraińskich wyborców. I to jest drugi powód, dla którego konferencję tę trzeba uznać za istotną. Ten sygnał jest oczywisty – tylko prorosyjska formacja Medwedczuka, nie zaś nowa administracja prezydenta Zełenskiego, może pomóc Ukrainie osiągnąć porozumienie kończące konflikt na wschodzie kraju. Trudno traktować to inaczej niż w kategoriach próby wpłynięcia na wyniki zbliżających się wyborów do Rady Najwyższej.

MOZAIKA INTERESÓW

To jednak tylko jeden z fragmentów ciekawej układanki, a może raczej mozaiki odzwierciedlającej grę interesów zarówno lokalnych elit, jak i światowych mocarstw na Ukrainie. Dwa dni wcześniej media informowały, że oddziały ukraińskiej armii pod nadzorem międzynarodowych obser-

eprasa.pl 7cae2d5e67

watorów wycofały się ze swoich stanowisk w okolicy strategicznie ważnej Stanicy Ługańskiej. Komentując to posunięcie, Kurt Volker, specjalny wysłannik Białego Domu ds. Ukrainy, napisał, że jest to gest dobrej woli ze strony Kijowa i teraz należy oczekiwać podobnego ruchu ze strony Moskwy – wycofania ciężkiego uzbrojenia z linii rozgraniczenia oraz rozbrojenia nielegalnych formacji zbrojnych.

Najwyraźniej jednak Volker nie wiedział, że w tym samym czasie Moskwa wykonała ruch w swoim stylu. Cała sprawa ujrzała światło dzienne, bo prezydent Zełenski zapytał retorycznie i najwyraźniej zdenerwowany, jak to możliwe, że minister spraw zagranicznych Pawło Klimkin udziela odpowiedzi na ważną rosyjską notę dyplomatyczną, nawet nie konsultując jej treści z urzędującym prezydentem. Zełenski dodał, że tajne posunięcia ukraińskiego MSZ mogą w istocie udaremnić osiągnięcie porozumienia w sprawie uwolnienia marynarzy aresztowanych po incydencie w Przesmyku Kerczeńskim. Klimkin odpowiedział, że była to dyplomatyczna pułapka, w którą ktoś z administracji prezydenta „dał się w banalny sposób złapać". Przy okazji ukraiński minister opublikował treść rosyjskiej noty i swoją na nią odpowiedź. Co zaproponowali Rosjanie? Otóż ich oferta sprowadzała się do tego, że zwolnią przetrzymywanych w moskiewskich więzieniach ukraińskich marynarzy, ale najpierw ci muszą przyznać się do winy polegającej na złamaniu stosownego artykułu rosyjskiego kodeksu karnego oraz uznać jurysdykcję w ich sprawie rosyjskiego sądu. Trzeba przypomnieć, że aresztowani marynarze zgodnie twierdzą, iż w świetle prawa międzynarodowego Rosja nie ma możliwości ich sądzić. I Klimkin uznał, że w istocie przyjęcie propozycji Rosji oznaczałoby formalne i faktyczne uznanie aneksji Krymu, bo „wykroczenie", za które Moskwa chce sądzić żołnierzy z Ukrainy, związane jest z wejściem ich okrętów na wody terytorialne okalające półwysep, a z tym Ukraina nie może się zgodzić. Ukraińską odpowiedź przygotowała Jelena Zerkal, której zaraz po wyborach Zełenski proponował (odmówiła) funkcję swego doradcy ds. polityki zagranicznej.

Rosyjska nota wypłynęła dwa dni po tym, jak Zgromadzenie Plenarne Rady Europy zdecydowało o przywróceniu Rosji pełni praw zawieszonych po aneksji Krymu. Ukraińskie media zaczęły spekulować, powołując się na przecieki ze sfer rządowych i z administracji prezydenckiej, że to nie był przypadek, ale w istocie część układu, który Paryż i Berlin zawarły z Moskwą. Jego istota miała być prosta – rosyjscy delegaci wracają do Rady Europy, a w zamian uwolnieni zostają ukraińscy marynarze i rusza proces miński. Zdenerwowanie Zełenskiego miałoby wówczas wynikać z tego, że uważał, iż rozmowy z Rosjanami trzeba rozpocząć, a nota może być dobrym pretekstem.

W czasie swej niedawnej wizyty w Paryżu i Berlinie ukraiński prezydent miał zostać wprowadzony w plan prezydenta Macrona, który chciał powrotu Rosji do Rady Europy. Tym bardziej że Francja przejęła od Finlandii przewodnictwo w komitecie ministrów tej organizacji. A to właśnie na jego posiedzeniu, pod koniec maja, zapadła decyzja, która w gruncie rzeczy przesądziła o głosowaniu deputowanych na forum Zgromadzenia Ogólnego RE. I to wówczas znaczącą większością głosów, w tym – jak informowała prasa ukraińska – głosem Jacka Czaputowicza, zdecydowano, że Europa ugnie się przed dyktatem Rosji. To głosowanie naszego ministra jest efektem, jak można przypuszczać, zastawionej przez Rosjan pułapki?

POLSKA BEZCZYNNOŚĆ

Warto przypomnieć, że w Helsinkach przy okazji spotkania ministrów spraw zagranicznych państw Rady Europy odbyło się spotkanie naszego szefa MSZ z jego rosyjskim odpowiednikiem. Główny temat rozmów ujawnił w niedawnym wywiadzie dla agencji TASS minister Czaputowicz. Otóż Polska, która dąży do odzyskania smoleńskiego wraku, zaproponowała Rosji, aby Rada Europy była gwarantem swobodnego dostępu rosyjskich śledczych do wraku, kiedy jego szczątki znajdą się już na polskiej ziemi. Już na początku roku Polska prosiła ówczesnego sekretarza generalnego Rady Europy Thorbjørna Jaglanda o pomoc w tej sprawie. Uzyskaliśmy nawet stosowną, popierającą nasze starania uchwałę. I – jak można przypuszczać – dopuszczenie naszych prokuratorów do wraku było odpowiedzią Moskwy na nasze zabiegi. W ten sposób Moskwa rozpoczęła z nami grę, w której uzyskała to, co chciała, czyli naszą bezczynność, co faktycznie oznacza przyzwolenie na jej powrót do Rady Europy. W zamian nic nie dostaliśmy, bo w tym samym wywiadzie minister Czaputowicz powiedział, że niestety nasze propozycje zostały przez Ławrowa odrzucone.

Rosja starannie przygotowała to, co się niedawno wydarzyło w Radzie Europy. Kiedy prześledzi się trasy europejskich podróży ministra Ławrowa, łatwo zauważyć, że odwiedził w tym roku większość krajów, których przedstawiciele poparli w tym gremium powrót deputowanych z Rosji. W marcu odwiedził nawet po raz pierwszy San Marino, które w Radzie Europy reprezentuje dwóch deputowanych. Ograniczenia w Radzie Europy w Rosji uznaje się za jeden z elementów łańcucha sankcji, którymi Zachód starał się po 2014 r. powstrzymać moskiewską politykę. Dążąc do przerwania tego łańcucha, Rosjanie wybrali najsłabsze ogniwo. Postawili na Radę Europy nie tylko dlatego, że brak rosyjskich składek to cios dla budżetu tej instytucji. W dodatku zapowiedź opuszczenia tego gremium, która padła w styczniu tego roku, oraz nieuznania wyboru nowego sekretarza generalnego podważałyby sens jego dalszego funkcjonowania. Od początku było też wiadomo, kiedy kończy się kadencja Thorbjørna Jaglanda, a zatem czasowe ramy osiągnięcia kompromisu były z góry znane. I – jak można przypuszczać – Moskwa, formułując ideę kompromisu w negocjacjach z Paryżem i Berlinem, brała również pod uwagę to, że jej powrót do Rady Europy nastąpić może niedługo przed ukraińskimi wyborami parlamentarnymi. Chodziło w tym przypadku nie tylko o obnażenie nieskuteczności ukraińskiej dyplomacji, lecz także o jeszcze jeden element. Otóż Moskwa nie wykonała żadnego gestu, który mógłby świadczyć o tym, że zmiękcza swoje stanowisko. W grupie rosyjskich deputowanych mających ją reprezentować w Radzie Europy jest siedmiu objętych międzynarodowymi sankcjami, a przewodniczący delegacji i kandydat na wiceprzewodniczącego Leonid Słucki jest znanym zwolennikiem tezy, że Ukraina to państwo sezonowe.

Można przypuszczać, że w całej operacji chodziło nie tylko o to, że rosyjscy deputowani wrócą do Rady Europy, lecz także o demonstracyjne wysłanie do Strasburga tych posłów, którzy na co dzień stanowią najsilniej antyukraińską frakcję w rosyjskiej polityce. Zresztą to jeszcze nie koniec rozgrywek w tym zakresie. Teraz ze strony Moskwy padają żądania, aby Rada Europy uznała mandat tych deputowanych do rosyjskiej Dumy, którzy zostali wybrani na Krymie.

Moskwa już sporo osiągnęła i nie myśli o ustępstwach. Udało jej się też to, o czym pisał Petro Poroszenko – nikt już do Kijowa nie dzwoni. Bo po co?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7cae2d5e67

Tomasz Cukiernik

Ani państwo, ani gminy nie powinny wyręczać prywatnych inwestorów w budowie mieszkań

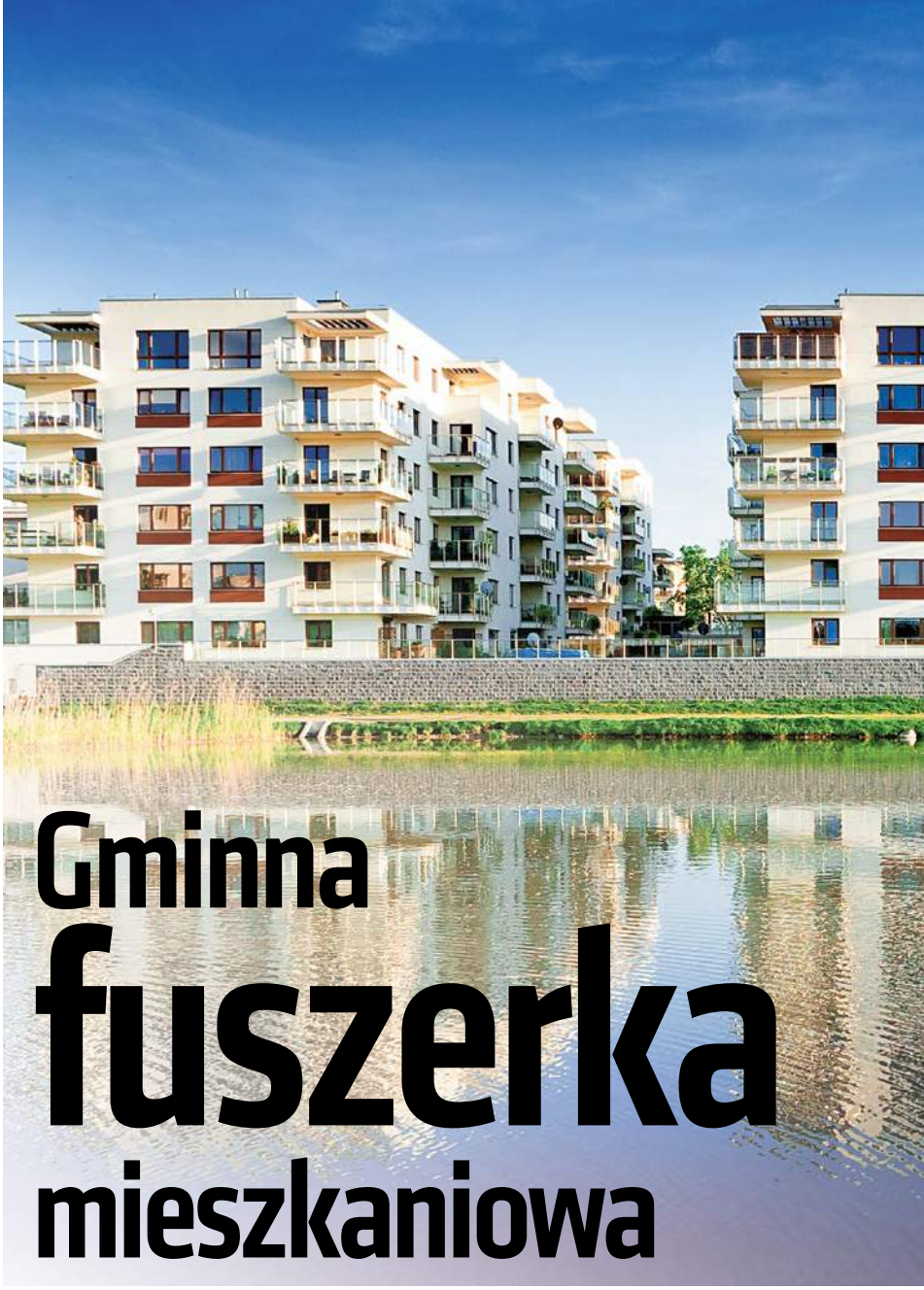

Gminna fuszerka mieszkaniowa

Naśladując władze centralne, także władze samorządowe realizują programy budownictwa mieszkaniowego na wynajem. Przykładem jest gmina Czeladź z województwa śląskiego. W połowie kwietnia burmistrz Zbigniew Szaleniec zawiadomił na swoim facebookowym profilu, że „Nowa Rada Miasta poparła przygotowany w ubiegłej kadencji program budowy przez nasze miasto mieszkań na wynajem". Rada wyraziła zgodę na powołanie spółki celowej, której udziałowcem będą urząd miasta i spółka komunalna CTBS-ZBK. Planowane jest wybudowanie ok. 200 mieszkań na wynajem. Czeladzianie są zachwyceni. Ale czy rzeczywiście mają się z czego cieszyć?

DRUZGOCĄCA RECENZJA NIK

Zaledwie kilka dni po deklaracji burmistrza Szaleńca Najwyższa Izba Kontroli opublikowała raport po kontroli zarządzania nieruchomościami należącymi do 10 gmin z województwa mazowieckiego. W raporcie zarzucono wójtom nie tylko to, że w niewystarczający sposób nadzorowali gospodarowanie nieruchomościami gminnymi, lecz także to, że czterech z nich nie miało nawet pełnego obrazu o gminnych zasobach, bo dane zawarte w ewidencjach nieruchomości były często niekompletne i niespójne z innymi rejestrami.

Z raportu NIK wynika też, że we wszystkich kontrolowanych gminach realizacja zadań związanych z wynajmem i dzierżawą nieruchomości wchodzących w skład gminnego zasobu nieruchomości odbywała się z naruszeniem przepisów prawa. Około 30 proc. umów dzierżawy lub najmu zawarto z naruszeniem obowiązujących przepisów, a trzy gminy straciły prawie 170 tys. zł w wyniku nierzetelnej egzekucji zaległości.

Również wcześniejsze kontrole NIK z lat 2007 i 2011 wykazały liczne nieprawidłowości po stronie gmin.

Mimo to nie tylko Czeladź, lecz także wiele innych samorządów buduje mieszkania komunalne. Gmina Polkowice (województwo dolnośląskie) z rozmachem zrealizowała już kilka programów budownictwa mieszkaniowego, w ramach których oddano do użytku po kilkadziesiąt mieszkań, a kolejne domy są w trakcie budowy. Z kolei w Tarnowie Podgórnym (województwo wielkopolskie) realizowany jest Gminny Program Budowy Mieszkań z Dojściem do Własności. Obejmuje on mieszkańców gminy, którzy „będąc w trudnej sytuacji mieszkaniowej, nie mogą uzyskać kredytu bankowego na zakup mieszkania, ale jednocześnie wykazują dochody w wysokości zapewniającej ponoszenie kosztów uczestniczenia".

Jak podaje GUS, w roku 2017 łącznie oddano do użytku 1,7 tys. mieszkań komunalnych. Doświadczenia samorządów z tym typem mieszkań są fatalne. Warto przypomnieć facebookowy wpis Wadima Tyszkiewicza, prezydenta Nowej Soli (województwo lubuskie), sprzed czterech lat. Opublikował wówczas zdjęcia zdewastowanego bloku socjalnego zaledwie kilka lat wcześniej oddanego do użytku. Jego budowa kosztowała nowosolskich podatników 2,5 mln zł. „Mam świadomość tego, że są ludzie, których los potraktował okrutnie i należy do nich wyciągnąć pomocną dłoń. Jednak spora część tych najbardziej narzekających sama sobie zgotowała ten los. Rodzi się więc pytanie: czy mieszkańcy, każdego dnia ciężko pracujący i płacący podatki, powinni w nieskończoność utrzymywać

eprasa.pl 7cae2d5e67

FOT. ADOBE STOCK

tych, którzy pracą nie chcą się zhańbić, a z korzystania z zasiłków zrobili sobie sposób na życie?" – pytał z goryczą prezydent Tyszkiewicz.

DOMYKANIE KOLANEM

Stanisław Pisarek, były radny Czeladzi, sądzi, że miasto nie powinno wyręczać ludzi w budowaniu mieszkań. Podobnego zdania jest poseł Jakub Kulesza z Konfederacji. – Ani władza centralna, ani samorządy nie powinny zajmować się takimi przedsięwzięciami, którymi bez problemu zajmują się prywatne firmy i osoby. Budową mieszkań zajmują się prywatni deweloperzy, inwestycjami w mieszkania zajmują się sami mieszkańcy i oczywiste jest, że państwo czy samorząd zrobi to gorzej. Milton Friedman wykazał, że najmniej efektywnie wydaje się cudze pieniądze na cudze potrzeby, a tym właśnie jest wydawanie pieniędzy podatnika na politykę mieszkaniową – uważa poseł Kulesza. – Jeśli ktoś mówi, że państwo zrobi coś taniej niż wolny rynek, jest albo naiwny, albo bezczelnie okłamuje społeczeństwo. Wystarczy spojrzeć na wyniki finansowe spółek miejskich, które zarządzają miejskimi nieruchomościami. W Lublinie jedna z takich spółek, która dysponuje majątkiem wartym kilkadziesiąt milionów, ma co roku setki tysięcy złotych strat. Każda prywatna firma przynosiłaby kilka milionów zysku, dysponując takim majątkiem, żyjąc tylko z wynajmowania lokali.

Także zdaniem Stefana Oleszczuka, byłego burmistrza Kamienia Pomorskiego, byłego starosty kamieńskiego, byłego członka rady ds. samorządu przy prezydencie RP, każde zadanie publiczne będzie droższe i gorzej wykonane, niż gdyby wykonały je podmioty prywatne, i dlatego również gminne budownictwo mieszkaniowe nie może się udać. Ten legendarny reformator samorządowy zauważa ponadto, że interwencjonizm, który staje się regułą, wynika z wiary, że to będzie działało, a nie ze sprawdzenia, jak rzeczywiście jest.

Burmistrzowi Czeladzi wydaje się, że będzie mógł komunalne mieszkania zaoferować po cenie niższej niż rynkowa. Ale nawet jeśli wynajmie taniej, to powstaje pytanie, kto pokryje różnicę?

– Doświadczenia podobnych inicjatyw, jak TBS-y, są takie, że na początku ci, którzy przystępowali do tych zadań, też używali takiego bardzo propagandowego języka, jakie to będzie dobre w interesie społecznym. Na papierze tworzyli program, z którego wynikało, że rzeczywiście będzie to o 15 czy 20 proc. tańsze niż cena rynkowa, ale później po kosztach wykonania okazywało się, że nie tylko nie było to w cenie rynkowej, ale często droższe, a bardzo często obarczone mnóstwem błędów, wad, również przy odbiorach, ponieważ odbiory następowały także w sposób nieprofesjonalny – opowiada Oleszczuk. – Domykano kolanem te przedsięwzięcia z powodów politycznych. Kończyło się to tragedią, kiedy się rozpatrywało błędy różnego typu i w dokumentacjach, i w fazie wykonania. Kiedy kończyły się okresy gwarancyjne, to była zgroza. Sypało się uzbrojenie, sypała się jakość wykonania. Okazywało się, że to wszystko summa summarum zawsze było droższe. W Kamieniu Pomorskim w następnych kadencjach po mnie były TBS-y, których sprawy miały swoje epilogi w sądzie – zaznacza i dodaje, że zawyżone koszty uderzają potem w gminę.

BOLSZEWICKI POMYSŁ

Do tego dochodzi niekorzystne zjawisko zlecania przez włodarzy miast budowy gminnych obiektów zaprzyjaźnionym firmom czy sprawa możliwego nepotyzmu w tworzonych celowych spółkach komunalnych. – Nowa spółka to nowe koszty dla miasta, ale i nowe stołki do rozdawania przez burmistrza. Zapewne dość korzystne dla tych, którzy je obejmą – uważa Pisarek. – Prezesem takiej spółki TBS zawsze zostawał „swój człowiek". Nie będzie inaczej w każdym innym przedsięwzięciu.

Problem w tym, że jednym z zadań własnych gminy są sprawy gminnego budownictwa mieszkaniowego. Jak w takim razie rozwiązać tę kwestię? – Rolą samorządów powinno być zapewnienie odpowiedniej infrastruktury prawnej czy chociażby uzbrojenia danych gruntów czy też taka infrastruktura ogólnomiejska, która by umożliwiła powstawanie nowych mieszkań – uważa poseł Kulesza. Resztę załatwi wolny rynek.

Tymczasem pojawiają się jeszcze bardziej rewolucyjne koncepcje. Jeden z użytkowników portali społecznościowych przedstawił pomysł na rozwiązanie kryzysu mieszkaniowego w Warszawie. Kopiując iście bolszewicki pomysł z kampanii wyborczej w Barcelonie, zaproponował, by deweloperzy połowę budowanych mieszkań musieli… za darmo oddawać na cele komunalne i socjalne. Pomijając aspekt moralny i kwestie ochrony własności prywatnej, można przewidywać, że skończyłoby się to podniesieniem o 100 proc. cen nowo budowanych przez deweloperów mieszkań, żeby w ten sposób zamortyzować to rozdawnictwo.

Z kolei obecnie realizowany z wielkimi trudnościami rządowy program budowy mieszkań Lewica Razem chciałaby przenieść na poziom Unii Europejskiej. Dorota Olko, rzeczniczka partii Razem, chciałaby, żeby powstał europejski program mieszkaniowy, z którego finansowano by budowę tanich mieszkań na wynajem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7cae2d5e67

Stefan Sękowski

Różnice w opodatkowaniu rodziców i bezdzietnych można uzasadnić pomocą dla tych, którzy biorą na siebie trud wychowywania młodego pokolenia. Jednak dzietności to nie poprawi

Co dla dzieci

Trudno spodziewać się odnalezienia w projekcie polityki migracyjnej rządu pomysłu dotyczącego opodatkowania Polaków, a jednak „Rzeczpospolita" doszukała się w nim sugestii przywrócenia w Polsce dodatkowego opodatkowania osób bezdzietnych. Temat szybko rozgrzał opinię publiczną, więc Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji (autor projektu) pospieszyło poinformować, że – jak czytamy na profilu resortu na Twitterze – „projekt, o którym pisze @rzeczpospolita, jest jedynie wstępną koncepcją, która zawiera różne propozycje dot. migracji i rynku pracy. Na obecnym etapie minister @elzbietawitek podjęła decyzję, że nie będą prowadzone jakiekolwiek prace nad pomysłem opodatkowania osób bezdzietnych".

Jako że etap „obecny" szybko może przejść w następny, warto zastanowić się nad sensownością tego pomysłu. Tym bardziej że wcale nie jest on taki nierealny. Mamy katastrofalną sytuację demograficzną, której nie poprawiło „500+" (choć w 2017 r. liczba urodzeń wzrosła w stosunku do roku poprzedniego o 20 tys. do 402 tys., to w 2018 r. znów spadła do 388 tys.). Nie zadziałała marchewka, to może uda się zagonić Polaków do prokreacji za pomocą fiskalnego kija?

TO JUŻ BYŁO

Brzmieć może to agresywnie, ale za pomysłem stoi właśnie taka logika. Podatek ma bowiem zniechęcać do bezdzietności. To wydaje się mieć tylko semantyczne znaczenie, ale różnica w stosunku do logiki zachęcania do dzietności jest zasadnicza – wskazuje na bezdzietnych jako na kogoś, kto robi coś złego lub grzeszy zaniechaniem, nie dokłada się w należyty sposób do wspólnego dobra. Ten sposób myślenia można już znaleźć w PRL-owskim dekrecie o podatku dochodowym, którego jeden z zapisów wprowadzał podwyższoną kwotę pobieraną od osób bezdzietnych. Funkcjonujące w latach 1950–1973 „bykowe" oznaczało, że osobom nieposiadającym dzieci, a mającym co najmniej 25 lat (do 1957 r. było to 21 lat), podwyższano podatek o 20 proc., małżonkom zaś, którym w ciągu dwóch lat od ślubu nie urodziło się dziecko – o 10 proc.

Cel był wzniosły: w 1950 r. żyło w Polsce 25 mln osób, niewiele w porównaniu z 1938 r., gdy było ich prawie 35 mln. Brakowało dzieci, które mogłyby uzupełnić wojenne straty ludnościowe, i powierzchowny rzut oka na dane powinien wskazywać, że „bykowe" odniosło sukces, bo przecież lata 50. XX w. to był okres wyżu demograficznego. Jednak jeśli spojrzymy na inne kraje, w których nie było podobnych rozwiązań podatkowych, zobaczymy, że i tam dochodziło do baby boomu. Demografowie wyjaśniają je raczej tym, że łatwiej zakłada się rodziny w dobie pokoju i stabilizacji, ponadto tuż po wojnie do domów wracają mężczyźni, w trakcie walk pozbawieni możliwości prowadzenia normalnego życia. Podatkowe zachęty (czy raczej „zniechęty" do starokawalerstwa i braku dzieci) nie odgrywają tutaj roli.

ZACHÓD DLA RODZINY

W tym kontekście ciekawa jest historia niemieckiego rozwiązania, które nakłada na bezdzietnych obowiązek płacenia wyższych o 0,25 pkt proc. składek na ubezpieczenie społeczne. W 2001 r.

eprasa.pl 7cae2d5e67

Federalny Sąd Konstytucyjny uznał za niezgodną z ustawą zasadniczą sytuację, w której „członkowie społecznego ubezpieczenia pielęgnacyjnego, którzy opiekują się i wychowują dzieci, i w związku z tym obok wkładu finansowego wnoszą także wkład generatywny do […] systemów zabezpieczenia społecznego, są obłożeni taką samą składką jak członkowie bezdzietni". Bundestag dopiero w 2004 r. odniósł się do tego wyroku. Nie obniżył jednak składki rodzicom, ale podwyższył ją bezdzietnym. W ten sposób wybrnął z trudnej sytuacji, wypełnił obowiązek zróżnicowania składek i zapewnił wyższe wpływy do systemu.

Ta operacja była uargumentowana jednak nie chęcią dopieczenia bezdzietnym, ale zachowaniem „równości wobec prawa" i „szczególnej ochrony małżeństwa i rodziny ze strony porządku państwowego". Z tych też przesłanek wypływa także ulga na dzieci wpisana do niemieckiego systemu podatkowego. Nie wygląda na to, żeby któreś z tych rozwiązań szczególnie zachęcało Niemki do dzietności. RFN ma od 1972 r. ujemny przyrost naturalny, liczba mieszkańców tego kraju nie spada zaś tylko ze względu na imigrację. Przy skoku liczby urodzeń w 2016 r. (do 792 tys.) należy zauważyć, że co czwarta matka, która urodziła dziecko w RFN, nie miała niemieckiego obywatelstwa. Z kolei to, że trend wzrostowy trwa od 2011 r., można przypisać temu, iż do prokreacji wzięły się… wnuki pokolenia baby boomu z lat 60.

Także we Francji współczynnik dzietności (1,88 dziecka na kobietę w wieku rozrodczym) nawet nie ociera się o zastępowalność pokoleń (2,1). I tam trudno mówić o „bykowym" i rozwiązaniach „penalizujących" bezdzietność. Tak zwany iloraz rodzinny to coś w rodzaju wspólnego rozliczania się małżonków, rozszerzony jeszcze na dzieci. Polega na tym, że łączny dochód rodziny dzieli się przez liczbę „części fiskalnych" (małżonkowie liczą się jako 1, pierwsze i drugie dziecko liczy się jako 0,5, a trzecie i następne jako 1) i dopiero wynik odnosi się do poszczególnych progów. Celem jest tu spłaszczenie progresji podatkowej: przykładowo Francuz zarabiający 100 tys. euro rocznie wpada już w trzeci próg podatkowy (za poszczególne części swojego dochodu płaci odpowiednio 14, 30 i 41 proc. podatku), jednak gdyby miał niepracującą żonę i troje dzieci, płaciłby od wszystkiego 14 proc. Podobny system funkcjonuje też w Portugalii (choć nie tak korzystny jak we Francji).

NASZE ULGI

Także w Polsce rodzice płacą niższy podatek dochodowy niż bezdzietni. Istnieje ulga na dzieci – 1112,04 zł na pierwsze i drugie dziecko, 2000,04 zł na trzecie i 2700 zł na czwarte i kolejne. Oczywiście, nie znaczy to, że płacą niższe podatki, bo przecież gdy kupują jedzenie, odzież, zabawki czy pieluchy, dokładają się do budżetu poprzez VAT. Utrzymanie dziecka nie należy do najtańszych: jak w tym roku wyliczyło Centrum im. Adama Smitha, koszt wychowania jednego potomka do 18. roku życia mieści się w przedziale od 200 do 225 tys. zł, a dwojga dzieci od 370 do 400 tys. zł (trojga oczywiście więcej, choć koszt „jednostkowy" spada). Jeśli uważamy, że decyzja o posiadaniu potomstwa podejmowana jest na podstawie przesłanek ekonomicznych, to „bykowe" musiałoby być bardzo wysokie, by ucieczka w rodzicielstwo stanowiła alternatywę.

Ekonomia ma tu znaczenie, ale także w inny sposób, niż by się wydawało na pierwszy rzut oka. Im bowiem większy dobrobyt, tym… dzieci rodzi się mniej. Jakkolwiek bezdusznie by to brzmiało – gdy szansa na to, że dziecko przeżyje własne dzieciństwo, rośnie, presja na posiadanie dużej liczby dzieci spada. Swoje robi także przerzucenie opieki nad starszymi na państwo. Dodatkowo łatwiej ludzie decydują się na dzieci, gdy ich podstawowe potrzeby są zaspokojone. Kłopot w tym, że wraz ze wzrostem dobrobytu rosną wymagania i wyobrażenia na temat tego, czym są owe podstawowe potrzeby. Ludzie nie decydują się na dzieci często z powodu problemów mieszkaniowych, braku stabilnej pracy czy wysokich kosztów wychowania. A na to „bykowe" nic nie poradzi.

Jednak jeśli jest się wychowanym w przekonaniu, że życie może być bajką, a długotrwała stabilność jest na wyciągnięcie ręki, można się na dziecko nigdy nie zdecydować – bo a to zarobki za małe, a to metraż niewielki itd., itp. Ponadto badania porównawcze np. z Norwegią pokazują, że np. za niewielką chęć kobiet do posiadania potomstwa odpowiadać może stosunkowo niskie zaangażowanie mężczyzn w wychowanie dzieci w sytuacji, w której kobiety i tak coraz częściej pracują zawodowo. To w dużej mierze kultura odpowiada za coraz mniejszą i późniejszą dzietność. A i na to „bykowe" nie będzie lekarstwem. Zresztą zmuszanie kogoś do posiadania dzieci poprzez system podatkowy mogłoby się skończyć źle dla takiego dziecka. Pamiętajmy, że mówimy tu o ludziach, a nie o stadzie zwierząt, które się hoduje.

Nie oznacza to, że nie można różnicować systemu podatkowego ze względu na dzietność. Niższe podatki dla rodziców można uzasadnić tym, że dzieci nie są dobrem konsumpcyjnym i ulgi podatkowe można traktować jako pomoc wspólnoty dla tych, którzy biorą na siebie trud ich wychowania. W ramach obecnego systemu emerytalnego w przyszłości będą dokładać się np. do emerytur tych, którzy dzieci nie mają (zwłaszcza gdy odchodzi się od systemu kapitałowego). Jednak sens ma to tylko wtedy, gdy różnice w opodatkowaniu traktujemy jako pomoc świadczoną rodzinie, a nie karę dla tych, którzy nie zdecydowali się, by ją założyć. Tym bardziej że wpływ tej polityki na demografię jest niewielki, o ile jakikolwiek.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest zastępcą dyrektora thinkzine'u Nowa Konfederacja.

eprasa.pl 7cae2d5e67

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Nauczyciele bez Karty?

Polsce pilnie potrzeba głębokiej naprawy szkolnictwa – ostatni strajk nauczycieli unaocznił to ze zwielokrotnioną siłą. Sposób jego przeprowadzenia, sposób postępowania podczas niego wielu nauczycieli, często wprost żenujące zachowanie całych ich grup – względem własnych uczniów, ich rodziców i siebie nawzajem – były tego aż nadto widomym dowodem.

A nie da się naprawić szkolnictwa bez sprawienia, by wreszcie to szkoła – a więc nauczyciele – była dla uczniów (i ich rodziców), a nie na odwrót, jak to jest do tej pory. By nauczyciele pracowali na rzecz swych wychowanków intensywniej – więcej, niż przewiduje obecne pensum wynoszące 18 godzin lekcyjnych tygodniowo – i nie ma co kruszyć kopii o to, czy są najmniej pracującymi, czy „tylko" jednymi z najmniej pracujących „przy tablicy" nauczycieli w Europie. I to pracowali nie tylko od jednych wakacji do drugich, przez wakacyjne miesiące robiąc dla swych uczniów zazwyczaj w najlepszym razie niewiele.

Oczywiście nauczyciele, którzy po takich zmianach pozostaliby w zawodzie, powinni zarabiać więcej niż dziś – najlepsi z nich dwa, a może i trzy razy więcej. Wszelako nigdzie nie jest powiedziane, że w Polsce nauczycieli musi być aż pół miliona jak obecnie. Zapewne mniej, a może nawet sporo mniej – za to tych najlepiej wykształconych, wciąż się doskonalących, najbardziej zaangażowanych – wystarczyłoby w zupełności.

Rezultat ostatniego starcia nauczycieli z rządem daje nadzieję na znalezienie takiego rozwiązania, choć zapewne niewielką, bo to wszak rok wyborczy, a po nim kolejny i następne. A ponadto propozycja złożona nauczycielom przez rząd, choć idzie w dobrym kierunku – zwiększenia pensum do 24 godzin, w połączeniu z ofertą wcześniejszych odejść na emeryturę dla tych, którzy jej nie przyjmą, a będą mieli przepracowaną określoną liczbę lat w zawodzie – jest do osiągnięcia tego celu dalece niewystarczająca.

Albowiem prawdziwa naprawa szkolnictwa nie wydaje się możliwa bez zlikwidowania Karty nauczyciela i wprowadzenia mechanizmu bonu edukacyjnego, czyli pieniędzy publicznych „podążających" za każdym uczniem do szkoły, którą wybrał. Tylko w ten sposób udałoby się zerwać z dyktatem automatyzmu awansowego w oświacie, bez czego nie da się sprawić, by lepsi nauczyciele zarabiali więcej – a czasami dużo więcej – od gorzej sobie radzących, a szkoły były premiowane finansowo w zależności od jakości świadczonych usług.

Wszystko to jednak pewnie na długo (na zawsze?) pozostanie u nas educational fiction. Bezwolna Platforma nie była w stanie naprawić szkolnictwa przez osiem lat – dlaczegóż więc teraz, gdyby wygrała wybory (choć wydaje się to mało prawdopodobne), miałaby dać sobie z tym radę? Z kolei PiS – jak wynika z proponowanych zmian – ma na nie całkiem inny pomysł. ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Świat bez ryzyka

Ewolucja technologiczna stopniowo ogranicza ryzyko niepewności, które dotyczy każdego człowieka. Na przykład kilkaset lat temu ludzie przewidywali pogodę, obserwując otaczającą ich przyrodę, ale takie prognozy były bardzo niedokładne. Jeszcze 20 lat temu o tym, czy brać parasol do pracy, informowała nas wieczorna prognoza w TV, która była dokładniejsza niż ta oparta na obserwacji natury, ale obejmowała duże obszary geograficzne i przez to ciągle była mało precyzyjna.

Obecnie każdy ma nieustannie aktualizowaną lokalną prognozę godzinową. Zatem ryzyko jest dużo mniejsze. Można powiedzieć, że dla osób, które skutecznie wykorzystują dostępne narzędzia prognozowania pogody, bliskie nawet zera.

Ten prosty przykład ilustruje głębokie zmiany, które zachodzą w każdej dziedzinie życia dzięki wykorzystaniu nowoczesnych technologii informatycznych, Internetu rzeczy i sztucznej inteligencji. Na przykład w XX w. firmy musiały zarządzać wysoką niepewnością dotyczącą sprzedaży towarów i usług. Dzisiaj firmy mają do dyspozycji narzędzia sztucznej inteligencji, która uczy się zachowań i preferencji klientów oraz może kierować bardzo skuteczną informację o produkcie do odpowiednich klientów, właściwie skonstruowaną i z właściwą ceną, żeby klient dokonał zakupu. Firmy sprzedające w Internecie mogą w czasie rzeczywistym stosować testy cenowe kierowane do porównawczych grup klientów, żeby określić poziom ceny maksymalizujący przychody firmy.

Kiedyś banki musiały szacować wiarygodność kredytową klientów na podstawie kilku ogólnych informacji o kliencie. Obecnie mają do dyspozycji zaawansowane techniki, które na przykład uwzględniają zachowanie klientów w sieciach społecznościowych, a badania pokazują, że tak budowany skoring kredytowy jest lepszy niż tradycyjna ocena zdolności kredytowej. Czyli banki narażone są na mniejsze ryzyko niespłacanych kredytów, a co za tym idzie – oprocentowanie kredytów dla wszystkich klientów może być niższe, bo można stosować niższą marżę za ryzyko kredytowe. Podobnie już pojawiają się sposoby na uniemożliwienie uruchomienia samochodu kupionego na kredyt, gdy kredyt przestaje być spłacany, co poprawia spłacalność tych kredytów, a jednocześnie powoduje, że ludzie podejmują bardziej przemyślane decyzje o zakupie samochodu.

Oczywiście ten medal ma też drugą stronę, bo akurat tego dnia kierowca mógł jechać gdzieś w ważnej dla niego sprawie, a samochód został unieruchomiony i odholowany przez bank. To pokazuje, że zmiany technologiczne mają różnoraki wpływ na człowieka, ważne, żeby efekty pozytywne dominowały nad negatywnymi. ©℗

Autor pełni funkcje chief ideator w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

eprasa.pl 7cae2d5e67

TEST „DO RZECZY": MAXCOM MK241

Bardzo długo działająca bateria, niewielkie rozmiary, niska cena – to największe zalety gadżetu stanowiącego połączenie klasycznego telefonu z podstawowym smartfonem.

Nie ma się jednak co łudzić, że za niecałe 300 zł otrzymamy w pełni funkcjonalny smartfon. Klasyk firmy Maxcom nadal najlepiej sprawdza się jako urządzenie do prowadzenia rozmów i pisania SMS-ów/MMS-ów. Może to być jednocześnie dobry produkt dla seniorów, którzy nie chcą uczyć się obsługi telefonów z dotykowym ekranem, rodziców, którzy chcą mieć kontakt z dzieckiem, ale wolą, aby ono samo miało ograniczony kontakt z wirtualnym światem, a także dla osób, które potrzebują drugiego telefonu z dostępem do Internetu LTE, na przykład na wyjazd w mniej bezpieczne, egzotyczne kraje.

Malutki telefon wygląda jak klasyczna komórka i bez trudu mieści się w dłoni. Na design składają się: matowy czarny plastik, malutki kolorowy ekranik oraz duże fizyczne klawisze. Z tyłu znajduje się zdejmowalna klapka, pod którą kryją się miejsca na kartę nanoSIM, kartę pamięci oraz baterię. Jak na telefon dla seniorów klapka mogłaby się łatwiej zdejmować. Również sloty na karty mogłyby być przyjaźniejsze dla użytkownika. Po przebrnięciu przez pierwszy etap z obsługą telefonu nie powinno być już żadnego problemu.

Rejestr połączeń, kontakty, wiadomości SMS, kalendarz i radio FM – standard (plus dla firmy za dołączane w zestawie słuchawki). W MK241 znajdziemy również takie aplikacje, jak Gmail, Facebook, WhatsApp – babcia lub dziadek wreszcie będą więc mogli łatwo śledzić, co wydarzyło się w życiu wnucząt. Jest też YouTube, pełen przepisów kulinarnych, muzyki oraz relacji sportowych. Są wreszcie mapy Google – niestety w mocno okrojonej wersji, przez co np. wskażą drogę do celu, ale już nas do niego same nie poprowadzą – a nawet Google Assistant, którego można poprosić np. o wybranie numeru do córki lub wnuka. Dużo więcej aplikacji nie ma, ponieważ w telefonie działa KaiOS, a jego sercem jest słabiutki dwurdzeniowy Snapdragon 205 oraz zaledwie 512 MB pamięci RAM. Możemy jednak ściągnąć na telefon np. proste aplikacje pogodowe. Telefon najczęściej działa stabilnie, choć czasem potrzebuje trochę czasu, aby odpalić daną aplikację.

Kolorowy wyświetlacz o przekątnej 2,4 cala nie oferuje zbyt dobrej rozdzielczości (240 x 320), ale ekran jest wystarczająco czytelny. Za taką cenę nie można oczekiwać dobrych kątów widzenia czy idealnego odwzorowania kolorów. I nie ma co liczyć na niespodziankę.

Ważący 110 g klasykosmartfon (fachowo „feature phone") ma jednak kilka zalet dla seniorów, dzieci czy osób, wykonujących pracę, w której telefon jest narażony na częste upadki. W ramce jest otwór, aby wziąć komórkę na smycz. A jeśli nawet MK241 gdzieś nam spadnie, to ewentualne szkody są nieporównywalnie mniejsze niż w przypadku typowego smartfona. Malutki głośniczek emituje bardzo donośne dźwięki. Dioda u góry obudowy pomoże zaś po zmroku znaleźć klucze w czeluściach damskiej torebki. Bateria o pojemności 2000 mAh z powodzeniem wystarczy na pięć–siedem dni użytkowania na jednym ładowaniu. Do tego w MK241 zamontowano Bluetooth 4.1, który bardzo sprawnie komunikuje się z bezprzewodowymi słuchawkami.

Teoretycznie MK241 ma też dwa aparaty fotograficzne – tylny ma rozdzielczość 2 Mpx, przedni 0,3 Mpx. Żaden nie skłania do robienia zdjęć, bo ich jakość jest bardzo kiepska. Szkoda też, że producent nie zainstalował z boku przycisków do regulacji głośności (aby ją ustawić, trzeba odblokować telefon i pogrzebać trochę w interfejsie). Cena: około 260 zł. ©℗

Jacek Przybylski

DOGADAJMY SIĘ

Nowość na rynku elektronicznych tłumaczy działających w czasie rzeczywistym. CM Translator, czyli miniaturowy tłumacz wspierany przez firmę Microsoft. W najprostszej wersji ma rozpoznawać i tłumaczyć „na żywo" konwersację w sześciu językach: angielskim, mandaryńskim, japońskim, hiszpańskim, koreańskim i tajlandzkim. Docelowo jego baza danych ma zostać zwiększona do 28 różnych języków i dialektów. Jeszcze nie wiadomo, czy w systemie znajdzie się też język polski.

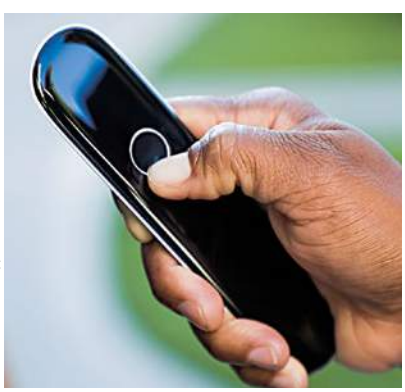

Bateria ma w trybie ciągłym wytrzymać nawet 24 godziny, generalnie jej trwałość szacowana jest na 120 dni. Waga ok. 40 g, działa przez Bluetooth, łącząc się z aplikacją w smartfonie. Cena ok. 250 zł. Zamawiać można na Indiegogo, a dostawa w tym miesiącu. ©℗

PIÓRO ZAKŁADKA

Czytając książki i robiąc notatki, zdarza nam się na chwilę od nich odejść, a później szukaj wiatru w polu, jeśli chodzi o pióro, którym notatki robiliśmy. Niby mogło się sturlać, ale nie ma. Tymczasem Pen Type-C można po prostu użyć jako książkową zakładkę. W dodatku zrobione jest z tytanu, co ma gwarantować, że zbiornik się nie rozleje, i ma odłączany klips. Pióro typu C ma grubość 3,5 mm, jest też bardzo lekkie, więc nie obciąża kieszeni koszuli. Cena jak za taki gadżet jest dość wysoka – ok. 300 zł. Można zamawiać na Kickstarterze, dostawa w październiku tego roku. ©℗

Wojciech Wybranowski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (3)

eprasa.pl 7cae2d5e67

Drogą Pyrrusa

Tomasz Kaźmierowski

W mojej peregrynacji po miejscach, w których wino jest nie tylko towarem, lecz także częścią kultury, zapraszam na zbocza Etny

By poznać antyczną Grecję, i to w szczycie jej rozkwitu, trzeba zobaczyć Sycylię. Szczególnie zaś jej południowo-wschodnią połowę, z Syrakuzami, Selinuntem, Taorminą i Doliną Świątyń Agrigento. Nie wiem, czy cokolwiek bardziej na Sycylię przyciąga niż obietnica zawarta w tym niby banalnym powiedzonku brytyjskich historyków i archeologów.

Od wielu lat wracam na sycylijskie drogi, od chłostanego pustynnym sirocco Erice na zachodzie po syrakuzańską Ortigię obmywaną jońską falą. Szybko się łapię na bezmyślnym odszukiwaniu śladów to Pyrrusa, to znowu Archiasza czy Archimedesa. Niezmiennie zaś Dionizosa.

Historię Sycylii Europa poznała przez rzymskie okulary, od Plutarcha, Greka z pochodzenia, począwszy. Jej greckie źródło toruje sobie drogę niejako pod powierzchnią. Spójrzmy choćby na Pyrrusa, swoiście słynnego – dzięki Rzymianom – króla Molossów i hegemona Epiru. Przeszedł on do historii napisanej przez zwycięzców jako niemal bezmyślny, nieliczący się ze stratami watażka, dokładnie tak, jak sobie to zaplanowali Rzymianie.

Kiedy w III w. p.n.e. Republika ruszyła na Wielką Grecję, ta otrzymała pomoc właśnie od Pyrrusa z leżącego po drugiej stronie Adriatyku Epiru. Bo Magna Graecia, jak ją zwali Rzymianie, istniała przecież od VIII w. p.n.e., na długo przed rzymską republiką, zajmując całe wybrzeże południa Włoch: dzisiejszą Kalabrię, Basilicatę i Apulię oraz większość Kampanii i Sycylii.

Ta ostatnia była najbogatszą grecką prowincją na zachód od metropolii, a Syrakuzy – największym greckim miastem w ogóle. Ich na pół legendarny założyciel, koryntczyk Archiasz, słynny oikistes, przywódca ekspedycji kolonizacyjnej, miał zabrać z Grecji winorośl, która szybko stała się – obok zbóż – główną uprawą Sycylii.

GRECKI CHARAKTER

Bogate, lecz podzielone kolonie greckie długo samodzielnie broniły się przed naciskiem Kartaginy z zachodu, Aten ze wschodu, Etrusków i Rzymu z północy, jednak w III w. p.n.e., w obliczu ostrożnego, świetnie zorganizowanego i konsekwentnego Rzymu musiały szukać pomocy. Najlepszy wódz swojej epoki, Pyrrus, w ciągu pięciu lat wielokrotnie zwyciężał liczniejszych Rzymian. Wiele zwycięstw było stosunkowo efektownych, inne, jak pod Ausculum, okupione dużymi – choć mniejszymi niż przeciwnika – stratami. Rzymianie, pomimo iż mieli większe zasoby i po klęskach mozolnie odtwarzali swoje oddziały, nie umieli go pokonać. W końcu remisowe starcie pod Benewentem ogłosili swoim zwycięstwem, choć to Pyrrus nazajutrz podążył za nimi do Rzymu. Wreszcie jednak musiał wrócić do Grecji, gdzie zginął dość przypadkowo. Rzymianie dopóty nie odważyli się ponownie zaatakować greckiego południa półwyspu, dopóki żył król Molossów. Dopiero po jego śmierci po kolei podbili greckie miasta, łącznie z imponującymi rzymskiej elicie Syrakuzami. Podczas ich oblężenia zginął Archimedes, którego pomysłowe machiny wywracały rzymskie okręty i miotały pociski na piesze kohorty.

Od II w. p.n.e. cała Magna Graecia była już częścią Rzymu, i to częścią bardzo rozwiniętą, a jej kultura podbiła wykształcone sfery potężnej republiki. Południowy wschód włoskiego buta i Sycylia zachowały jednak wiele ze swego greckiego charakteru. Pomogło w tym długie panowanie Bizancjum, ale także kolejne fale greckich migracji w średniowieczu i po zniszczeniu Cesarstwa Bizantyjskiego przez Turków ottomańskich.

Z czasem miejscowa ludność wykształciła język griko i odrębne zwyczaje, w tym mającą korzenie w Grecji rodową zemstę, wendetę. Co wcale nie dziwi, uprawia się tu też specyficzne odmiany winorośli, jak ellenico (dziś aglianico), grecanico (zwane poza Sycylią garganegą) i greco di tufo. Z tego ostatniego powstają proste, lecz nierzadko dobre, zrównoważone białe wina. Najprawdopodobniej także uprawiany na południu Włoch, ale i na kilku kontynentach, szczep malvasia jest pochodzenia greckiego.

Z kolejnymi falami migracji przybywali uczeni i artyści. Najliczniej przybyli oczywiście w XV w., przyczyniając się do odnowienia zainteresowania klasycznymi osiągnięciami Greków i Rzymian.

Trudno sobie wyobrazić, jak humanizm renesansowy wyglądałby bez nich i czy w ogóle by zaistniał. Chodzi, rzecz jasna, o humanizm w ówczesnym rozumieniu (nie należy go mylić ze współczesnym humanizmem, pojmowanym jako prąd areligijny, oparty na racjonalizmie).

Znacznie łatwiej stwierdzić, bo przesłanek aż nadmiar, że przecież to nie Luter (stawiający się w kontrze do włoskiej kultury humanistycznej) czy Kalwin powołali do życia humanizm renesansowy, ale przede wszystkim wychowani w dobie napływu uczonych Greków konstantynopolskich Petrarca, Bocaccio, Ariosto, Mirandola, Bessarion, a także Erazm z Rotterdamu i pozostający pod przemożnym wpływem Greków papieże epoki.

Winorośl uprawiano tu od czasów greckich, a Sycylia była przez wieki

eprasa.pl 7cae2d5e67

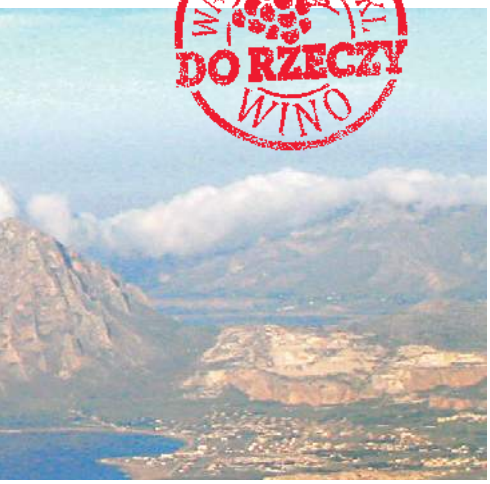

FOT. ARCHIWUM AUTORA

największym regionem winiarskim we Włoszech. Wytwarzane na niej wina były jednak przeciętne, a nierzadko zwyczajnie podłe. To się jednak istotnie zmieniło, szczególnie od erupcji pod Etną.

Tak, właśnie pod Etną, na jej wulkanicznych zboczach, nastąpiła erupcja, tyle że jakości. Na wysoko położonych parcelach, nawet do 1200 m n.p.m., uprawia się tu endemiczne szczepy winorośli, nerello mascalese i nerello cappuccio dla win czerwonych i carricante dla białych. Pozostałymi, z których powstaje 90 proc. tutejszych win, lepiej nie zawracać sobie głowy.

DORASTANIE DO ETNY

Muszę tu zaznaczyć, że najchętniej poszukuję win niskoalkoholowych, czystych, żywych, a niechętnie patrzę na nowo powstałe światowe monstra, np. ze Stanów, Chile, RPA czy Australii, z ich asfaltową lub śliwkową suknią, wysokim cukrem i takimż alkoholem, z charakterem rzeźbionym marketingowym cepem. Takie potwory, z poziomem alkoholu nierzadko przekraczającym 15 proc. – to już karykatura wytrawnego wina – produkuje się także w Europie, w tym na Sycylii czy w Apulii (uwaga na liczne primitivo kopiące z wdziękiem pastucha elektrycznego).

Po długich – w jakimś sensie pyrrusowych – latach degustowania zazwyczaj nieciekawych win z Sycylii, dorosłem do Etny. Dokładniej zaś do win spod Etny. Wspomniana „erupcja" to pojawienie się zaledwie w początkach tego wieku nowych, zorientowanych na wspomniane rdzenne szczepy lokalnych winiarzy.

Zmienne warunki klimatyczne, wulkaniczna gleba, naturalnie, chaotycznie prowadzone winnice o niskich zbiorach i wspomniane rdzenne szczepy pozwoliły uzyskać świetne wina. Udane czerwone wina spod Etny kolorem przypominają piemonckie nebbiolo. W ustach są mocno owocowe i często lekko pieprzne. Białe carricante są – w kontrze do całej reszty białych win Sycylii – bardzo żywe, świeże, bywają i słonawe.

Do najlepszych wytwórców win spod Etny należą Tenutaw delle Terre Nere, Frank Cornelissen (otaczany kultem, koszmarnie drogi), Pietradolce i Girolamo Russo. Niedawno odwiedziłem dwóch ostatnich. Wina Girolamo Russo zachwycają. Rossato jest niezwykle żywe, chrupiąco świeże. Podstawowe czerwone wina są pięknie wiśniowe, świeże, zrównoważone, a czołowa etykieta, San Lorenzo, dostojne, głębokie, z wyczuwalnym garbnikiem, długim, niezachwianym owocem. Nieziemsko pięknie położone winnice na północ od lekko dymiącej Etny prowadzą przyjaciele ze szkolnej ławy, Giuseppe Russo i Dante Pasqua. Ci gościnni ludzie pozostają nieskażeni światowymi sukcesami, które odnoszą ich wina.

Wokół Etny można znaleźć urozmaiconą kuchnię. Siłą rzeczy od wschodu panują ryby i owoce morza, jednak im dalej w interior, tym bardziej on zachwyca swoją odmiennością. Ta znacznie biedniejsza od kilku wieków od Północy wyspa zaskakuje powtarzalną jakością lokalnych dań. Obok szerzej znanych restauracji Terra Mia i Cave Ox (świetny wybór miejscowych win) w Solicchiata, można doskonale zjeść w agroturystycznym Parco Statella nieopodal Randazzo. Carpaccio z prawdziwków było tam wprost wyborne. Nad Alcantarą, w samym Randazzo, trafiłem na perełkę – położoną na uboczu, przy starym młynie, restauracyjkę San Giorgio e il Drago. Święty Jerzy ze smokiem nie sprzyjają ludziom, którzy mają jeszcze tego dnia jakieś plany. Doskonała, choć niby tak trywialna, jest bruschetta al pomodoro na przystawkę. Czy pomidory spod Etny też smakują inaczej? Ale to jeszcze nie był czas na addio, tym bardziej że lało się dosłownie, bo z „kija", miejscowe, bardzo porządne białe carricante. Tonnacchioli (świeży, długi, dość gruby makaron o przekroju kwadratu) z ziołami z Etny był jak piosenki Matilde Politi. Podstawowym składnikiem tego dania, jak się zdaje, są tenerumi, liście długiej odmiany cukinii. Już nie szpinak, jeszcze nie botwina. Od morza dzieli Randazzo droga wzdłuż północnych zboczy Etny, ledwie 30 km, jednak o rybie trzeba zapomnieć. Tutaj królują cielęcina, królik, dziczyzna i wieprzowina.

Nie będę porównywał rarytasów interioru z San Giorgio z rybnymi wyszynkami Syrakuz, jednak gdybym miał znów jeść na Sycylii, to właśnie w tym skromnym przybytku na skraju Randazzo.

Położone na starożytnej Ortigii (Ortygii) Syrakuzy, szczególnie poza sezonem, oferują świetną kuchnię morską. Targ rybny na tej wyspie leży kilkadziesiąt metrów od najlepszych rybnych restauracji na wschodzie wyspy, w których błyskawicznie lądują najświeższe tuńczyki, sardynki, dorady, koryfeny, dorsze, krewetki, langustynki, kalmary, ośmiornice i liczne skorupiaki. Do tego często serwują lekkie, żywe, nawet dość kwasowe białe wina (polecam te z carricante i greco di tufo). Czy klasyczne restauracje, czy najprostsze „ceratowe" tawerny – na Ortigii wszystko jest znacznie droższe niż w interiorze. Miasto ma jednak swoją siłę przyciągania.

SKARBY SYRAKUZ

Syrakuzański teatr grecki, jeden z największych w antyku, z 67 rzędami, jest doskonale zachowany, podobnie jak Źródło Aretuzy. To ostatnie jest miejscem nader urokliwym o każdej porze nocy i dnia, pod warunkiem że poza sezonem. Zupełnie inaczej jest latem. Ot, choćby rok temu, pewien Alfejos z Newcastle postanowił zmieszać się z nimfą ponownie (po uprzednim zmieszaniu się z kilkunastoma puszkami birra moretti), ku nieskrywanej tu od czasów greckich niechęci do barbarii, której pełen wyraz dali carabinierzy. Obok barokowego placu Katedralnego (Piazza Duomo) koniecznością pozostaje odwiedzenie kościoła św. Łucji z „Pogrzebem św. Łucji" Caravaggia na ołtarzu oraz Palazzo Bellomo ze „Zwiastowaniem" Antonella da Messina.

No, i Enoteca Solaria, gdzie wybór, ceny win i szkło są na właściwym poziomie.

O ile za gorzej niż pyrrusowe mogę uznać moje wieloletnie pojedynki z czerwonymi winami dawnej Wielkiej Grecji – większością wypitego primitivo, negroamaro, nero d'Avola i gaglioppo, o tyle tę po części pyrrusową drogę wynagradzają w pełni świetne czerwone skarby spod Etny, z san lorenzo od Girolamo Russo jako hegemonem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7cae2d5e67

Choroba wielu prędkości

Katarzyna Pinkosz

Cukrzyce typu 1 i 2 różnią przyczyny i sposób leczenia. W ostatnich latach dokonuje się w nim rewolucja. Czy korzystają z niej polscy pacjenci?

Pod słowem „cukrzyca" kryją się różne choroby mające różne przyczyny, o różnym przebiegu i sposobie leczenia, które łączy niedobór lub całkowity brak insuliny. Ten hormon, wydzielany w trzustkowych wyspach Langerhansa, jest swego rodzaju „kluczem" otwierającym komórkę na glukozę. Jeżeli insuliny jest za mało lub nie ma jej w ogóle, wówczas glukoza nie przenika do komórek, tylko krąży we krwi. Głównym problemem są powikłania choroby dotyczące całego organizmu. Na cukrzycę w Polsce choruje już prawie 3,5 mln osób. Jak radzimy sobie z jej leczeniem?

GLUKOMETR DO LAMUSA?

Cukrzyca typu 1 to choroba autoimmunologiczna: układ odpornościowy niszczy komórki trzustki wytwarzające insulinę. Objawy – takie jak zwiększone pragnienie, oddawanie dużej ilości moczu, chudnięcie, zmęczenie, senność, gorsze widzenie – pojawiają się gwałtownie u osoby do tej pory wyglądającej na zdrową. Najczęściej choroba dotyka osób młodych, dzieci, młodzieży.

Od początku konieczne jest podawanie insuliny. W ostatnich latach w leczeniu widać ogromny przełom: są coraz lepsze sposoby monitorowania poziomu cukru we krwi, coraz nowocześniejsze insuliny, dzięki którym osoba z cukrzycą może mieć niemal takie poziomy cukru we krwi jak zdrowa i nie tylko uniknąć powikłań, lecz także prowadzić normalny tryb życia, a nawet uprawiać sport.

Eksperci podkreślają z dumą, że leczenie u dzieci i młodzieży cukrzycy typu 1 w Polsce jest bardzo dobre. – Dla osób do 26. roku życia są całkowicie refundowane osobiste pompy insulinowe, także te nowoczesne, sprzężone z systemem ciągłego monitorowania glikemii, dzięki czemu potrafią wstrzymać podawanie insuliny lub zaalarmować, gdy poziom cukru we krwi jest niski. Systemy ciągłego monitorowania glikemii od ubiegłego roku są częściowo refundowane u pacjentów do 26. roku życia leczonych za pomocą osobistej pompy insulinowej, u których występuje nie-

eprasa.pl 7cae2d5e67

FOT. ADOBE STOCK

świadomość hipoglikemii – mówi prof. Małgorzata Myśliwiec kierująca Kliniką Pediatrii, Diabetologii i Endokrynologii Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego. – Mamy nadzieję, że niedługo pojawi się możliwość refundacji systemów do monitorowania glikemii typu Flash, co jest szczególnie ważne dla osób, które nie używają pomp insulinowych – dodaje prof. Myśliwiec.

Flash Glucose Monitoring, czyli tzw. przerywany system monitorowania glikemii, składa się z dwóch elementów: sensora i czytnika. Sensor zakłada się na tylną część ramienia; to bezbolesne, przypomina postawienie pieczątki. Pod skórę wprowadzane jest miękkie, sterylne włókno, które umożliwia ciągły pomiar glikemii w płynie śródtkankowym. Żeby sprawdzić poziom cukru we krwi, wystarczy zbliżyć do sensora czytnik, nawet przez ubranie. Wynik można też odczytać bez czytnika, za pomocą specjalnej aplikacji do telefonu. Sprawdza się w ten sposób nie tylko aktualny poziom glukozy, lecz także to, czy rośnie on, czy spada i jak szybko. Dzięki temu łatwiej podjąć decyzję o podaniu insuliny. System świetnie sprawdza się zwłaszcza u dziecka: rodzic nie musi go np. budzić w nocy, gdy chce sprawdzić poziom cukru. Glukometr powoli faktycznie odchodzi do lamusa.

TERAPIE SZYTE NA MIARĘ

Nowością, która mogłaby jeszcze poprawić leczenie cukrzycy typu 1, jest ultraszybko działająca insulina doposiłkowa. Zaczyna działać tuż po podaniu, nie trzeba więc czekać z posiłkiem. Można ją podać nawet w trakcie jedzenia, a w przypadku małych dzieci nawet już po posiłku, co jest o tyle ważne, że nigdy nie wiadomo, ile faktycznie dziecko zje. – Do pompy insulinowej powinna płynąć insulina, która swoją farmakodynamiką i farmakokinetyką jest jak najbardziej zbliżona do insuliny wydzielanej przez prawidłowe komórki beta trzustki – tłumaczy prof. Myśliwiec.

Nowa insulina szybkodziałająca znacznie szybciej i skuteczniej obniża poziom glukozy po posiłku, poprawia więc wyrównanie metaboliczne. – Jesteśmy w trakcie rozmów z Ministerstwem Zdrowia na temat częściowej refundacji systemu do monitorowania glikemii Flash. Dodatkowo jeśli w osobistych pompach insulinowych będzie płynąć ultraszybko działająca insulina, to praktycznie będziemy mogli powiedzieć, że leczenie dzieci z cukrzycą typu 1 jest w Polsce na poziomie światowym – przekonuje prof. Małgorzata Myśliwiec.

Pozytywną wiadomością jest też to, że jesteśmy coraz bliżej wytworzenia sztucznej trzustki, określanej jako tzw. pętla zamknięta. Chodzi o pompę insulinową zintegrowaną z systemem do ciągłego monitorowania glikemii. Pompa sama oceni, ile trzeba podać insuliny, w zależności od aktualnego poziomu cukru we krwi i zjedzonego posiłku. Kolejna dobra wiadomość: Polska jest jednym z liderów badań nad terapią, która ma szansę nie dopuścić do rozwinięcia się cukrzycy typu 1 lub opóźnić jej pojawienie się. Od kilku lat na Gdańskim Uniwersytecie Medycznym zespół prof. Piotra Trzonkowskiego i prof. Natalii Marek-Trzonkowskiej we współpracy z prof. Małgorzatą Myśliwiec prowadzi prace nad tzw. limfocytami regulatorowymi (Tregs), które są w stanie zatrzymać niszczenie komórek produkujących insulinę. Terapię dostało do tej pory 63 dzieci, dzięki grantom naukowym, m.in. z programu STRATEGMED. Wyniki są bardzo pozytywne. – Jesteśmy w przededniu trzeciej fazy badań klinicznych. Nie była to łatwa droga, nikt w Polsce nie zaszedł tak daleko. Najczęściej globalna firma kupowała wynalazek, a nam zależy, żeby terapia wymyślona przez polskich naukowców została udostępniona w Polsce. Mamy nadzieję, że badania się powiodą, a terapia zostanie zarejestrowana przez Europejską Agencję Leków (EMA) już za cztery lata – mówi prof. Myśliwiec.

Fakty o cukrzycy

W Polsce na cukrzycę typu 1 choruje ok. 150 tys. osób; dynamika wzrostu zapadalności w naszym kraju jest jedną z najwyższych w Europie. Przyczyna choroby nie jest do końca znana: to splot czynników genetycznych, środowiskowych, żywieniowych, zmiany cywilizacyjne. Na cukrzycę typu 2 choruje ponad 3 mln osób, blisko jedna trzecia o tym nie wie. Najczęstsze przyczyny to: styl życia, nadwaga, otyłość, brak ruchu.

2 JAK „DRUGA PRĘDKOŚĆ"

W odróżnieniu od „jedynki" cukrzyca typu 2 to choroba zupełnie innej prędkości. Rozwija się powoli, przez wiele lat skrycie, nie dając objawów. Nadal zdarza się, że zostaje zdiagnozowana dopiero, gdy pacjent trafia do szpitala z powodu zawału serca czy udaru mózgu, gdy okazuje się, że przyczyną jest niewykryta i nieleczona cukrzyca.

Chociaż choroba przez wiele lat nie daje objawów, to systematycznie niszczy naczynia krwionośne: zarówno duże, jak i małe. Powikłania dotyczą całego organizmu: serca, nerek, wzroku, mózgu, układu nerwowego. Cukrzycy typu 2 w dużej mierze można zapobiec dzięki aktywności fizycznej, zdrowemu odżywianiu i zachowaniu szczupłej sylwetki, jednak zmiana nawyków nie jest prosta. – Zmiany cywilizacyjne przekładają się na wzrost zachorowalności, ponieważ sprzyjają nadwadze i otyłości. Poza tym żyjemy coraz dłużej, a długość życia jest najpoważniejszym czynnikiem ryzyka wystąpienia cukrzycy typu 2 – przekonuje prof. Leszek Czupryniak,

eprasa.pl 7cae2d5e67

kierownik Kliniki Diabetologii i Chorób Wewnętrznych Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego.

Jeśli choroba już się ujawniła, to trzeba ją leczyć. Niestety z efektywnym leczeniem w Polsce jest problem. Brakuje diabetologów, poradni stopy cukrzycowej, pielęgniarek diabetologicznych i edukatorów wspomagających pacjentów w zmianie stylu życia, który na każdym etapie choroby jest podstawą. Brakuje też nowoczesnych leków.

CHRONIĆ SERCE I DŁUŻEJ ŻYĆ

Przekonanie, że najważniejszym celem leczenia cukrzycy typu 2 jest wyrównanie poziomu cukru we krwi, zostało w ostatnich latach obalone. Dziś najważniejszy cel to ustrzec chorego przed powikłaniami. – Leczymy nie tylko nieprawidłowe wartości cukru, ciśnienia tętniczego czy lipidów, ale staramy się przede wszystkim zmniejszyć ryzyko i spowolnić postęp chorób sercowo-naczyniowych, a w efekcie wydłużyć życie naszych chorych. To nasz główny cel – mówi prof. Janusz Gumprecht z Katedry i Kliniki Chorób Wewnętrznych, Diabetologii i Nefrologii Śląskiego Uniwersytetu Medycznego.

Zmiana podejścia do celu leczenia to efekt wyników badań nad nowymi lekami przeciwcukrzycowymi pod kątem bezpieczeństwa sercowo-naczyniowo-nerkowego. Amerykańska Agencja do spraw Żywności i Leków (Food and Drug Administration) zaleciła w 2008 r., by każda nowa cząsteczka wprowadzana do terapii była sprawdzana pod kątem bezpieczeństwa sercowo-naczyniowego, czyli czy lek stosowany w cukrzycy nie jest szkodliwy dla serca. – Okazało się, że niektóre leki nie tylko wyrównują poziom cukru we krwi i są bezpieczne, lecz także w grupie chorych obciążonych kardiologicznie mogą też zmniejszać ryzyko sercowo-naczyniowe czy wręcz wydłużać życie – dodaje prof. Gumprecht.

Chodzi o leki z dwóch grup: inhibitorów SGLT-2 (flozyny) oraz agonistów receptora GLP-1 (lek inkretynowy). – Pierwszym, najbardziej spektakularnym badaniem nad bezpieczeństwem sercowo-naczyniowym flozyn było badanie EMPA-REG Outcome dotyczące empagliflozyny. Wykazało, że stosując ten lek, możemy wydłużyć życie pacjentów obciążonych kardiologicznie. Zostało to nawet zapisane w charakterystyce produktu leczniczego, co jest sytuacją bez precedensu – opowiada prof. Gumprecht.

Kolejne badania nad następnymi lekami z grupy flozyn potwierdziły korzystne działanie całej grupy, pomimo pewnych różnic, prawdopodobnie wynikających z doboru pacjentów do badań. Co ważne, flozyny zmniejszały też ryzyko hospitalizacji z powodu niewydolności serca i chroniły nerki. Oprócz flozyn również bardzo korzystne wyniki w zapobieganiu progresji schorzeń sercowo-naczyniowych mają agoniści receptora GLP-1.

Badania okazały się na tyle spektakularne i przełomowe, że amerykańskie i europejskie towarzystwa diabetologiczne zmieniły zalecenia dotyczące leczenia. Wskazały, by zaczynać terapię od metforminy, jeśli jednak pojawia się konieczność dodania drugiego leku, a chory ma obciążenia kardiologiczne, to powinien otrzymać albo lek z grupy flozyn, albo agonistę receptora GLP-1. Takie są również zalecenia Polskiego Towarzystwa Diabetologicznego (PTD). – Wybór powinien zależeć od preferencji pacjenta, gdyż agonistę receptora GLP-1 podaje się w iniekcjach podskórnych, a flozynę przyjmuje się doustnie, w postaci tabletek. Trzeba też brać pod uwagę schorzenia współistniejące. Gdy pojawiają się dodatkowo cechy przewlekłej niewydolności serca, preferowane są flozyny. Trwają nawet zaawansowane badania nad efektywnością i bezpieczeństwem stosowania tych leków u chorych z niewydolnością serca bez współistniejącej cukrzycy – dodaje prof. Gumprecht.

Mimo rekomendacji wszystkich ponadnarodowych towarzystw naukowych, a także starań PTD, które od wielu lat występuje o refundację nowoczesnych terapii, żadnej nie ma na razie na liście leków refundowanych. – Niestety, nie możemy u większości chorych stosować najwłaściwszej w świetle aktualnej wiedzy medycznej opcji terapeutycznej – mówi prof. Czupryniak. – Bolejemy nad tym, że nasi pacjenci mają ograniczony dostęp do nowoczesnych terapii. Jesteśmy jedynym krajem, który nie ma żadnej formy refundacji tych leków. Wielu pacjentów na takie leczenie po prostu nie stać, choć ewidentnie wydłużyłoby ono ich życie – potwierdza prof. Gumprecht.

MONIKA ZAMARLIK, prezes Federacji Diabetyków

Cukrzyca typu 1 nie kończy się po 26. roku życia, a niestety osoby w tym wieku tracą w Polsce możliwość refundacji pomp insulinowych i systemów do ciągłego monitorowania glikemii. Często są to osoby wchodzące na rynek pracy, nie mają jeszcze tak dobrej sytuacji ekonomicznej, by mogły same zapłacić za nowoczesne leczenie, dlatego bywa, że z niego rezygnują. Refundacja nie powinna być ograniczona wiekiem. Zależy nam również na refundacji systemów do monitorowania glikemii typu Flash, które mogą stosować osoby nieużywające pompy. Umożliwia to dyskretne sprawdzenie poziomu cukru we krwi, np. w pracy. Refundacja nie wiązałaby się z dużymi kosztami dla ministerstwa, gdyż te osoby automatycznie przestałyby używać pasków do mierzenia poziomu cukru.
Czekamy też na uregulowanie kwestii udzielania pomocy dzieciom z cukrzycą w przedszkolu i szkole, np. przy mierzeniu poziomu cukru czy podawaniu insuliny. Nie we wszystkich placówkach są pielęgniarki. Te kwestie miała uporządkować tzw. ustawa o medycynie szkolnej. Poprawy wymaga też system orzekania o niepełnosprawności, zwłaszcza dzieci z cukrzycą typu 1.

ANNA ŚLIWIŃSKA, prezes Polskiego Stowarzyszenia Diabetyków

Leczenie cukrzycy typu 2 w Polsce pozostawia wiele do życzenia. Odstajemy od poziomu europejskiego, głównie ze względu na brak dostępu do nowoczesnych terapii. Chorzy od wielu lat nie mogą się doczekać refundacji leczenia, które powinno być standardem. Nazywane jest ono nowoczesnym, ale w innych krajach Unii Europejskiej, nawet w tych mniej zamożnych niż Polska, nie ma już ono aury innowacji i jest powszechnie stosowane. Są terapie bardzo dobrze trafiające w potrzeby chorych, mogące zapobiec wystąpieniu powikłań. Nie jest to jednak osiągalne dla przeciętnego polskiego diabetyka. Lipcowa lista leków refundowanych kolejny raz nie przyniosła oczekiwanego przełomu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7cae2d5e67

Postaw na komfort podróży
Nowa Toyota Camry

SIMPLY SAFELY FOR LESS

RENTIS
Smart way to rent a car

+48 720 200 500 www.rentis.pl info@rentis.pl

OGÓLNOPOLSKA WYPOŻYCZALNIA SAMOCHODÓW

BIAŁYSTOK +48 519 535 331 **BYDGOSZCZ** +48 519 535 300 **GDAŃSK** +48 519 535 311 **GORZÓW WLKP.** +48 519 535 327
KATOWICE +48 519 535 301 **KIELCE** +48 519 535 304 **KRAKÓW** +48 519 535 305 **LUBLIN** +48 519 535 318
ŁÓDŹ +48 519 535 308 **OLSZTYN** +48 519 535 314 **OPOLE** +48 519 535 307 **PŁOCK** +48 519 535 334 **POZNAŃ** +48 519 535 303
RZESZÓW +48 519 535 306 **SZCZECIN** +48 519 535 310 **WARSZAWA** +48 519 535 302 **WROCŁAW** +48 519 535 307

eprasa.pl 7cae2d5e67

Katarzyna Pinkosz

Za tą decyzją stoi życie wielu osób – tak wejście od lipca na listę leków refundowanych nowoczesnej terapii anty-ALK określa Karolina, która choruje na ten rzadki podtyp raka płuca. – To sukces, chapeau bas, że to się udało – podkreśla prof. Dariusz M. Kowalski, onkolog

Cztery tabletki dziennie

Szczupła, młoda: nie pasuje do typowego wizerunku osoby chorującej na raka płuca. Karolinę poznaję rok temu: towarzyszą jej mąż i 6-letni synek. Głos załamuje jej się, gdy opowiada, że kiedy pierwszy raz usłyszała diagnozę, zastanawiała się, czy Antek ją zapamięta; miał wtedy dwa lata. Po diagnozie zaczęła cenić każdą chwilę spędzoną z mężem i synkiem. Kiedy o tym opowiada, nie udaje się ju ż jej powstrzymać łez.

PIERWSZA NADZIEJA

Miała 28 lat, kończyła studia, chciała zostać fizjoterapeutką, dbała o zdrowe odżywianie i aktywność fizyczną. Prowadziła zajęcia z aerobiku: to właśnie podczas ćwiczeń zaczął pojawiać się kaszel. Infekcja, alergia? Leczenie nie pomagało. Gdy w wykasływanej wydzielinie pojawiła się krew, lekarz skierował ją na zdjęcie RTG i do pulmonologa. Trudno było uwierzyć w diagnozę raka płuca z przerzutami. Jak to możliwe, skoro nigdy nie paliła papierosów, nie była też palaczem biernym, mieszka w rejonie ekologicznie czystym? – To się zdarza – usłyszała od lekarzy. Chemioterapia i radioterapia powstrzymały rozwój choroby, ale po dwóch latach doszło do progresji. Zaproponowano jej kolejną chemioterapię, jednak nikt nie dawał jej szans na więcej niż kilka miesięcy życia.

Tuż przed rozpoczęciem leczenia, namówiona przez znajomych, pojechała na wizytę do Centrum Onkologii w Warszawie. Tu powtórzono badania molekularne nowotworu: okazało się, że Karolina ma trochę szczęścia. Badanie wykazało tzw. rearanżację w genie ALK. To bardzo szczególny podtyp nowotworu płuca. Często chorują na niego właśnie osoby młode, które nigdy nie paliły papierosów. Szczęście polega na tym, że na ten podtyp nowotworu płuca – który ma ok. 5 proc. chorych – jest już leczenie celowane, dużo skuteczniejsze niż chemioterapia. – Od ok. 10 lat są dostępne na świecie tzw. inhibitory kinazy tyrozonowej, leki ukierunkowane molekularnie. Hamują aktywność białka ALK, co powoduje zatrzymanie procesu namnażania komórek nowotworowych – wyjaśnia prof. Rafał Dziadziuszko, zastępca kierownika Katedry i Kliniki Onkologii i Radioterapii Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego.

Żaden lek z tej grupy nie był jeszcze wtedy w Polsce refundowany. Karolina została jednak włączona do badań klinicznych kryzotynibu, inhibitora ALK pierwszej generacji, prowadzonych w warszawskim Centrum Onkologii. Choroba się cofnęła. Karolina wróciła do życia, pracy, rodziny. Niestety, po dwóch latach nowotwór przełamał działanie leku i doszło do progresji choroby. – Tak się niestety dzieje. Przyczyną jest pojawienie się mutacji w genie ALK. Mamy już terapie, które tę oporność przełamują: to

eprasa.pl 7cae2d5e67

FOT. ADOBE STOCK

leki ukierunkowane molekularnie drugiej i trzeciej generacji – dodaje prof. Dariusz M. Kowalski, kierownik Oddziału Zachowawczego Kliniki Nowotworów Płuca i Klatki Piersiowej Centrum Onkologii w Warszawie, prezes Polskiej Grupy Raka Płuca.

NOWA SZANSA

Karolina drugi raz miała szczęście: udało jej się dostać do kolejnego badania klinicznego, tym razem leku drugiej generacji, który przełamuje oporność na leczenie, czyli alektynibu. Przyjmuje go już trzy miesiące. – Jeśli u chorego dojdzie do progresji choroby po leku pierwszej generacji i zastosujemy terapię kolejnej generacji, to z reguły znów jest możliwe zahamowanie choroby i jej cofnięcie. Ponad rok temu ukazały się wyniki badań, które wykazały, że jeżeli chorych z rearanżacją genu ALK leczymy sekwencyjne, czyli stosujemy leki kolejnych generacji, to mediana przeżycia wynosi prawie siedem lat, co jeszcze niedawno było nie do pomyślenia w zaawansowanym raku płuca! – podkreśla prof. Kowalski.

Karolina czuje się dobrze, co cztery tygodnie przyjeżdża do Warszawy na kontrole. – Mam badania, wizytę u lekarza; jeśli wyniki są dobre, to profesor wypisuje zlecenie na leki. Całe moje leczenie to przyjmowanie czterech tabletek dziennie: dwóch rano i dwóch wieczorem. Mam nadzieję, że nowa terapia będzie działać jeszcze dłużej niż ta pierwsza. Tego muszę się trzymać – uśmiecha się.

Nie wszyscy chorzy mają jednak możliwość zakwalifikowania się do badań klinicznych. Dlatego lekarzy tak cieszy to, że w ubiegłym roku na liście leków refundowanych pojawił się kryzotynib, czyli lek pierwszej generacji, a od lipca tego roku – alektynib, czyli lek drugiej generacji. – To sukces, wielka rzecz, trzeba podziękować Ministerstwu Zdrowia, organizacjom pacjenckim, lekarzom, grupom ekspertów. Na dziś w leczeniu raka płuca ALK-dodatniego mamy naprawdę idealną sytuację! Chapeau bas, że tak się stało – mówi z entuzjazmem prof. Kowalski.

Ekspertów cieszy też taka konstrukcja programu lekowego, która umożliwia podawanie nowego leku nie tylko pacjentom, którzy przyjmowali kryzotynib i pojawiła się u nich oporność, lecz także tym będącym na początku leczenia. Zgodnie z zasadą „złotej strzały" leki najbardziej efektywne powinno się stosować jak najwcześniej. – Alektynib będzie można zastosować w trzech sytuacjach: w pierwszej linii, czyli przed jakimkolwiek leczeniem; w drugiej linii, czyli po pojawieniu się oporności na kryzotynib; oraz w trzeciej linii, czyli u chorych, którzy dostawali już chemioterapię oraz lek pierwszej generacji, ale znów doszło do kolejnej progresji choroby – podkreśla prof. Kowalski.

Przewagą leku drugiej generacji jest to, że osiąga on wysokie stężenia w płynie mózgowo-rdzeniowym. Dzięki temu lepiej chroni przed przerzutami do mózgu, do których często dochodzi w tym podtypie raka płuca. – Zastosowanie tej terapii już w pierwszej linii zmniejsza ryzyko przerzutów do ośrodkowego układu nerwowego w stosunku do leku pierwszej generacji aż cztero-, pięciokrotnie – ocenia prof. Kowalski. Właśnie dlatego w niektórych krajach ten lek jest stosowany już w pierwszej linii. Od lipca będzie to możliwe także w Polsce.

NIE ŚMIERTELNY, TYLKO PRZEWLEKŁY

Karolina stara się żyć normalnie: pracuje, a czas wolny dzieli między męża i Antka, który od września idzie do pierwszej klasy. Cieszy się, że lek, który dla niej okazał się kolejną szansą na życie, będą mogli przyjmować inni chorzy. – Napisałam nawet w tej sprawie list do ministra z podziękowaniami. Za tą decyzją stoi życie wielu osób, często młodych kobiet, mężczyzn – mówi Karolina. Marzy, że uda jej się zorganizować grupę osób, które mają ALK-dodatniego raka płuca, by wymieniać się doświadczeniami z leczenia, móc rozmawiać o niepokojących objawach, wspierać innych. Swojego czasu życia nie mierzy już w miesiącach, tylko w latach. Chce zobaczyć, jak jej syn dorasta.

Profesor Kowalski podkreśla, że teraz, gdy w leczeniu tego podtypu nowotworu płuca są w Polsce dostępne już dwa leki, będzie można dla pacjentów tak dobierać terapię, by jak najbardziej wydłużyć im życie, a jednocześnie zminimalizować ryzyko działań niepożądanych. Dla lekarza ważna jest możliwość wyboru, gdyż każdy pacjent choruje inaczej.

Jeszcze kilka lat temu w przypadku zaawansowanego raka płuca nie było żadnego leczenia, poza chemio- i radioterapią. Obecnie, dzięki nowym terapiom ukierunkowanym molekularnie oraz immunoterapii, która „odblokowuje" zaślepiony przez nowotwór układ immunologiczny, zaawansowany rak płuca w niektórych przypadkach powoli staje się chorobą coraz bardziej przewlekłą. Powoli i niestety jeszcze nie dla wszystkich. Jednak dobrą wiadomością jest też to, że te nowe terapie stają się dostępne także dla polskich pacjentów.

Drugą dobrą wiadomością jest też to, że pojawiło się małe światełko w tunelu dla chorych na raka płuca drobnokomórkowego, dla których poza chemio- i radioterapią nie było nic. – Na horyzoncie jest immunoterapia już w pierwszej linii: pojawiła się już taka rejestracja w USA. Inna rejestracja w Stanach dotyczy terapii w trzeciej linii leczenia. Czekamy teraz na rejestracje w Europie. Ten podtyp raka płuca jest zdecydowanie trudniejszy w leczeniu, jednak pojawiają się pierwsze nadzieje – dodaje prof. Kowalski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Pani Karolina bardzo dziękuje prof. Dariuszowi Kowalskiemu za uratowanie życia oraz wszystkim pracownikom kliniki Nowotworów Płuca i Klatki Piersiowej Centrum Onkologii w Warszawie za doskonałą opiekę. Dziękuje też wszystkim osobom, które przyczyniły się do tego, że nowe leki są dostępne dla pacjentów w Polsce.

eprasa.pl 7cae2d5e67

JACEK KOMUDA

GRZECHY PIASTÓW

Pierworodny i przeklęty

Bezprym lub Bezprzem, pierworodny syn Bolesława Chrobrego spłodzony z nieznaną z imienia księżniczką węgierską – być może Judytą lub Karoldą – nie zapisał się dobrze w dziejach Polski. Historycy stawiają go w roli uzurpatora, nie biorąc pod uwagę tego, że jako najstarszy syn króla miał prawo sięgnąć po tron. Tymczasem Chrobry wyznaczył na następcę jego młodszego, przyrodniego brata – Mieszka II Lamberta, pomijając także jego młodszego brata – Ottona.

Jaki był powód odsunięcia od tronu najstarszego Piastowica? Gerard Labuda podaje, że w 987 r. Bolesław rządzący własną dzielnicą w Krakowie rozwiódł się z żoną Węgierką i poślubił Emnildę, córkę Dobromira z Moraw, z którą miał później dwóch synów – wspomnianego Mieszka II, króla Polski, i Ottona. Oddalona pierwsza małżonka wróciła zapewne wraz z dwuletnim synem na Węgry, a Bezprym pojawił się na dziejowej widowni dopiero ok. 1031 r., w momencie wielkiego kryzysu monarchii.

Historycy nie są zgodni, co się z nim działo. Labuda podaje, że nawiązał kontakty z księciem Jarosławem Mądrym, chcąc zdobyć jego poparcie. Z kolei Sławomir Syty uważa, że podobnie jak sto lat później Zbigniew został wysłany do klasztoru do Włoch, gdzie przebywał u benedyktynów w Pereum. Bezsprzecznie Bezprym działał w porozumieniu z przyrodnim bratem Ottonem, również pozbawionym szans na sukcesję i własną dzielnicę. Jak podaje Labuda, udało mu się zmontować dwustronny sojusz niemiecko-ruski. W 1031 r. cesarz odebrał Mieszkowi II Łużyce i Budziszyn, po czym zmusił do zawarcia pokoju, a jednocześnie Jarosław Mądry uderzył od wschodu, zdobywając Grody Czerwieńskie i Bełz. W tej sytuacji spiskowcom udało się wzniecić w kraju bunt –

FOT. WIKIPEDIA

pokonany Mieszko II musiał uchodzić, władzę przejął Bezprym, wydzielając jakąś dzielnicę – zapewne Śląsk – Ottonowi. Gerard Labuda w biografii Mieszka II stawia tezę, że to właśnie Bezprym wywołał w Polsce reakcję pogańską, obalając istniejący porządek rzeczy.

Chociaż hipoteza ta daje wiele do myślenia pisarzowi powieści historycznych, kilka rzeczy zdaje się jej przeczyć.

Po pierwsze, żadne obce źródła nie nazywają Bezpryma odstępcą od wiary.

Po drugie, jeśli reakcja pogańska zainicjowana została przez księcia, a więc najwyższą władzę, to dlaczego główne ośrodki chrześcijaństwa – takie jak Gniezno ze zwłokami św. Wojciecha, Ostrów Lednicki czy Giecz – zniszczone zostały dopiero znacznie później, przez najazd Brzetysława po wypędzeniu z Polski syna Mieszka, Kazimierza Odnowiciela, w 1038 r.?

Po trzecie, jeśli sprawcą buntu stałby się władca, dlaczego nie zacząłby od burzenia katedr i kościołów z rzekomej zemsty za zniszczenie religii pogańskiej? Niewykluczone jednak, że Bezprym wywołał nie reakcję przeciwko chrześcijaństwu, ale zwykły bunt przeciwko władzy państwowej, której główną podporą był Kościół. Byłby zatem pierwszym rewolucjonistą i romantycznym buntownikiem w historii Polski.

Przejąwszy rządy na jesieni 1031 r., jak podaje „Rocznik z Hildesheim", „ów Bezprym odesłał cesarzowi koronę wraz z innymi insygniami królewskimi, które brat jego niesłusznie sobie przywłaszczył, a równocześnie przez posłów swoich kornym przesłaniem obiecał poddać się cesarzowi". Nie ma jednak dowodów, że naprawdę to uczynił. Istnieje bowiem drugie źródło – kronika klasztoru w Brau-weiler, która podaje, że wywiozła je z Polski żona Mieszka II Rycheza, która rozwiodła się z królem z powodu „nienawiści i podjudzania niejakiej nałożnicy", po czym przybyła do cesarza do Saksonii, przywożąc dwie korony: swoją i małżonka Mieszka II.

Jeśli nawet nie był buntownikiem, to Bezprym zasłynął walką ze stronnikami brata. Ofiarami represji stali się dwaj biskupi – krakowski Lambert i poznański Roman, których śmierć odnotowują w jednym roku roczniki krakowskie. Zgon dwóch dostojników świadczy o okrucieństwie represji; zapewne dlatego rządy nowego księcia trwały zaledwie do wiosny 1032 r., gdy został „zamordowany przez swoich, nie bez poduszczenia braci".

Spisek Bezpryma oznaczał jednak cios w Królestwo Polskie. Utrata klejnotów koronnych otwierała drogę do zrzeczenia się tytułu królewskiego przez Mieszka II na spotkaniu z cesarzem w Merseburgu. Co gorsza, dawne królestwo, a teraz księstwo, wracało znowu do zasady podziału jego ziem pomiędzy członków panującej dynastii. Pozostało jednak niezależne od cesarza i jeszcze zachowało część sił. Dopiero późniejsze wydarzenia – dalszy ciąg powstania ludowego, kolejne bunty i najazd Brzetysława – doprowadziły kraj do ruiny, z której ledwo wydźwignął je Kazimierz Odnowiciel. ©℗

eprasa.pl 7cae2d5e67

CZERWONE GITARY, CZERWONE PAPRYKI I DŻEM JERZEGO SKRZYPCZYKA

Często po koncertach dostajemy różne podarunki, ale po koncercie w „paprykowym zagłębiu" w okolicach Radomia prezent był wyjątkowo oryginalny. Każdy muzyk otrzymał karton czerwonej papryki. Papryka była dorodna i bardziej czerwona niż kolor naszych gitar. Przy tej okazji spytałem darczyńców, czy jedli dżem z czerwonej papryki.

Z ich min wywnioskowałem, że pierwszy raz słyszą o czymś takim. Nie zdziwiłem się tą reakcją. Takie samo pytanie zadała mi kiedyś jedna pani, kiedy w czasie chwilowej przerwy w działalności zespołu, jako osoba pochodząca z rodziny rolniczej, zajmowałem się produkcją owoców i warzyw, w tym właśnie uprawą papryki. Moja reakcja była wtedy taka sama jak podradomskich producentów. Wziąłem od tej pani przepis i wraz z żoną postanowiliśmy zaryzykować. Gdybym wiedział, czym to się skończy, to prawdopodobnie takiego ryzyka bym się nie podjął. Ale po kolei…

Składniki:

- 1 kg dobrze wybarwionej czerwonej papryki
- 1/2 kg cukru (jeżeli ktoś lubi bardzo słodkie, to więcej)
- 1 cytryna

Przygotowanie:

Paprykę przepuszczamy przez maszynkę do mięsa, a następnie wkładamy do garnka. Dosypujemy cukier i gotujemy jak konfiturę. W chwili, gdy produkt osiągnie konsystencję rzadkiego dżemu, dodajemy sok z cytryny. Gotujemy jeszcze trochę na małym ogniu – i tyle.

Jeszcze ciepłym dżemem napełniamy małe słoiczki, parę kropli spirytusu na wierzch dżemu, spirytus podpalamy i zakręcamy słoiczek.

Teraz o tym ryzyku

Jeżeli chcecie długo cieszyć się smakiem dżemu z czerwonej papryki, to nie częstujcie nim gości. Ilekroć moja gościnna żona dawała komuś posmakować, tylekroć nasze całe zapasy od razu były rozdawane zachwyconym gościom (dlatego napełniamy małe słoiczki). Można oczywiście temu zapobiec, parokrotnie zwiększając liczbę składników. I to chyba będzie najlepsze rozwiązanie. Pozdrawiam wszystkich bardzo serdecznie w imieniu swoim i kolegów z Czerwonych Gitar, obdarowanych kartonami czerwonych papryk. ©℗

oprac. raw

FOT. ARCHIWUM JERZEGO SKRZYPCZYKA

Jerzy Skrzypczyk jest perkusistą, kompozytorem i wokalistą, założycielem Czerwonych Gitar (gra w zespole do dziś).

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

JOANNA BOJAŃCZYK

Zaklęcia IT

W naszym domowym księgozbiorze jest pewien dział nigdy nieczytany. To instrukcje obsługi. Mamy tego pokaźną kolekcję, podobnie jak (co podejrzewam) każdy przeciętny obywatel. Wbrew pozorom nasycenie naszego gospodarstwa sprzętem AGD nie jest szczególnie wysokie. Czajnik, odkurzacz, pralka, suszarka do włosów. Nie mamy nawet głupiej elektrycznej maszynki do gotowania jajek, krajalnicy do chleba, elektrycznego parowara ani termomiksu, modnego urządzenia, które podobno samo gotuje obiad i piecze ciasto. No trudno, przyznam się do posiadania jednego całkowicie bezsensownego urządzenia, czyli ręcznego odkurzacza na baterię. Użyłam go dwa razy…

Ale i tak jest tego wystarczająco dużo, żeby kiedy coś się zepsuje, zacząć gorączkowo szukać, gdzie jest do tego instrukcja. I wtedy okazuje się, że – owszem – jest, ale do pralki, której pozbyliśmy się siedem lat temu, do stołu, o którym już wszyscy zapomnieli, i do odkurzacza wyrzuconego dawno temu. W skali krajowej mamy tego całego niezbędnego elektrośmietnika bardzo dużo. Jak podaje „Puls Biznesu", na rynek trafiło w ubiegłym roku 5,967 mln sztuk pralek, suszarek, zmywarek, lodówek i zamrażarek, kuchenek, piekarników i płyt oraz okapów kuchennych. Każde z nich oczywiście zaopatrzone jest w stosowną instrukcję.

– E tam, wszystkie urządzenia elektroniczne działają tak samo – mówi mój syn,

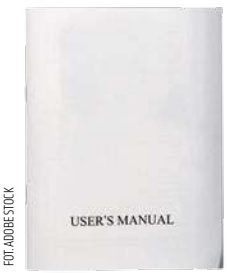

FOT. ADOBE STOCK

informatyk, krzywiąc się na te wszystkie księgi. Może dla niego i dla młodszego pokolenia, które potrafi ikonki na wyświetlaczu od razu rozkminić. Nie dla mnie – ja proszę o słowo pisane. Obrazek mi nie wystarcza. A ponieważ nie mam siły na lekturę 200-stronicowych dzieł w językach japońskim, norweskim, węgierskim i czeskim, poprzestaję na dwóch, góra trzech funkcjach każdego sprzętu. Reszta pewnie też do czegoś służy, ale kto by to badał. W takim podejściu do nowych technologii nie jestem, zdaje się, odosobniona. Znajomi też piorą na dwóch programach, o pozostałych nie mają pojęcia.

Komputery to całkiem oddzielna sprawa. Już człowiek przebolałby nawet instrukcję (jeden Apple uważa, że wszystko jest intuicyjne i instrukcji nie daje), ale tu jest znacznie gorzej. Hasła. Hasła są prześladowcą współczesnego człowieka. Do komputerów, banków, kont, komórek, sklepów internetowych, do wszystkiego. Jak je stworzyć, a potem zapamiętać? Zapisać na papierze w tajnym miejscu czy nigdy, przenigdy tego nie robić? Zaklęcia, które otwierają przestworza IT, to część magiczna współczesnej technologii. Myślenie racjonalne tutaj nie daje rady. ©℗

eprasa.pl 7cae2d5e67

SAMOCHÓD NA SŁOŃCE

Ten projekt powinien przekonać do ruchu samochodowego nawet najbardziej zagorzałych ekologów. Założony w roku 2016 start-up Lightyear z holenderskiego miasta Eindhoven zaprezentował prototyp samochodu osobowego napędzanego energią słoneczną. Moduły solarne zamontowane są na masce, dachu i bagażniku ważącego 1300 kg auta. Baterie ładują się non stop – zarówno podczas postoju, jak i podczas jazdy.

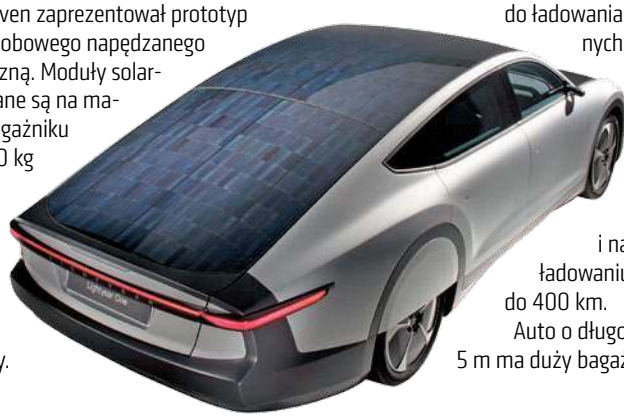

Deklarowany maksymalny zasięg w piękny, bezchmurny dzień ma wynosić nawet 800 km, a co za tym idzie – zminimalizować problemy z niedostatecznie rozbudowaną infrastrukturą do ładowania aut elektrycznych. W pochmurne dni samochód można naładować ze zwykłego gniazda i na jednym ładowaniu przejechać do 400 km.

Auto o długości niemal 5 m ma duży bagażnik (780 l) i ciekawą linię nadwozia. Jego masowa produkcja ma się rozpocząć w roku 2021, start-up sprzedał już 100 egzemplarzy solarnego samochodu. Pierwsze sztuki wycenione są na równowartość 475 tys. zł. Szefowie start-upu zapewniają jednak, że wraz z rosnącą liczbą produkowanych aut cena jednego egzemplarza będzie maleć.

ELEKTRYCZNA NORWEGIA

Bezemisyjne osobówki stanowiły w pierwszej połowie obecnego roku aż 48,4 proc. wszystkich sprzedanych w Norwegii aut, przez co kraj ten umocnił swoją pozycję na liście liderów samochodów elektrycznych w przeliczeniu na liczbę mieszkańców.

Najchętniej wybieraną nad fiordami marką samochodów jest Tesla – należy do niej już niemal jedna czwarta rynku – a zwłaszcza Model 3, Model S oraz Model X. Popularne wśród Norwegów są również „elektryki" takich marek, jak Hyundai, Kia, Nissan czy Renault.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (6)

JAK DŁUGO PRZETRWAJĄ DIESLE?

„Pogłoski o mojej śmierci są mocno przesadzone" – ogłosił Mark Twain na konferencji prasowej zwołanej po tym, jak gazety zaczęły powtarzać brednie o zgonie słynnego pisarza. Według BMW podobnie być może z silnikami spalinowymi. Według portalu Autonews bawarski koncern szacuje, że diesle przeżyją jeszcze co najmniej 20 lat, a jednostki benzynowe co najmniej lat 30.

NOWE AUDI S8

Już jesienią tego roku miłośnicy usportowionych limuzyn będą mogli zamawiać najnowsze Audi S8. Pod maską projektanci umieścili czterolitrowy, podwójnie doładowany silnik V8 o mocy 571 koni mechanicznych. Maksymalny moment

obrotowy wynosi aż 800 Nm. Prędkość maksymalną ograniczono do 250 km/godz. Usportowiona limuzyna wyposażona jest w napęd na obie osie oraz system skrętnych czterech kół. Dodatkowo w standardzie oferowane jest „predykcyjne" zawieszenie pneumatyczne, które może sterować wysokością każdego z kół i minimalizować przechyły nadwozia. Zawieszenie współpracuje z systemem Audi Pre Sense, dzięki czemu – w razie wykrycia ryzyka zderzenia bocznego – prześwit auta rośnie o 8 cm, tak aby zminimalizować skutki uderzenia. Za bezpieczeństwo odpowiadają też współpracujące z elektronicznymi asystentami radary, czujniki ultradźwiękowe, kamery oraz skaner laserowy. ©℗

Jacek Przybylski

eprasa.pl 7cae2d5e67

REPUBLIKA

zaprasza
Katarzyna Gójska

Niedziela 9:06

JEDYNA debata polityków najważniejszych opcji parlamentarnych, współtworzona przez widzów i słuchaczy

NA ŻYWO z Polskiego Radia 24, na antenie **TV Republika**

Nagraj pytanie, zostaw komentarz - 24h na dobę, 7 dni w tygodniu

ZADZWOŃ 22 645 24 00

Oglądaj również na www.telewizjarepublika.pl

eprasa.pl 7cae2d5e67

JOANNA SIEDLECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Tyrmandówka

Byłem na finansowym dnie, nie miałem na komorne, wakacje, benzynę kupowałem za pieniądze zaoszczędzone na posiłkach – przyznawał Leopold Tyrmand. Inwigilowany przez SB, objęty cenzurą, niewydawany, redukowany do roli speca od ciuchów i jazzu, zdecydował się na emigrację. Wyjechał w 1965 r. po siedmiu latach batalii o paszport, otrzymany wyłącznie dzięki pokumanemu z władzą Romanowi Bratnemu, z którym grywał w tenisa, a on z kolei polował z samym płk. Janicem z MSW.

Kroplą, która przepełniła czarę, wypchnęła Tyrmanda na emigrację, był brutalny tekst Andrzeja Kijowskiego z opiniotwórczej wtedy „Twórczości", deprecjonujący jego pisarstwo, nazywający go pisarzem dla gówniarzy. „Podpuścił" Kijowskiego szef „Twórczości", Jarosław Iwaszkiewicz – nienawidził Tyrmanda za oszałamiający sukces „Złego", według niego współczesnej „Trędowatej", a także za romans Tyrmanda z jego córką Marysią. „Warszawka sądziła, że będę zięciem Iwaszkiewicza" – pisał Tyrmand w swoim „Dzienniku 1954".

Po latach okazało się, że Kijowski, wbrew swoim zamiarom, wykrakał karierę Tyrmanda, bo większość lansowanych przez „Twórczość" pisarzy dla dorosłych nie istnieje, a gwiazda autora „Złego" błyszczy coraz mocniej, i to głównie dzięki gówniarzom. To przede wszystkim dla nich został postacią kultową, symbolem wolności i niezależności. To oni go czytają, piszą o nim kolejne biografie, organizują poświęcone mu wystawy, festiwale (Niewinni Czarodzieje), bikiniarskie „Tyrmandówki". Na jednej z nich zabawiali się wynajdywaniem w „Złym" najzabawniejszych grepsów, a jest ich tu cała masa, włącznie z nazwiskami bohaterów. Lekarz ginekolog nazywa się Dzidziaszewski, wścibski reporter – Wirus, bokser – Kruszyna, hochsztapler – Meteor. Kameralna jest knajpą, w której najlepiej się zapomina, „Gub się, szmaciarzu", wołał Kolodent, a do milicjanta zwracał się per „panie rewirowy".

Z racji swego późnego urodzenia gówniarze nie wiedzieli jednak, że w „Złym" najważniejsze jest to, czego w nim nie ma, a powinno, i co było dosłownie w każdej książce. Wyszedł przecież w grudniu 1955 r., gdy zaczęła się już wprawdzie odwilż, ale jeszcze przed Październikiem, w Warszawie nadal stalinowskiej i komunistycznej. A jego fenomen polegał właśnie na tym, że komunizmu w ogóle w niej nie było, że Tyrmand po prostu go do swojej książki nie wpuścił. Na jej blisko 700 stronach nie ma więc, co było wtedy nie lada wyczynem, słów „partia", „ZMP", „kolektyw", żadnego hasła typu „Ręce precz od Korei". Co więcej, nie ma słowa „Stalin", a także – w książce o Warszawie – kończonej już wtedy największej budowli Polski Ludowej, opiewanej przez kolegów Tyrmanda, czyli Pałacu Kultury i Nauki, sowieckiego daru, którego Tyrmand po prostu nie zauważył, mimo że było to niemożliwe, bo dzień i noc paliła się wtedy na nim na czerwono jarząca iglica, przezwana przez Hłaskę „periodem carycy". Nie ma też w „Złym" nazwy placu okalającego Pałac Kultury, nazwanego imieniem Stalina, Tyrmand pisał więc ironicznie o „największym placu Europy". Imieniem Stalina oszpecono też wówczas najbardziej reprezentacyjną z ulic – Aleje Ujazdowskie, które były teraz aleją Stalina, Tyrmand wymieniał więc jedynie pierwsze słowo – Marta umawiała się u niego z Halskim w kawiarni na rogu Alej i placu Trzech Krzyży. W pewnym sensie był Tyrmand prekursorem dekomunizacji warszawskich ulic, przeczuwając, że nowe ich nazwy są tylko tymczasowe i przejściowe. Stare śródmiejskie ulice – Chmielną, Złotą, Zgody – zgwałcono wtedy, nazywając je na cześć bojowców z GL czy AL – Rutkowskiego, Kniewskiego i Hübnera. Dla Tyrmanda były to nazwiska niewymienialne, lawirował więc, pisząc np. o „ulicy, na której leży kino Atlantic". Aby ominąć nazwisko jeszcze bardziej niewymawialne, tj. Feliksa Dzierżyńskiego, który został patronem pięknego placu, Tyrmand dokonywał niemalże cudów, pisząc np.: „Halski przeszedł na długi plac obramowany dostojną architekturą z czasów Królestwa Kongresowego, minął Ogród Saski i dotarł do rogu Królewskiej i Marszałkowskiej". Sądy mieściły się wtedy w alei gen. Karola Świerczewskiego, u Tyrmanda jednak są po staremu na Lesznie, Twarda jest Twardą, a nie KRN-u, Krajowej Rady Narodowej, której przewodniczył Bierut. Inaczej zresztą być nie mogło, bo czy bohaterowie „Złego", np. „parkieciara" Olimpia Szuwar, mogli mieszkać przy ulicy Juliana Marchlewskiego? Nie wymienił też Tyrmand nazwy nowego kina Moskwa, pisząc o „wielkim kinie u zbiegu Puławskiej i Rakowieckiej".

Zamiast tego była w „Złym" Warszawa „padająca pod obuchem odbudowy", która burzyła też całe jej ocalałe stare kwartały. Krochmalna, Sienna, Ceglana, bazar Różyckiego, Dziki Zachód – szemrane rewiry omijane przez pisarzy. PRL pojawił się w „Złym" tylko raz, ale szyderczo: „Kruszyna leżał w jesionce i kapeluszu na rozbebeszonym tapczanie, którego bielizna pościelowa zmieniana była po raz ostatni przed ogłoszeniem Planu 6-letniego". ©℗

eprasa.pl 7cae2d5e67

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

OKIEM JASTRZĘBIA

Łzy po Ryszardzie ocierając

Trochę za łatwe! Graniczące z naigrywaniem się. Może nawet ze znęcaniem się psychicznym nad rodzajem klęski człowieka, nad jego obaleniem się. O co chodzi? O to całe komentowanie odejścia Ryszarda Petru z polityki. Za łatwe to kopanie wywróconego. A tyle przecież dał nam emocji, radości, tyle zachwytu, tyle rozdziawienia, że – ale jak to tak można sformułować myśl, czy on specjalnie tak nowatorsko, czy też niestety nie? (Stawiałbym zdecydowanie na nie). Czy nie powinniśmy być mu choć odrobinę wdzięczni za te chwile niepowtarzalne?

Wdzięczność to jednak fałszywa moneta. I po tym wszystkim, co razem z Ryszardem przeszliśmy i przelecieliśmy na Maderę, teraz spotykają go szyderstwo oraz bicz kpiny. Tymczasem Petru powinien zostać pożegnany z honorami. Nie wiem, czy z szacunkiem, zastanawiam się jeszcze, ale na pewno zostanie w naszej pamięci jako jednostka politycznie kształtująca się na oczach publiczności, ale nie zdołała się ukształtować, ponieważ zabrakło czasu, a ludzie to wilcy.

Dobra tam, przyznam, że miałem to samo co państwo już w pewnym momencie. To znaczy, że obserwując wypowiedź Ryszarda, czekałem tylko z napięciem, kiedy coś (przepraszam) walnie. I zawsze, ale to zawsze mu się udawało, zawsze miał sukces. Jego przejęzyczenia przynależały do kategorii „jacięniemogę". To nowe święto Sześciu Króli, te dywagacje, czy można przerywać ciążę w 12 miesiącu, albo że jak chłopak chce iść do ginekologa, to musi z rodzicami, czy poinformowanie świata, że nasza obecna konstytucja pochodzi z 3 maja 1791 r., choć mnie najbardziej chyba ubawiło, kiedy Ryszard pomylił nazwę własnej, świeżo upieczonej partii i zamiast powiedzieć „Teraz" powiedział, że tworzy partię Razem, którą Adrian Zandberg razem z kolegami dawno już był utworzył.

Jak więc godnie pożegnać Ryszarda, który zgasł nam w polityce, aby (kibicuję z całego serca) sfeniksować się w biznesie? Naturalnie przyszły mi do głowy jako pierwsze skojarzenie „Treny" („Wielkieś nam uczynił pustki…"), ale byłby to rodzaj rozpaczy kabaretowej, więc może lepiej będą pasować słowa z „Hamleta", wypowiedziane do księcia przez ojczyma, w których to słowach jest przecież i nuta pocieszenia, i mądrość rzeczy, które nadejść muszą.

Nie bez znaczenia jest też to, że wypowiada je sam morderca, choć w tym przypadku nie jest to opinia społeczna, tylko króla Klaudiusza: „Dobry syn powinien / Jakiś czas boleć po śmierci rodzica / Lecz uporczywie trwać w utyskiwaniach / Jest to bezbożny okazywać upór / Sprzeciwiający się wyrokom niebios / Jest to niemęskie okazywać serce / Niesforny umysł i płochą rozwagę / Bo skoro wiemy, że coś jest zwyczajnym / Jak każda inna rzecz najpowszedniejsza / Na cóż, stawiając opór konieczności / Brać to do serca?". To co? Rozglądamy się za nowym Ryszardem? ©℗

MARCIN MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Lody o smaku tęczy

Czy jedzenie lodów może być deklaracją ideową? Czy kupując te, a nie inne, dokonujemy wyboru świadczącego o naszej „społecznej wrażliwości"? Ależ oczywiście. Od 2017 r. właśnie taką politykę prowadzi w Polsce grupa Unilever w – jak to się w żargonie marketingowym mówi – „strategii komunikacyjnej" lodów Ben & Jerry's. Dlaczego w takim razie piszę o nich dopiero teraz? Ot, na branżowym portalu Wirtualne Media pojawił się wspaniały wręcz wywiad z „country business lead marki", zatytułowany: „Ben & Jerry's nie zrezygnuje ze wspierania LGBT+, bo ludziom się to nie podoba".

Z litanii pięknych deklaracji o „społecznej odpowiedzialności biznesu" oraz „domaganiu się równości", bo „żadna miłość nie wyklucza", możemy się jednak dowiedzieć, co naprawdę siedzi w głowach aktywistów, którzy pod płaszczem globalnych interesów wielkich korporacji, poza lodami, wciskają ludziom również odrobinę kitu. Rozmowa zaczyna się od pochwał dla firmy, która ostatnimi czasy została wręcz obsypana nagrodami za swoje „odważne" kampanie reklamowe, z „Niezniszczalną tęczą" i „Polonezem równości" na czele. Tak, mogą o tym Państwo nie wiedzieć, ale projekcja hologramu tęczy na pl. Zbawiciela i jednopłciowy polonez w jednym z warszawskich liceów nie były spontaniczne ani oddolne, ale stanowiły starannie wyreżyserowaną kreację marketingową producenta lodów.

Tyle jeśli chodzi o kontekst, teraz smakowite szczegóły genezy zaangażowania w Polsce w tematykę LGBT. „Zanim powstał pomysł na tęczę, usiedliśmy do strategii, co Ben & Jerry's chce robić w Polsce w zakresie misji społecznej"– mówi młoda „country business lead marki", dodając, że na świecie jej korporacja ma dwie dziedziny, którymi się zajmuje – social justice (sprawiedliwość społeczna) i climate justice (sprawiedliwość klimatyczna). „Były dwa pomysły – smog albo wsparcie społeczności LGBT+. Uznaliśmy, że prawa mniejszości seksualnych w Polsce to taki obszar, którego nikt nie chce dotykać, prawdopodobnie ze strachu. Uznaliśmy, że czas najwyższy, by ktoś głośno powiedział, że tak być nie może w tym kraju, trzeba walczyć o równość dla wszystkich". I jak uznali, tak zrobili, lobbując od lat na rzecz „równości małżeńskiej", za którą idzie prawo do adopcji dzieci przez pary homoseksualne.

Mogło wypaść na smog, ale ponieważ – jak wszyscy dobrze wiemy – jest on w Polsce problemem niszowym i marginalnym, trzeba było walczyć na innym odcinku ideologicznego frontu. A że przy okazji się to opłaca? Cóż. „Jeśli jakiś brand jest wobec nas neutralny, to może wybiorę go z półki w sklepie, a może inny tak samo neutralny. Ale jeśli jakaś marka za czymś stoi, to jest to taka przewaga konkurencyjna, dzięki której konsument może zdecydować się na zakup marki, bo podziela jej wartości" – czytamy. Przynajmniej szczerze. ©℗

eprasa.pl 7cae2d5e67

OKIEM BLOGERKI

Tych klientów nie obsługujemy

KATARYNA

PATRYK JAKI: ***Ministerstwo Sprawiedliwości wywalczyło przed Trybunałem Konstytucyjnym coś, co wydawało się oczywiste. Nie można zmuszać nikogo do udziału w promocji wydarzeń LGBT – jeśli jest to sprzeczne z jego religią i wartościami. Ludzie, którzy tyle mówią o wolności – skazywaliby tylko za to, że ktoś się z nimi nie zgadza.***

Pomijając już fakt, że samo słowo „wywalczyło" brzmi zabawnie, gdy się wie, jaki jest skład Trybunału i że jest właśnie taki po to, żeby władza nie musiała przed nim nic „wywalczać", pan Jaki nie bardzo chyba zrozumiał istotę rozstrzygnięcia, które właśnie zapadło. Owszem, pretekstem do zajęcia się zakwestionowanym właśnie przepisem była głośna sprawa łódzkiego drukarza, który odmówił wydrukowania broszury organizacji LGBT, ale sam wyrok dotyczy czegoś zupełnie innego i nie ma nic wspólnego z klauzulą sumienia czy obroną wartości.

Przepis, którego konstytucyjność zanegowała Julia Przyłębska z koleżeństwem, brzmi: „Kto, zajmując się zawodowo świadczeniem umyślnie bez uzasadnionej przyczyny odmawia świadczenia, do którego jest obowiązany, podlega karze grzywny" i jak widać nie ma w nim nic o sumieniu jako podstawie karalnej odmowy. Przeciwnie, przepis ten uznawał za wykroczenie odmowę „bez uzasadnionej przyczyny", z czego można wnioskować, że odmowa z przyczyny uzasadnionej karalna nie jest. Konstytucja gwarantuje nam wolność sumienia, i tego trzeba było się trzymać, zamiast walczyć o zlikwidowanie przepisu, który umożliwia odmowę świadczenia usługi, bo klient ma piegi. Niestety Ministerstwo Sprawiedliwości wzięło się do tematu z właściwą sobie gracją i doprowadziło do skasowania przepisu, który do tej pory nie pozwalał przedsiębiorcy odmówić klientowi wykonania usługi bez podania żadnego powodu. Może tak właśnie ma wyglądać swoboda zawierania umów, w końcu jakoś się wszyscy godzimy na istnienie klubów, do których bramkarz wpuszcza tylko tych wyglądających na odpowiednio bogatych. Od teraz nie będzie już musiał udawać, że ma jakikolwiek powód.

Po wyroku Trybunału Konstytucyjnego, który właśnie skasował prawny zakaz nieuzasadnionego – podkreślam: nieuzasadnionego – odmawiania usługi, mamy sytuację, w której będzie możliwa odwrotność bojkotu konsumenckiego – a mianowicie bojkot konsumenta. I wbrew temu, jak chcą to widzieć niektórzy, nie ma to nic wspólnego z klauzulą sumienia, bo powody odmowy mogą być dowolne, a przede wszystkim – nie będą musiały być klientowi podane.

Gdyby Patryk Jaki zrozumiał znaczenie wyroku, z którego się tak cieszy, cieszyłby się ciut mniej, bo idę o zakład, że to właśnie środowiska prawicowe najszybciej i najboleśniej przekonają się, jak bardzo pyrrusowe jest zwycięstwo, które właśnie świętują.

Jeśli jutro modne warszawskie knajpy nakleją na drzwiach „polityków PiS nie obsługujemy", będzie to możliwe dzięki temu wyrokowi. Jestem gorącą zwolenniczką klauzuli sumienia w sprawie aborcji, nie uważam też, żeby każdy miał obowiązek świadczenia usług każdemu i w każdym zakresie, jeśli jest to sprzeczne z jego sumieniem, ale akurat nie o tym jest ten wyrok. O czym przekona się pewnie prędko sam pan Jaki, jeśli jakiś taksówkarz odmówi podwiezienia go, kwiaciarnia nie sprzeda kwiatów, a hotel nie przyjmie rezerwacji „bo nie". Od teraz mają prawo. ©℗

PODSŁUCHANE

Fajnans w Kajmanach

Rysiu, naprawdę chcesz odejść?! Ja bym ci nawet dał gdzieś jedynkę na moich własnych listach. Bez ciebie tu będzie pusto i smutno.
Dzięki, Grzegorz. Ale podjąłem już decyzję. A gdzie jedynkę?
Bo ja wiem... W Niedzicy na przykład.
A, to tam jest ten zamek krzyżacki. I potem będą się śmiać, że Ryszard z Krzyżakami przeciwko Polsce.
Nie, zamek krzyżacki to jest w Nidzicy. Bez „e".
Jak bez „e"? Zamk? Ja cię znam, kochany, ty mnie chcesz w coś wrobić. Tak tylko spytałem, z ciekawości, ale ja już mam robotę narajoną, dla wielkiej korporacji międzynarodowej będę robił i kasę tłukł.
Co to za korporacja?
O, tu mam wizytówkę, bo jeszcze nie pamiętam. „Internaszonal Fajans end Trejding Kąpany".
„Fajnans" chyba?
Fajans czy porcelana, co za różnica.
A gdzie mają siedzibę?
W Kajmanach.
Gdzie?
No w Kajmanach, gdzieś pewnie na Śląsku. Przez telefon tylko z nimi gadałem. O, tu masz napisane: „Kajmany".
To chyba trochę dalej...
Jeszcze dalej na północ? ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„W Europie PiS poniósł totalną klęskę, ale być może za kilka tygodni zniesione zostaną wizy do USA i – choć to sprawa absolutnie trzeciorzędna – usłyszymy, że to największy dyplomatyczny sukces w historii".

TOMASZ LIS *na Twitterze*

eprasa.pl 7cae2d5e67

fot. Jerzy Gumowski

Łomot (1)

Ciekawe: czy podczas wakacji też się będą tak wzajemnie okładać, czy się rozjadą i chwilowo zamilkną, robiąc antrakt w *„wojnie polsko–polskiej”*, stanowiącej — wbrew jej demonizowaniu przez marnie rozgarniętych komentatorów — normalną/rytualną (widoczną u licznych plemion padołu ziemskiego) naparzankę zwalczających się obozów politycznych? Przyjrzyjmy się więc tymczasem stanowi aktualnemu, zaczynając wszakże od *„background”u* historycznego.

Prawdziwą furorę robi w internecie rysunek ukazujący Krzyżaków, którzy przybywając pod Grunwald widzą Polaków tłukących się między sobą i konstatują kwaśno: *„ — Chyba zaczęli bez nas...”*. O tym tradycyjnym u Sarmatów wzajemnym żarciu się pisał Norwid esejem **„Gorzki to chleb jest polskość”**, a wcześniej Mickiewicz: *„Więc utraciwszy rozum w mękach długich/Plwają na siebie i żrą jedni drugich”* (1834). Te *„męki długie”* to były ciągnące się stuleciami przejścia polityczne, Historia nas bowiem nie oszczędzała, a my nawet zrywając pęta dzieliliśmy się na *„białych”* i *„czerwonych”*, umniejszając własne szanse sukcesu. Rosyjski XIX–wieczny historyk, prof. Mikołaj Wasiliewicz Berg, w swoim renomowanym dziele **„O polskich spiskach i powstaniach”** nie miał wątpliwości, że *„Polska już dawno by się wyzwoliła, gdyby Polacy byli zgodniejsi, umieli współpracować ze sobą działając politycznie, nie rozpadali się na tyle stronnictw”* (1873).

Trwający od początku III RP (trzy dekady już!) łomot między Salonem i antySalonem jest cały czas tak zawzięty, że nie daje kronikarzom wielu możliwości wskazania chwilowych choćby zgód, rozejmów, kompromisów. Jeśli odcedzić rzadkie ponadpartyjne konieczności międzynarodowe, exemplum przystąpienie do NATO — zostają same (równie nieliczne) śmierdzące pakciki, cichcem zawierane, a determinowane taktyką quasi–kryminalną, jak choćby pakt *„my nie ruszamy waszych, wy nie ruszacie naszych”* w sprawie tzw. *„lewych szwajcarskich kont”* (A.D. 2007 władze Szwajcarii przekazały polskiej prokuraturze nazwiska i stan kont kilkudziesięciu polskich *„grubych ryb”* — polityków, urzędników, pracowników *„służb”*), czy w sprawie rozliczania podróży przez parlamentarzystów, gdy wstrzymano działania śledcze, bo okazało się, że przedstawiciele wszystkich sejmowych klubów mają *„lepkie łapy”*. Takie okazjonalne *„buzi–buzi”* trudno nawet zwać antraktami łomotu.

Słowo *„łomot”* nie wyda się przesadą każdemu kto sięgnie po wzajemne oskarżenia adwersarzy, zwłaszcza po *„mięcho”* salonowców, którzy gwoli odzyskania żłobu wychodzą z siebie, aby dymisjonować partię *„Kaczora–dyktatora”*. Szczują przeciw niemu nie tylko mediami priwiślińskimi, również zagranicznymi — w pierwszej połowie r. 2016 lewicowy londyński tygodnik **„Observer”** wyraził sąd, że Jarosław Kaczyński postępuje *„jak paranoidalny awanturnik i bolszewik”*. Co się rymuje z retoryką Tuska, który lubi zachęcać swych salonowców do walki przeciw *„współczesnym bolszewikom”*. Walczą więc. Prof. Leszek Balcerowicz w jednym tylko wywiadzie prasowym (z marca 2019) odpalił komplet pocisków — cały standardowy *„totalopozycyjny”* zestaw hasełek *„antypisiora”*: *„ — Rząd PiS marnuje olbrzymią szansę”*, *„ — Z powodu tego PiS–owskiego rozdawnictwa więcej ludzi umrze na raka”*, *„ — Kłamliwa propaganda Morawieckiego, który kłamie więcej niż Szydło”*, *„ — Manipulacje PiS–owskiego rządu”*, *„ — Krótkowzroczna nieodpowiedzialność PiS–u”*, *„ — Wbrew głównemu przesłaniu chrześcijaństwa PiS stosuje niegodziwe metody”*, *„ — Lech Wałęsa to narodowy bohater”*, *„ — Ogromne szkody wyrządzone przez PiS”*. Ogromność tych ogromnych szkód napiętnował równolegle (marzec 2019) europarlamentarzysta Michał Boni (TW *„Znak”*), głosząc, że PiS jest winne wszystkich klęsk gospodarczych i kulturowych III RP, bo spowodowało *„zniszczenie naszej wiarygodności w Europie”* tudzież *„zniszczenie państwa”*.

∞

Adam Asnyk
(„Dzisiejszym idealistom”):
„Dziś hasłem walka i trudno już
Uniknąć wejścia w środek burz”

∞

Mimo otaczających nas zgliszcz/ruin niszczonego przez PiS państwa obie strony raźno manifestują na tym pogorzelisku, vulgo: machają transparentami, wygłaszają tyrady bojowe, skandują na ulicach/placach, nie bez szyderczych przyśpiewek i ubliżających stronie przeciwnej żarcików (to Salon) oraz hymnów Bogoojczyźnianych/patriotycznych (to antySalon). Dla pisowskiej władzy uwierające jest opozycyjne zaangażowanie licznych celebrytów, podsejmowe *„street–dances”* znanych kontrkaczystowskich aktorek, wreszcie wrogość kół akademickich. Plagą życia kulturowego stały się politpoprawne profesorki o umysłowości agitatorek po przyspieszonych kursach: panie Środa, Rottenberg, Płatek czy Staniszkis. Ktoś próbujący uczynić z nich prawdziwe intelektualistki byłby jak pomysłodawca wyprodukowania szklanego młotka — każdą bezbłędnie charakteryzuje opinia europosła Marcina Libickiego o Jadwidze Staniszkis: *„ — Pani profesor ma talent tworzenia konstrukcji oderwanych od życia”*. Ale te szerzone z regularnością kukającej zegarowej kukułki *„konstrukcje”* przynoszą PiS–owi szkody prestiżowe w masach łatwowiernych odbiorców. Nawet wówczas, gdy są to zupełne brednie, jak pomysł Magdaleny Środy, by kontrpisowska opozycja stworzyła na wzór AK instytucjonalne *„państwo podziemne”*, czy werdykt Moniki Płatek, iż Mariusz Kamiński robił rzeczy *„straszniejsze niż Stalin”*.

Z kolei ciężką traumą Salonu był kilkusettysięczny pochód ***„Dla Ciebie Polsko”***, w setną rocznicę odzyskania niepodległości (2018) — ulicami Warszawy godzina za godziną maszerowały nieprzebrane rzesze patriotów (antysalonowców), którzy spontanicznie zjechali się z całego kraju. Każdy unosił flagę biało–czerwoną, więc ten bezkresny las chorągwi robił imponujące wrażenie (nigdzie na świecie nie widziano dotąd takiej hurmy ludzi manifestujących swoją miłość do ojczystej ziemi i tożsamości, do ojczystego godła i sztandaru). Przy rondzie de Gaulle'a pochód mijał grupkę sfrustrowanych członków KO/PO. Telewizja Polsat uczyniła wypowiedź jednego z nich kulminacją swej relacji. Dureń ów wygłosił do mikrofonu pełen oburzenia sąd, że to wstyd, hańba, skandal, iż prezydent RP maszeruje na czele *„faszystów”*. TVN również relacjonowała tamto wielogodzinne empireum kwaśno. Zabolało, i to jak mocno, wszystkich salonowych aktywistów, którzy rytualnie stymulują *„wojnę polsko–polską”* kontrpatriotycznym hejtem, zwłaszcza tych, których *„totalopozycjonizm”* chronicznie wykazuje renegackie znamiona.

Wspomnianą wyżej TVN zwano już (także na okładce **„Do Rzeczy”** 30/2018) szczególnie skuteczną opozycją wobec rządów PiS–u, czyli wściekłą szczujnią salonową, będącą (wraz z **„GW”**, nomen omen) medialnym potentatem priwiślińskich zmagań. Jej oręż to nie tylko szczekanie/kąsanie/plucie — także przemilczanie lub degradowanie. W dniu, w którym bandyta ranił pisowskiego prezydenta Siedlec, chcąc go zasztyletować (kilka ciosów nożem koło serca) — dla dzienników informacyjnych wszystkich telewizyjnych stacji był to, rzecz prosta, *„news”* numer jeden, otwierający emisję programów. Dla wszystkich prócz TVN. Swoje główne wieczorne wydanie „Fakty” TVN–owskie zaczęły od rytualnej antypisowskiej nagonki. Kolejnym materiałem była kolejna szczujnia. Dopiero jako trzeci materiał (w ósmej minucie) poszła lakoniczna wiadomość o próbie mordu politycznego. Co jest symboliczne/syndromiczne dla salonowej sfery medialnej międzypartyjnego polskiego konfliktu, alias: dla łomotu, o którym piszę dzisiaj. KontrSalon odpowiada mniej brutalnie, choć dałoby się przytoczyć kilka soczystych casusów, vide rysunek Andrzeja Krauzego (**„Do Rzeczy”** 49/2018) ukazujący nędzną psinkę na białym koniu, z podpisem: *„Pudel Angeli Merkel wraca do kraju”*. Cdn. ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl 7cae2d5e67

Bank Polski

100
1919/2019

DOBRZE CI SIĘ WYDAJE

Z KARTĄ KREDYTOWĄ PKO MASTERCARD PLATINUM

- Płać swobodnie w każdej walucie bez prowizji za przewalutowanie.
- Podróżuj spokojnie z prestiżowym pakietem ubezpieczeniowym.

Rzeczywista Roczna Stopa Oprocentowania (RRSO) wynosi 12,30%, całkowita kwota kredytu 25 000 zł, całkowita kwota do zapłaty 26 624,77 zł, oprocentowanie zmienne 10%/rok, całkowity koszt kredytu 1 624,77 zł (w tym: opłata za obsługę karty kredytowej 250 zł, odsetki 1 374,77 zł, obligatoryjne ubezpieczenie na życie 0 zł), 12 miesięcznych rat równych po 2 218,73 zł. Kalkulacja została dokonana na dzień 17.05.2019 r. na reprezentatywnym przykładzie. Do obliczenia powyższych parametrów przyjęto, że limit w wysokości 25 000 zł został wykorzystany jednorazowo w całości poprzez dokonanie transakcji bezgotówkowej przy fizycznym użyciu karty (z wyłączeniem transakcji dokonanych w punktach oznaczonych jako kasyna gry, salony gier, zakłady bukmacherskie, loterie i totalizatory) w miesiącu, w którym klient ją otrzymał.

www.pkobp.pl, infolinia: 800 302 302 brak opłat dla numerów krajowych na terenie kraju; w pozostałych przypadkach opłata zgodna z taryfą operatora, +48 81 535 60 60 opłata zgodna z taryfą operatora.

Szczegóły, w tym informacje o zakresie ubezpieczenia, wyłączeniach i ograniczeniach odpowiedzialności Ubezpieczyciela znajdujące się w OWU oraz Taryfa prowizji i opłat bankowych, są dostępne na www.pkobp.pl

eprasa.pl 7cae2d5e67